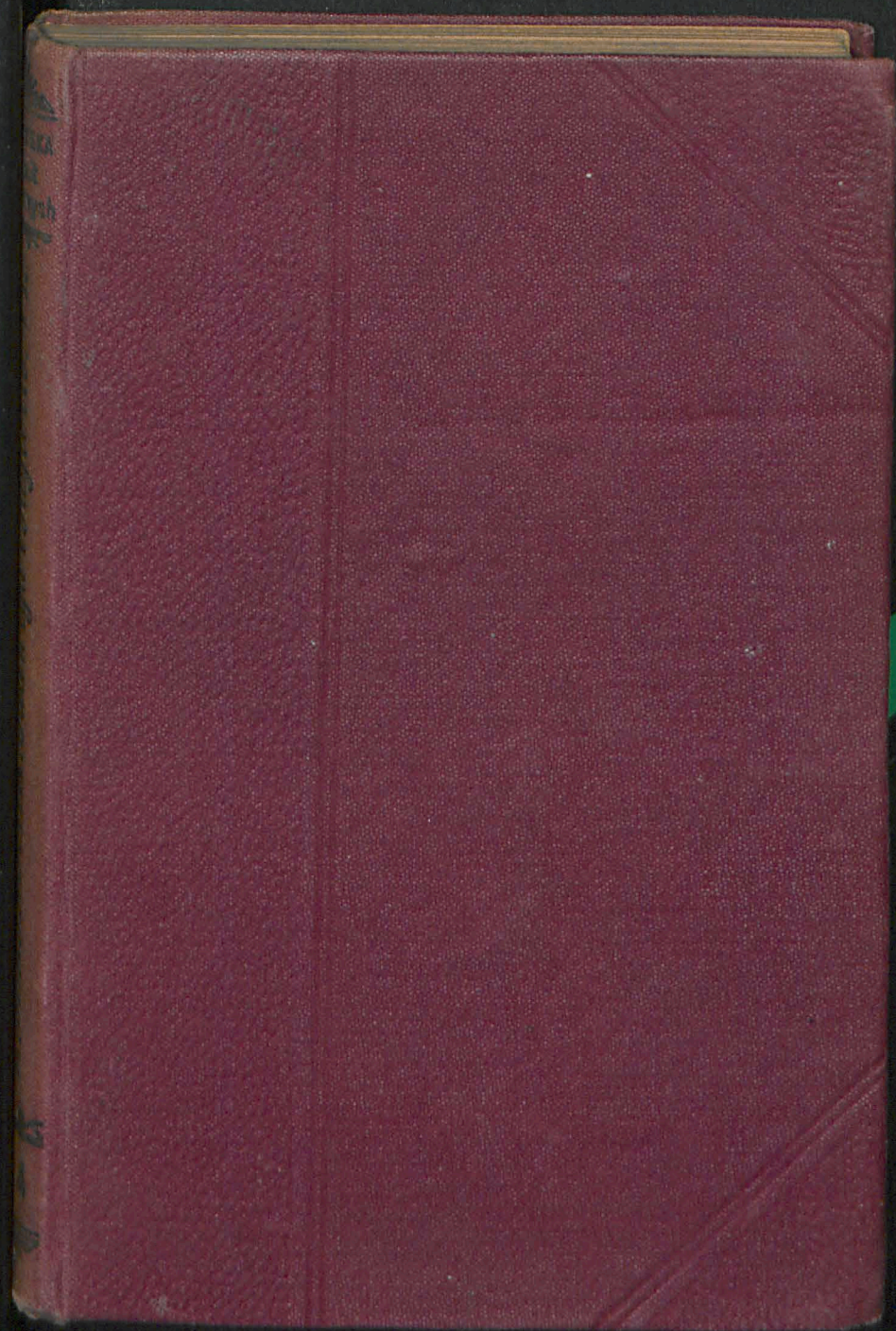




BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

we Lwowie i całym Państwie Austryackim

Rocznie . . (32 tomy) . . .	złr. 14
Półrocznie . (26 tomów) . .	„ 7
Kwartalnie (13 tomów) . .	„ 3 cent. 50
Miesięcznie (4—5 tomów) . .	„ 1 „ 20

Cena każdego tomu 30 cent.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1870.
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr 224.

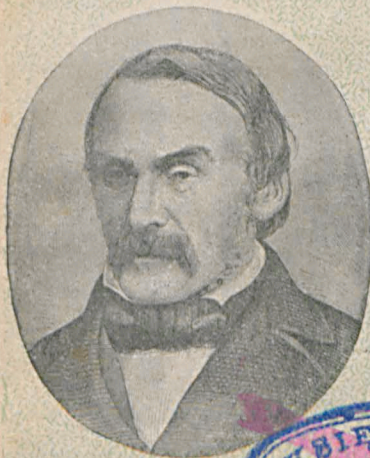
Kisielewski

JADWIGA I JAGIEŁŁO

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

napisał

Karol Szajnoch.



Część VI.



Cena 30 cent.

W prenum. 26¹/₁₀ cent

WARSZAWA

Redakcyja i Administracyja
47. Nowy-Świat 47.

—
1902.

Karol Szajnocha.

JADWIGA I JAGIEŁŁO

1374—1413

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Część VI



WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47.



8351

Варшава 28 Февраля 1902 года.



10013798

9438:
928

Wasi Jagielly z Witoldem. — Wyższość dana Skirgielle. — Okrucieństwa Skirgielly. — Obraz Witolda. — Jego krewkość, energia, zamiłowanie w Polakach. — Hojność, upodobańczenie obecne i ambicja. — Zamach na Wilno. — Konaszachy z Zakonem — Ucieczka do Prus — Majaki krzyżackie. — Konrad Wallenrod. — Jego dzikość w domu, obłudna pokora za granicą, plany wojenne. — Wojna z Polską. — Polacy na Podlasiu. — Wyprawa krzyżacka na Wilno. — Artyleria średniowieczna. — Oblężenie Wyższego i Niższego zamku. — Bohaterska obrona Wilna przez Polaków. — Odwrót i powtórna wyprawa krzyżacka. — Wszeczhonne posiłkowanie Litwy przez Polskę. — Ciągłe zamachy Witolda. — Poselstwo moskiewskie u niego. — Tajne porozumienie Jagielly z Witoldem. — Pośrednikiem młody Ziemowitowie Henryk. — Historia mazowieckiego księcia Henryka. — Jego gościna u Witolda i posłubienie Kiejstutowny Ryngaly. — Powrót Witolda do Litwy. — Zgoda z Jagiellą i Jadwigą w Ostrowiu. — Witold ks. Litewskim. — Śmierć Henryka.

Złote żniwo wszechstronnych teraz nagród i darów Jagiellowych samemu Witoldowi nie przyniosło pociechy. Wróciwszy przed trzema laty z przytułku u Krzyżaków, otrzymał on, jak wiemy, księstwo Grodzieńskie, a obowiązwał się nie żądać swoich ojczystych Trok i nie wchodzić bez wiedzy Jagiellowej w żadne stosunki z książętami zagranicznymi. Za to przyrzekł Jagiełło temi czasy wydzielić mu dawną dziedzinę Lubartową, ziemię wołyńską. Nie nastąpiło jednakże

nie więcej nad przyrzeczenie. Pozwolono mu wprawdzie przebywać w Łucku, lecz zamek i powiat łucki przeszedł w ręce polskiego rządy, Krzesława. Na próżno przypominał się Witold królowi częstemi poselstwami i listy. Dawny przyjaciel Jagiełło umyślił go trzymać ściśle na wodzy, a czując, iż mu się dzieje krzywda, podejrzewał go swoim zwyczajem o zamiary odwetu.

Czuwano przeto bacznie nad każdym krokiem Witolda; nie dopuszczono mu wyprawiać żadnych poselstw po za granicę Litwy; gdy wysłańcy Witoldowi stanęli przed Jagiełłą, wtrącano ich do więzienia, aby wymusić na nich wyjawienie skrytych zamysłów pana. „Nawet dziecię moje, córeczkę moją — skarży się Witold — wzbraniano mi wydać za kogo chciałem, lękając się, iżbym sobie przez to nie zjednał przyjaciół i sprzymierzeńców, ile, że wielu książąt ościennych zgłaszało się o jej rękę. Jednem słowem, byłem jak niewolnik pod rozkazami Jagiełły, a brat jego Skirgiełł, pan moich Trok ojczystych, nastawał mi na życie”.

Natraczona tu wzmianka o córce mierzy do przyrzeczenia jej onemu zbiegłemu z Ordy synowi W. księcia Moskwy, Wasilemu Dmitriewiczowi, o którym poprzednio styszeliśmy słów kilka. Bawiąc niedawno w stronach wołyńskich, zagościł on także na dwór Witoldów, i zaręczył się tam z równie młodocianą córką Witolda Anastazją, czyli Zofią. Podał się Witoldowi przez to w coraz większe podejrzenie, w coraz surowsze prześladowania. Jedne i drugie bolały tem dotkliwiej, im wznioślejszy był umysł, który je musiał znosić.

W synu wspańiałości Kiejstuta znamy już duszę szlachetną, pełną ufności i przywiązania, tak przeciwną uwierzeniu niegdyś w zdradę przyjaciela Jagiełły. Późniejsze lata roztawiły go mistrzem w sztuce rządzenia, pierwszym władcą swojego czasu. Wobec skrzętnego mrowia ludzkiego, o którym przy-

chodzi mówić tu ciągle, a które tak olbrzymie góry rezultatów umiało spiętrzyć skrzętnością swoją — nawet wobec świątobliwej Jadwigi i cnotliwego Jagiełły — pierwszy to wielki człowiek w naszej powieści, sobą samym mądry, twórczy, w późnoletnie następstwa płodny.

I owoż ten z pomiędzy wszystkich wybrany miał zostawać „jak niewolnik pod rozkazami Jagiełły”, opływającego w cześć i przychylną ludzką, we wszelką wielkość światową, bez żadnej innej zasługi nad swoje szczęście. Szczęśliwemu Jagielle oddał Witold niegdyś całą przyjaźń swojej młodości, a on go zdradził, ojca mu zgubił, do przytułku u Krzyżaków go zmusił. Szczęśliwemu Jagielle przebaczył Witold to wszystko i odstąpiwszy spółki z Krzyżactwem, przyczynił się swoim powrotem do ułatwienia mu drogi na tron krakowski, a on obecnie obsypując lada kogo darami, cofa mu zaprzysiężone już obietnice!

I nie tylko szczęściu Jagiełłowemu musiał Witold dozwolić góry nad sobą. Wypadło mu ulegać jeszcze zwierzętnictwu ludzi niegodnych, „sł u ż y ć” istnym wyrzutom społeczeństwa. Był takim mianowicie rodzony brat Jagiełłów, Skirgiełło, terazniejszy W. książę litewski, posiadacz Trok Witoldowych. Uskarbiwszy sobie zaufanie podejrzliwego Jagiełły, zastępował on go zwyczajnie w najważniejszych wypadkach, przewodził reszcie książąt, był drugim panem Litwy. Działo się to jednakże raczej samowolą braterską, niż uzdolnieniem Skirgiełły. Moralna jego wartość dorównywała zupełnemu prawie zwierzętciu. Wierny Jagielle, znośny Rusinom, jako wyznawca wiary greckiej, był Skirgiełło zresztą prostakiem, pijanicą i okrutnikiem.

Rad, iż go za młodu nie przeznaczono do mitry wielkoksiążęcej, dla której z obawy przypijanej często WW. książętom trucizny należało wychowawcowi książęcemu nałomywać się wcześniej do takiejże wstrętności od wszelkich trunków gorących, jaką kro-

niki chwałą Olgierdowi, Kiejstutowi, Jagielle, Witoldowi i prawie wszystkim późniejszym Jagiellończykom, hoidował Skirgiello do syta starolitewskiemu ubóstwianiu brzucha i gardła. Jagiello cnotę trzeźwości wynagradzał sobie namiętne objadaniem się, gwoli któremu „spędzał on dnie i noce przy ucztach”; Skirgiello prznosił uczyty pijane. Przeciw otruciu służyła przyjęta raz na zawsze zasada, iż ktokolwiek z jednego pije z kim dzbana, sam najpierwszą wypijać musiał szklenicę. Ubezpieczony wychyloną do siebie próbka napoju, pozwalał książę lada komu usiąść za stołem i z ufnością szedł już kufel za kuflem.

W rozpasaniu wesołości godowej zapraszał Skirgiello coraz więcej spółbiesiadników, aż dopóki nie przebrało się miary. Wtedy budziła się w Skirgielle wściekłość tygrysa. Dobywał miecza i rzucał się z nim na towarzyszków pijaństwa, a kto za trzeźwa był w największych łaskach, ten po pijanemu najbroższe ponosił ciosy. Przespawszy się, naprawiał to wprawdzie W. książę własnorecznem opatrywaniem ran ulubieńców, ile, że „z natury posiadał wielką biegłość w sztuce medycyny chirurgicznej”. Ponieważ jednak sztuka nie zawsze dopisywała, przeto „wielu śmiertelnych utraciło z jego ręki życie i całość członków”. Z tem wszystkiem posiadał Skirgiello pewną wziętość u Rusi. Ceniąc jego oporność „wierze niemieckiej”, a wytrwałość w „chrześcijańskiej”, bojąc się go, ulegała mu Ruś chętniej, niż komukolwiek innemu, a czy państwo Olgierdów i Kiejstutów kwitnęło pod jego ręką, czy upadało, nie wiele ją obchodziło.

Tem boleśniej czuł to nasz Witold. Litwa, którą on podnieść umiał do tak głośnej w świecie potęgi, niedźniała w ostatecznej zamieszce, a on sam podlegać musiał Skirgielle. Zniewolo go nawet do solennego w tej mierze przyrzeczenia i dokumentu. Ale nie zakłóć losów pieczęcią, nie spowić ducha w pergamin. Zrządzone losiem przeciwstawienie Witolda obudwom braciom Olgierdowicom wywoływało koniecz-

na i tak długą pomiędzy nimi walkę, dopóki jedna z przeciwnych stron nie przemogła stanowczo drugiej; osobiste zaś usposobienie Kiejstutowica nagliło do jak najprędzszego wybuchu. Po wzmiance o przyszłej wielkości Witoldowej, przed blizkim tego widokiem w chwili późniejszej, miejsce tu dokładniejszemu obrazowi jego osoby i charakteru.

Stawny syn Kiejstuta i Biruty, to litewski Łokietek. W obudwóch wielkość ducha przestawała na drobnem ciele. Nizki, smukły, niezarosłego oblicza Witold, gdy przywdział strój niewieści, mógł, jak wówczas przy ucieczce z więzienia w Krewie, ująć za niewiastę. To też jak całe plemię litewskie, jak ojciec Kiejstut, tak zwłaszcza Witold niewieście tkliwe miał serce, Snadno wzburzone, dawało się ono snadno przejednać. Dziecięco otwarte i przezrocyste, nie było ono w stanie zataić najmniejszego podejrzenia, najmniejszej niechęci ku komukolwiek. Niezmiernie żywe i czynne, umiało ono znieść wszystko, oprócz zwłoki, oprócz czekania. Szczególniej, gdy przyszło długo czekać widoku osób kochanych, uścisku żony i dzieci.

A jak ojciec Kiejstut, tak i syn Witold łatwiej gorzał miłością. Ojciec porwał kapłankę bogów, Birutę; dziecięco tkliwy Witold, upodobawszy sobie żonę jednego z książąt ruskich, zabił męża i ożenił się z wdową. W ówczesnym stanie obyczajów litewskich zdawało się to rzeczą powszednią, ledwie godną wspomnienia; przeto tylko o wszystkim uwiadomieni, wszystkiego pomni Krzyżacy, zapisali ją w swoje księgi. Krajowe głosy ganiły Witoldowi surowo i wielokrotnie, iż gwoli swojej niecierpliwości miłosnej gotów był odbiedz wojska w pół wojny, pośpieszyć w objęcia małżonki i—wielu różnych kochanek. Gdy śmierć rozłączyła go z przedmiotem ukochanym, „bolał Witold gorzko, lecz krótko”.

Niezmiernie bowiem ruchliwemu uczuciu wtórzył podobnież czynny umysł, nieznający spoczynku na-

wet w żalu. A pierwiastkowa nieprawność ludu i ziemi litewskiej otwierała w każdym zawodzie tak szerokie pole czynności, co tem bardziej pobudzało do działania ruchliwy umysł Witolda, ile że z jednej i z drugiej strony Litwy, od zachodu polskiego, a osobliwie od północy krzyżackiej, sąsiadowały z nią państwa nierównie wyższej oświaty i organizacji społecznej. Litewscy zaś Gedyminowice, jak to zwyczajnie daje się widzieć u ambitnych książąt plemion na poły barbarzyńskich, pragnęli gorąco dorównać wzorom sąsiadom. Już w pogańskim ojcu Kiejstucie uderzało nader staranne zastosowywanie się do najszybszych wymagań rycerstwa chrześcijańskiego. Przyjęty do społeczności chrześcijańskiej, Witold tem większą upatrywał w tem dumę.

Przydłuższy, kilkokrotny pobyt u Krzyżaków obeznał naszego Kiejstutowica ze wszystkimi szczegółami cywilizacji ówczesnej. Przyswoił on sobie tam na zawsze język niemiecki, obyczaje krzyżackie, nawet znajomość sławnej ekonomii i administracji krzyżackiej. Wrażenie zewnętrznej wyższości Niemców pruskich tak głęboko owszem utkwilo w nim, że mimo wszelkie spory i wojny z Krzyżakami, czuł Witold zawsze pewien przyjazny pociąg ku zakonowi. Z tejże samej przyczyny wyższego ukształcenia Polaków, lubił ich i przenosił Witold „nad wszystkie inne narody”, osobliwie nad własną Litwę.

Przy zręcznie dobranych wykonawcach woli książęcej, przy mnogości ulepszeń do przedsięwzięcia, nie traciła niezmienna skrętność Witolda żadnej chwili bezowocnie dla kraju. „Ustawicznie na koniu”, wszędzie rozkazem i nadzorem swoim przytomny, był on zarazem wodzem, sędzią, naczelnikiem kościoła, ekonomem i kupcem. Grasujące w ówczesnej Litwie łotrzykostwo, „kozactwo”, zmuszało go poświęcać główną uwagę obowiązkowi sędziego. Jakoż w niezmordowanej pilności sądowniczej, w przyrównaniu Litwy do innych krajów europejskich, jakim takim

ubezpieczeniem własności i pożycia, „szukał Witold głównej zasługi, jedynej chwały u swoich i cudzoziemców.”

A dzikość plemienia „kozackiego” wymagała srogiej sprawiedliwości, doraźnej egzekucji. To też najczęstszym wyrokiem Witolda bywał stryczek, katem rozkaz powieszenia się własnoręcznie. Nieraz w wycieczce po kraju, dopadłszy złoczyńcę znieścacka na gorącym uczynku, chwycił książę napięty u siodła łuk i zanim jeszcze usta orzekły wyrok, spełniła go już strzała książęca. Natenczas oczom zdaleka przybyłych cudzoziemców nasz łagodny, nasz ławie przejednany, dziecięco tkliwy Witold zdawał się wściekłym tyranem, i o nim to słychać było głosy pomiędzy nimi: „To krwiożerca!” Za toż cała owa rzesza „kozacka”, rzesza nieukróconych niczem łotrzyków, słuchała w milczeniu praw i rozkazów książęcia, „nie śmiała spojrzeć na niego, nie śmiała pisnąć”; a Litwa, „rozkiełznana i bezwładna do jego czasów, stawiała się krajem rządnym, potężnym, sławnym, jak nigdy później”.

Jak zaś w tej surowej sprawiedliwości największą ze swoich zasług, tak największą przyjęmność swoją upatrywał Witold w hojności i szczodrocie bez granic. Właściwa późniejszym Jagiellończykom namiętność rozdawnictwa brała najpierwszy wzór z podobnej skłonności Witoldowej. Korzystali z niej swoi i cudzy, świeccy i książęta, najszybciej Polacy. Nie było łaski, ani darowizny ruchomej lub nieruchomej, w ziemiach, monecie lub klejnotach, którejby Witold nie wyświadczał Polakom, a jeśli innych darów nie stało dla nich, to im przynajmniej konie do swoich folwarków brał na zimowię. „Musielibyśmy wiele a wiele kart zapisać — prawi kronikarz tamtoczesny — gdybyśmy wyliczyć chcieli wszystkie przykłady hojności W. książęcia.”

Niekiedy dziecięco swawolny umysł Witolda lubił stroić sobie igraszkę z ludzi zazdrosnych, albo

skąpszych, chcących pohamować jego rozrzutność. Pewnego razu przy rozstaniu się z jednym ze swych ulubieńców polskich, Mikołajem Małdrzykiem, herbu Poraj, wracającym ze służby książęcej napowrót do żony i dzieci w Polsce, a już sownie różnemi dary obladowanym, rozkazał W. książę wyliczyć mu na pożegnanie 100 kóp groszy szerokich. Obecna temu W. księżna zrobiła męża uważnym, iż wycieńcza skarbiec zbytnią hojnością. „Jeśli tak — rzecze Witold — to przynieście mu jeszcze 100 kóp”. — Księżna oczywiście tem usilniejsze czyniła przedstawienia. — „Jeszcze 100 kóp” — przydał natenczas Witold. — Księżna i tym razem nie zaprzestata; książę i tym razem kazał przynieść 100 kóp. Powtórzyło się to jeszcze po trzykroć. Dopiero, gdy uszczęśliwiony Małdrzyk miał 800 kóp w toboi, zaniechała księżna dalszych przedstawień i zaniechał swawolny Witold dalszych doliczek.

Znaczna też część dochodów W. księstwa upływała drogą podobnej rozrzutności, tej niezbędnej podówczas enoty rycerskiej, zwłaszcza naszemu Łokietkowi tem potrzebniejszej, im namiętniej grała w nim chęć sławy u cudzoziemców, chęć dorównania we wszystkim obyczajowi i zbytowi zagranicznych, a w szczególności Jagiełły i Witolda, której to słabości i enocie umiał przemyślny syn Kiejstutów coraz nowych środków rozmaitemi dostarczać sposobami, mianowicie spółką w przedsiębiorstwach handlowych, zaopatrującą go zawsze mnóstwem kosztowności, szub, złotogłówów i tym podobnych darów i upominków.

Temuż samemu celowi służyło bardzo staranne administratorstwo ekonomiczne, któremu atoli niemożliwość ekonomii politycznej w całym świecie ówczesnym, osobiście zaś w wyobrażeniach Rusi litewskiej, pooszeptywało dziwnego rodzaju operacje. I tak sam mądry Witold miał używać fortelu następnego. Osadziwszy nowych tenutaryuszów w dobrach książęcych,

nie wglądał on umyślnie przez jakiś czas w ich czynności, dozwalał im tak długo zdzierstw i łupieżenia w skarbie publicznym, aż póki wieloletnim zarządem nie uzbierali wielkiej fortuny. Wtedy pod ładajakim pozorem wytaczał im książę proces, skazywał ich na konfiskatę uzbieranych dostatków i nowym rządcom poruczał dobra książęce. „Znaczyło to — tłumaczy nam kronika — dozwolić gąbkom wsiąkania, aby wyciskać nasiąkłe”.

Używano tego sposobu i za granicą, mianowicie z Żydami. Co do Witolda, ten przynajmniej odbijał nie dla siebie, lecz w mniemany pożytek kraju. Dla siebie przestawał nasz drobny, niewieśiej twarzy bohater na bardzo skromnem życiu, nie znającym kielicha i długich biesiad. Kiedy niekiedy wycieczka myśliwska w las i powszechnie ulubiona wówczas gra szachów, to jego wszelkie rozrywki.

Obecnie miał syn Kiejstuta około 40 lat, drugą żonę Annę Swiatosławównę, księżniczkę smoleńską, kilkoro różnego wieku dzieci i szczupłe księstwo Grodzieńskie. Ciągłe burze dotychczasowego żywota, wojny domowe w ostatnich latach ojca Kiejstuta, więzienie Jagiełłowe, tułactwo u Krzyżaków, kilkoletnie po tem oczekiwanie w Litwie, nie dały jeszcze zajaśnieć Witoldowi w całym blasku geniuszu. Temci gwałtowniej parł go teraz duch niespokojny, gotów wszelkich chwycić się środków, aby tylko wyjść z cieśni i sromoty obecnej.

Najpospolitszym dla ambitnych książąt litewskich środkiem było w takim razie rzucenie się w ramiona zakonu niemieckiego. Odkładając jednak do jaknajpóźniejszego czasu tę ostateczność, zawiązał Witold na teraz tylko dalekie z zakonem porozumienie. Sam zaś umyślił spróbować wprzód, czy nie zdoła podstępem zasiąść na W. księstwie litewskim, t. j. przedewszystkiem na stolicy wileńskiej i zamku W. książęcym, W tym celu zagajono pokątny rozmowę z mieszczanami.

nami i ujęto kilku tajnych sprzymierzeńców na zamku.

Rozkazywał tam, pod niebytność Skirgiełły, bawiącego w Połocku, drugi brat królewski, Korybut. Od tego otrzymał Kiejstutowie wolność wyprawienia pewnej rodzinnej uroczystości w zamku wileńskim. Pod jej pozorem miały wjechać tam ogromne wozy ze zwierzyną i ukrytymi pod nią zbrojnymi. Ci, za pomocą miejscowych przyjaciół, opanowaliby zamek, podczas, gdy po mieszczanach spodziewano się oddania miasta.

Wszakże twarda dla Witolda fortuna nie ziściła ani jednego, ani drugiego. Mieszczanie wileńscy byli z duszy radzi związkowi Litwy z Koroną i naśladować przykład mieszkańców stolicy czerwonoruskiej, zatrwożonej temiż właśnie czasami pogłoską o przejściu Rusi z pod rządów polskich pod inne i upraszających przeto króla polskiego o zatrzymanie ziemi ruskiej pod swoim berłem, nie przyjęli namowy Witoldowej, oświadczając się z wiernością dla „swego króla” Jagiełły. Zarazem pewien przeniewierczy poufnik Krzyżaków, uwiadomionych o spisku, przestrzegł księcia Korybuta, który wczesnem uwięzieniem przysięgłych zniweczył zamach. Wyjawienie się projektu pogorszyło dolę Witolda. Nie pozostało nic innego, jak znowuż zapisać się całkowicie Krzyżakom.

Witoldowe księstwo brzesko grodzieńskie stykało się z Prusami. Z tego pogranicza przesłał nasz Kiejstutowie oświadczenie nowego poddania się zakonowi. Lecz poprzednia roku 1384 zdrada Witolda zepsuła Krzyżakom serce ku niemu. Wypadło teraz zabezpieczyć ich należycie od nawrotu podobnej zmiany. Nim więc zawarto nową ugodę, musiał Witold pierwiej oddać Krzyżakom w zakład niezmiernie wielką liczbę najbliższych krewnych, dwóch braci rodzonych, Zygmunta i Konrada, jednego synowca, jednego szwagra, t. j. księcia Gleba Swiatosławowica ze Smoleńska, bawiącego przy nim w jęctwie od czasów wojny przed-

kilkuletniej, książąt Iwana Olgimuntowica Olszańskiego i Jerzego niegdyś na Bełzie, dalej przeszło stu najprzedniejszych bojarów brzesko-grodzieńskich, wreszcie siostrę Ryngałłę i żonę z kilkorgiem dzieci. Wszystkich porozsadzali Krzyżacy z osobna po różnych zamkach pruskich, mianowicie księżnę Witoldową z córką i siostrą Ryngałłą naprzód w Kremiten, następnie w Bartenstejn, dwóch maluczkich synów Witolda, Iwana i Jura w Königsbergu, książąt Iwana Olziedowica i Jerzego Bełzkiego w zamku Morungen, Gleba w Malborku i t. d.

Dopiero po wzięciu tak wielkiego zastawu ponowił zakon Witoldowi w Grodnie dawną obietnicę wywalczenia mu Litwy, odwzajemnioną przez Witolda podobnie dawnem przyrzeczeniem uznania się z niej hołdownikiem zakonu. Wraz z Witoldem przystąpili do związku z Krzyżakami Żmudzini, najuporniejsi ze wszystkich wyznawców i obrońców pogaństwa. Zagrożeni w niem zarówno przez Jagiełłę, jak i Krzyżaków, znaleźli oni teraz sposobność zapewnienia sobie całych korzystnych warunków zgody z zakonem, i za obowiązek posilkowania Witolda i Krzyżaków w wojnie z królem polskim i jego bratem Skirgiełłą uzyskałi zupełną prawie niezawisłość wewnętrzną, w szczególności wolność od chrześcijaństwa. Do niektórych zamków Witoldowych przyjęte zostały załogi pruskie. W pierwszym początku uorganizowanej tak walki nastąpiła z wiosną roku 1390 znaczna wyprawa Krzyżaków i Witolda do Litwy, niewieńczona jednak żadną większą korzyścią. Główny, stanowczy cios miał uderzyć w Litwę dopiero w lecie, przy pomocy ze wsząd zaciąganych posiłków i napływającego rycerstwa ochotniczego.

Wszakże sama wojna nie wyczerpywa nigdy całej roli Krzyżaka. Nawet ostateczną knującą zagładę, ma on zawsze miód w ustach. „Od nas może korona polska pewną być miłości i pożytku” — pisze mistrz W. Konrad Czolner w tym samym czasie, kiedy wszel-

kie jego zabiegi dążyły do obalenia króla polskiego. W obecnym zamysłach przeciw Jagielle zdawała się obłuda podobna tem potrzebniejszą, im bardziej zależało Krzyżactwu na uniknięciu jednoczesnej wojny z Polską i z Litwą, na powstrzymaniu Polaków od posiłkowania Litwy.

Mimo nienawiści zakonu ku Władysławowi Jagielle, mimo ustawicznej wrzawy wojennej w Litwie, trwał między zakonem a Polską na pozór dawny „wieczysty” pokój Kazimierzowski. Już to własny interes panów pruskich, wymagający najpierwej uporańia się z Litwą, już to upomnienia papieskie, zalecające temi czasy raz po raz zgodę między koroną a zakonem, podpieraty chwiejną budowę tego przy mierza. Dyplomacya krzyżacka umiała wyróżnić w Jagielle króla polskiego od W. książęcia Litwy. Zaczem walczyć z W. książęciem, dobijając się wciąż całej Litwy, jako przynależącej zakonowi własności, nawet zbrojąc się zeicha do koniecznej niebawem wojny z Koroną, głaskał mistrz W. Polaków ustawicznymi układami o pokój dalszy, owszem, przyjmował ich pośrednictwo, celem uśmierzania wojny litewskiej.

Śród ciągłych szturmów nad Niemnem, śród coraz groźniejszych przygotowań do niechybnej wojny nad Wisłą, odbywały się między zakonem a Polakami wielokrotne, acz zawsze bezskuteczne, nakoniec zjazdy i rokowania, mianowicie w roku 1388 najprzód w lutym w Toruniu, a potem w kwietniu w Raciażu, w roku 1389 najprzód w Solcu nad Wisłą, potem w Neidemburgu, czyli Nidborzu. W obudwóch wspomnianych tu latach wyręczał W. mistrza, częstą przeszkodzonego chorobą, bardzo czynny zastępca, najwyższy po nim urzędnik braci zakonnej, słynny Konrad Wallenrod. Przesunął on się nam już niejednokrotnie przed okiem w dawniejszych sprawach litewskich, zwłaszcza przy owym pamiętnym zjeździe na wyspie Dubisie, kiedy Jagiełło wnet po upadku Kiejstuta zapisał się Krzyżakom, ślubując przyjąć

chrześcijaństwo w ciągu lat czterech. Zapowiedzieliśmy w nim podówczas jedno z najciekawszych zjawisk charakteru naszych mnicho-rycerzy. Teraz, w przedjutrzu nader ważnych wypadków pod sterem samegoż Wallenroda, pora dokładniejszym wizerunkiem usprawiedliwić to zdanie.

Konrad Wallenrod, Niemiec, od dzieciństwa wychowany w zakonie, dawniej marszałek, obecnie W. komtur zakonu, człek jeszcze młody, miał już tylko cztery lata do życia. Zato im krótszy, tem gwałtowniejszy był jego zawód. Z natury otrzymał Konrad duszę namiętą, charakter dziki i nienawistny. „Szkaradnego oblicza” zewnątrz, wrzał on takąż złością i żółcią wewnątrz. Pijaństwo rozplamieniało go jeszcze srożej. Całe też Prusy „bały się niezmiernie” Wallenroda. Urzędnicy zakonu, szlachta, książęta, wszystko co żyło, „drżało na jego widok”.

Osobliwie księża znosili odeń krzyż pański. Podobny tem do wielu gwałtowników onego czasu, którym wszechstronna przewaga duchowieństwa dawała pobudkę do tem głębszego wstępu, tem oporniejszej przeciwko niemu niechęci, prześladował Konrad, lubo sam mnich, bądź to słowem, bądź czynem wszystko, co tylko nosiło suknię kapłańską. „Gdyby odemnie zależało — mawiał Wallenrod — zostawiłbym w każdym kraju tylko jednego popa, a i tego zamknąłbym w wieży wysokiej, aby nikogo nie bałamucił i nie mieszał się do niczego innego, jak tylko do swoich obowiązków kościelnych.”

Taka głęboka niechęć ku księżom, w połączeniu z gwałtownością charakteru, uczyniła go raczej przy jacielem żołnierstwa. Jakoż „ku wojnie kłoniły się wszystkie chęci jego żywota”. Słabym atoli posiłkowane rozumem, nie uzdolniały go one do roli szczęśliwego wodza w wojnie prawdziwej, do wojny o wielkich, stanowczych rezultatach. Starczyła jego zamiłowaniu wojennym sama pompa okazałych przy-

gotowań, popisów, uczt i ceremonij wojskowych. Wrodzona namiętność i żądza zbytku, nieznająca granic żadnym zachceniom, podnosiła wydatki na podobne sceny wojenne, na przepych gościnnych biesiad rycerskich, na podarunki gościnne, do prawdziwie bajecznych sum. Dopiero później miał zakon uczuć, jak boleśnie mogła dojąć mu wojenność Wallenroda. Obecnie, niczem jeszcze nie odsłoniwszy przed światem swojej niezdolności istotnej, świecił W. komtur pozorem wielkiej przedsiębiorczości rycerskiej, jednającej mu coraz więcej głosów w zakonie.

Ale był Konrad takim jedynie wobec swoich, w murach zakonnych, na czele rycerstwa krzyżowego. Po za klasztorem i obozem, w stosunkach dyplomatycznych, w obliczu książąt i królów, osobiście w trudnem i niebezpiecznem znajdując się położeniu, w miejsce rycerza wstępował mnich. Wtedy pokrywał go kaptur pokory, niewinności, prostaczęj szczerości i dobroci. Większa część rysów podobnych, którą przytoczyliśmy niegdyś w ogólnym opisie charakteru braci krzyżackiej, wzięta jest właśnie z obrazu Konrada Wallenroda.

Weczesne wychowanie w zakonie służyło mu za powód do przybierania pozoru zupełnej nieznajomości rzeczy światowych, nie pozwalającej mu np. podejmować się zażądanego pośrednictwa w sporze pomiędzy dwoma możliwymi przeciwnikami, przy którym wypadłoby oświadczyć się stanowczo za jedną lub drugą stroną. „Gdyż doprawdy — wymawia się Konrad — jesteśmy zbyt nieuczeni do tego, i daleko naszemu rozumowi do spraw, które tak wysoce stają”. A maskując się wygórowaną skromnością, umiał Wallenrod, ów gwałtownik, ow postrach całych Prus, przywdziewać także maskę potulnej łekliwości. W dawnym sporze z arcybiskupem rygańskim pograbili mu Krzyżacy posiadłości, porozpędzali kmieci, powieźli kanoników, o co arcybiskup zaniósł skargę do rzymskiego króla Wacława. Wacław zażądał usprawiedliwienia

się od Konrada. Konrad milczał. Wacław ponowił wezwanie, grożąc surowemi krokami. Konrad musiał jaką taką przesłać odpowiedź. „Czemużes pierwszej nie odpowiedział?” — zapytał król. „Nie odpowiedziałem — pisze Wallenrod — bo doprawdy ogarnął mnie taki strach i wstyd taki, że nie śmiałem pisać o tem do waszej wielmożności.”

Zresztą pewnym jest Konrad zawsze sprawiedliwości swojej przed każdym trybunałem. Dzięki bowiem dawnemu zwyczajowi zakonu, znachodzą się w archiwum krzyżackiem pergaminy na wszystko, a za pomocą tych dokumentów ofiaruje się Wallenrod „dowieść” natychmiast prawa swojego, jeśli nie przed ludźmi prostego rozumu i sumienia, tedy przynajmniej przed takimi, „którzy biegli są w prawie”. Tak czy stą np. sprawę ma Konrad, według swojego mniemania, obecnie z Litwą. Potrzeba tylko zjazdu stron spornych, pośrednictwa Polaków, aby zawiesić oręż. Na owym zjeździe w Neidemburgu okazuje się W. komtur Wallenrod skłonnym do zgody, byle stało się za dość prawom zakonu. „Jakim prawom?” — pytają pełnomocnicy polscy. „Prawom do całej Litwy — odpowiada Wallenrod. — Toć mamy dowody na to w donacyjnym dokumencie Mendoga, w bullach papieżów: Innocentego IV i Aleksandra IV, niemniej w przywileju cesarza Fryderyka II, obdarzającym nas Żmudzią, Litwą i wszystkim krajem dokoła.”

Gdy przeciwnicy pod takim warunkiem nie chcieli przyjąć zgody, obwiniając zakon o intencje zaborcze, powtarzał Konrad swoje własne słowa do jednego z rycerzy pomorskich, który naprzód zaciągnął się w służbę zakonu, a potem zerwał umowę i różne Krzyżakom czynił zarzuty. „Doprawdy — odpisał mu W. komtur Wallenrod — wina, jaką nam zadajecie, podobna jest winie, jaką wilk zadawał osłowi. Bo gdy wilk nie umiał żadnej innej winy zadać osłowi, tedy zadał mu winę, że gryzie trawę przy drożdzel” Ale z kimkolwiek zakon sporzy, z Polską chce on spo-

koju. „Korona Polska — powtarza Konrad Wallenrod w roku 1391 za Konradem Czolnerem (w roku 1389) — może od nas pewną być miłości i pożytku”. Miłości i pożytku — byle teraz nie pomagała Litwie i nie podnosiła pierwiej oręża wojny, nim zakon Litwy dokona, poczem nietrudno przysłoby uporać się z Koroną.

Ku temu celowi uśmierzenia Polski do czasu nie było trudu żadnego, którego by nie jął się chętnie Wallenrod. Oprócz majaków dyplomatycznych, oprócz ciągłych zjazdów i układów z Polakami o pokój dalszy, pracują nad tem mnogie poufne listy Konrada, rozsyłane po różnych stronach Polski do osób przez różnych stanów. Bardzo pilny korespondent wszystkich dam panujących, związany stosunkami liścikowymi z Adelaidą księżną pomorską, z królową angielską, z królową duńską, udaje się on przedewszystkiem do pobożnej królowej polskiej, Jadwigi. „O gdyby żył jeszcze najukochańszy ojciec Waszej miłości, a nasz pan najłaskawszy, król Ludwik ś. p. — opiewa miodowy list Konradów — król Ludwik, monarcha sprawiedliwy, monarcha słuszności, obrońca zakonu w każdej sprawie, o jaką tylko zgłosiliśmy się do niego! Przez co też we dnie i w nocy modlimy się nieustannie za jego duszę, jako zasłużył na to i jak nasza przyrodzona miłość ku niemu wymaga po nas. Gdyby on żył, nie stałaby się nam krzywda zaiste! Lecz teraz, ciągnie Wallenrod dalej, teraz tylko w tobie, łaskawa pani, która przecież jesteś dziedziczką i panią korony polskiej, spoczęła wszelka nadzieja nasza.

Po Jadwidze otrzymuje od Konrada podobne próśby o pomoc w utrzymaniu pokoju mazowiecki książę „Siemaszko”, czyli Ziemowit. Ciągły zaś brak pieniędzy w skarbcu książęcym, a ciągła gotowość do pożyczki w kancelaryi krzyżackiej, pozwalają Wallenrodowi ująć sobie Ziemowita nową zaliczką 1,500 grzywien. „Chciej tylko powiedzieć, najukochańszy

ze wszystkich, przyjacielu! — pisze Konrad Wallenrod następnie w tym samym celu ukołysania Polaków do znanego nam wojewody kaliskiego, Toporeczyka Sędziwoja z Szubina, wielkiej powagi urzędnika Korony Polskiej — czem ci mam odpłacić przysługę, o której mowa, a chyba kazałby mi Bóg zejść nagłą śmiercią ze świata, żebym ci nie wywdzięczył twojej dla nas wierności i przyjaźni”.

Nawet z owym zdziercą zakonu, Bartoszem Wiszembureczykiem, teraźniejszym wojewodą poznańskim, który przed 10 laty wymusił na zakonie 20,000 grzywien okupu za drużynę pojmanych przez siebie „gości krzyżackich”, a który temi czasy wymawiał Krzyżakom chęć zerwania związku między Polską a Litwą, nie waha się Wallenrod, gwoli zachowania spokoju, wejść w listowne stosunki takiegoż „najukochańszego” przyjaciółstwa. Zarazem jednak nie omieszkali Krzyżacy zbroić się na wypadek najgorszy. Od chrztu Jagiełły aż do obecnej chwili zaciągano ustawicznie książąt i szlachtę sąsiednich ziem niemieckich w wojenną służbę zakonu, jedynie „przeciw Polsce”. W latach 1386 i 1388 zawarli z Krzyżactwem 10 letnią umowę tego rodzaju książęta pomorscy Warcisław, Bogusław i Swantebor.

Osobliwym przykładem chciwej przezorności krzyżackiej znajdował się osobny ustęp we wszystkich podobnych układach, opisujący szczegółowo, co czynić, gdy król polski Jagiełło, lub który z jego braci popadnie w niewolę żołdowników. Przyszekali oni w takim razie wydać jeńców swoich za odpowiedni okup w ręce Krzyżaków. Głowa Jagiełły miała kosztować wtedy 500 grzywien, głowa każdego z braci królewskich 100.

Pomiędzy resztą wojennych sojuszników krzyżackich z onego czasu celują bracia Czamborowie, Szlązacy: Wisław, Henryk i Jan, obowiązani dostawić przeciw Polsce 100 kopij. Dzierżyli oni w Polsce zamek kruszwicki, zastawiony im w pewnej sumie

pieniędzy przez mazowieckiego księcia Semka, czasowego pana zajętej niegdyś ziemi kujawskiej. Jeden to z tych Czamborów, Wisław, poczytywany w Polsce za Szlazaka albo Morawca, uwięził małego później z zamku pileckiego bogatą Toporeczankę Elżbietę, córkę sędmierskiego niegdyś wojewody Ottona. Przy pomocy tych żołdowników, jako też innych środków zwyczajnych tuszyli Krzyżacy stawić zarazem czoło Polsce i Litwie, a zaczynając na teraz od tej ostatniej, przygotowywali z Witoldem i Żmudzinami walną nad Niemem wyprawę w lecie.

Wszakże i Polacy nie próżnowali. Owszem, pojmując bardzo jasno, iż przyszła teraz pora użyć takiejże samej usilności ku zbrojnemu podtrzymaniu związku Litwy z Koroną, jakiej niedawno użyto w celu dyplomatycznego pozyskania Jagiełły i Litwy Jadwidze i królestwu, rozwinęła Polska teraz godną podziwienia czynność i wytrwałość w obronie braterskiego narodu. Odnosząc mnogie korzyści z przyłączonej ziemi litewskich i ruskich, niosła ona też chętnie krew swoją za nie.

Zaledwie doszły do Krakowa wieści o spółce Witolda z Krzyżakami, rzucili się Polacy natychmiast do ubezpieczenia zamków Podlasia Witoldowego, zanim usadowią się w nich znaczniejsze siły krzyżackie. W miesiącu lutym, „w porze leż zimowych, nie wojny”—mówi kronikarz—pośpieszył Jagiełło z uzbieraniem naprędce wojskiem ku podlaskim zamkom nad Bug. Mimo złą porę, mimo opustoszałość tamecznych stron, niezdolnych wyżywić niespodziewanej mnogości ludzi i koni, wzięto szczęśliwie Brześć. Mimo rozejścia się potem większej części tłumów wojennych za poniewolnem zezwoleniem królewskim, nie ustawał dobór rycerstwa koronnego w dalszej wyprawie.

Mając tylko 130 kopij rycerskich i około 800 żołnierza pod chorągwią nadworną, ruszyli Polacy pod drugą twierdzę, Kamieniec mały, którą również szybko zdobyto. Trzecią i główną twierdzę, Grodno,

wypadło odbijać podwójnym siłom litewsko-krzyżackiej załogi wewnątrz i litewsko-krzyżackiego wojska po drugiej stronie Niemna. Jakoż przez kilka tygodni trwały najzaciętsze zapasy. Na szczęście, nadciągnęły znaczne posiłki ruskie, przyprowadzone przez braci królewskich Skirgiełłę, Włodzimierza księcia kijowskiego i Korybuta nowogrodzkiego. O ciężkim głodzie w obozie, po wysileniu wszelkiej odwagi i fortelności opanowano nakoniec Grodno. Wojsko krzyżackie z Witoldem ustąpiło. Całe Witoldowe księstwo podlaskie z wymienionemi tu grody i Surazem dostało się w moc Polakom. Polscy starostowie osiedli na straży w zamkach zdobytych, Hinczko z Rożkowic w Brześciu, Zyndram Maszkowski w Kamieńcu.

Wyprawiło się też liczne rycerstwo polskie ku pomocy obrońcom Litwy, mianowicie na załogę w głównie zagrożonej stolicy Wilnie. Oprócz braci królewskich Skirgiełły i Korygiełły, przewodził tam starosta polski, Mikołaj z Moskórzowa, podkanclerzy koronny. Od uporniejszej obrony Litwy chcieli Krzyżacy wstrzymać Polskę nowemi układami pokoju. Polacy odpowiedzieli, iż wejdą chętnie w układy, lecz dopiero w jesieni, w połowie października. Znaczyło to odraczać pokój do pory, w której wojna zwyczajnie kończyła się sama przez się. Zaczem tak Krzyżacy, jak Polska z Litwą, zdawali się na los wojny, w szczególności na los litewskiej wyprawy w lecie.

Za jedną podjęli Krzyżacy dwie. W roku 1390 i 1391 ugodziły raz po raz dwie wyprawy krzyżowe w Litwę, liczące się do najgwałtowniejszych szturmów Krzyżactwa. Obudwom zwierzchniczył Konrad Wallenrod, w roku 1390 jako zastępca chorego mistrza Czołnera, w r. 1391 jako obrany już mistrz Wielki. Obiedwie miały jawną świadomość, iż albo teraz, albo już nigdy więcej nie opanować Litwy Krzyżakom. Wzbudzona tem gwałtowność zamachu i odporu, czynny w nich udział tak uderzających charakterów, jak ten obłudno-pyszny Wallenrod, jak nasz poniewolnie

w tę walkę bratobójczą wciągnięty Witold, jak nasz oblubieniec losów Jagiełło, rozjaśniający i ożywiający wszystko swoją szczęśliwą obecnością—wreszcie niespodziewany w końcu o rót wypadków, otaczają tę chwilę dziejów nader zajmującym urokiem.

Rozsiewane po świecie skargi krzyżackie na fałszywość chrztu Jagiełłowego i krzywdę księcia Wilhelma wydały teraz owoc sowity. Nadciągnęła zakonowi ze wszystkich krajów europejskich liczniejsza i świetniejsza, niż kiedykolwiek pomoc rycerska. Z Niemiec prowadził ją zwyczajny tłum grałów i szlachty rozbójniczej, z Francji przestawny rycerz Boucicaut, z Anglii Henryk Derby, księżę Lankastru, za lat dziewięć monarcha Anglii. Przybywające z nimi rycerstwo pałało uniesieniem religijnem przeciwko Litwie „pogańskiej”, zemstą przeciwko „krwawemu tyranowi” Jagielle, spółczuciem dla pognębionego przezeń Wilhelma. Całe niebo szlachetnego natchnienia płonęło w ofierze zręcznej obłudzie krzyżackiej, jak skrawo ubarwionemu kłamstwu.

Całego potrzeba było lata, zanim wszystkie poczty rycerskie ponadciągały z za granicy do Prus. Dopiero około połowy sierpnia zdołano pomyśleć o pochodzie ku Litwie. Wraz z „gośćmi” i pruskim wojskiem Krzyżaków dążyło tam również wojsko krzyżactwa inflanckiego pod swoim mistrzem osobnym, zmierzał i Witold ze swoją Żmudzią i Litwą. W mistrz Czołner, dogorywający w Malborku, i terazniejszy rządca zakonu Wallenrod, musieli pozostać w Prusiech. Naczelny kierunek wyprawy poręczony został marszałkowi zakonu, Engelhardowi Rabe. Pod jego przewodnictwem podzieliły się wszystkie siły wojenne na trzy wielkie armie, „gościnnie”-pruską, inflancką i Witoldową. W ostatnim tygodniu stanęła cała wyprawa nad granicą niemieńską około Kowna, gdzie należało przeprowadzić się przez rzekę, aby już to wodą, już lądem zdążać ku stolicy litewskiej.

Właściwy zamiar wyprawy, osadzenie Witolda

na tronie wielkoksiążęcym, wytknął ostatnim celem wojny — zdobycie Wilna. Gwoli temu towarzyszyła wojskom krzyżowym niezwykajnie obfita ilość rynsztunku oblężniczego, godna dokładniejszej tu wzmianki. W wiekach średnich używane do oblegania przybory i zapasy wojenne bywały ogromniejsze na pozór od dzisiejszych. Im mniej udolna władała niemi sztuka, tem więcej, tem rozliczniejszych potrzeba jej było środków, tem gwałtowniejszych wysiłen.

Jakoż każde oblężenie, zazwyczaj tak długie a często bezskuteczne, wymagało budowania ogromnych machin, jak np. tarany, kusze wałowe, tak zwane „osły”, „niedźwiadki”, „żółwie”, „kozy”, ruchome wieże drewniane i t. p. Taranów, czyli potężnych drzew, powszechnie dębów, ostro okutych z przodu, wiszących równolegle na łańcuchu wśród wysokiego rusztowania, kołysanych połączonemi siłami kilkunastu ludzi, używano do rozwalania murów. Mniejsza narzędzia tego rodzaju jakoby świdry murowe, wybijały albo wierciły dziury. Kusze wałowe, gmachy drewniane kolosalnej budowy, zwyczajnie domów wysokości dosięgające, za pomocą grubych sznurów włosiennych korbami naciągane, miotały albo pojedyncze bryły kamienne przeciwko murom, albo gęstwą drobniejszych kamieni, spadającą gradem na ludzi.

Często składały się pociski kusz wałowych z przedmiotów palnych, z ogromnych strzał ognistych, z wapna wrzacego, z płonących beczek smoły. Dla zatrucia powietrza w twierdzy ciskano tam konie zdechłe, stare ścierwa bydłace i tym podobne zgnilizny i nieczystości. Zdarzało się też niekiedy, iż schwytawszy szpiega z twierdzy w obozie oblężniczym, nabijano nim kuszę i wrzucano go napowrót trupem. Przez cały ciąg oblężenia stało po kilka, nierzadko po kilkanaście takich „domów” dokoła miasta.

Jeszcze większym ogromem zdziwiała „wieże ruchome”. Z drzewa, o kilku piętach, na kołach,

zawierały one w swej dolnej części jeden lub dwa tarany, w wyższych zaś częściach załogę kilkuset zbrojnych, najczęściej strzelców. Podczas szturm zbliżano je ku murom, tłuczonym u dołu taranami, gdy tymczasem osada wyższych pięter, górujących ponad blankami twierdzy, chmurą grotów spędzała z nich obrońców, ułatwiając reszcie szturmujących wdarcie się na mury za pomocą drabin i haków. W innym razie podsuwali się szturmujący ku murom pod zasłoną tak zwanych żółwiów, czyli dachów szturmowych.

A te wszystkie maszyny z drzewa nie wyczerpywały jeszcze bynajmniej całego zapasu przyborów oblężniczych. Była to dopiero jedna, staroświecka onych połowa. Czasy zamierzonych właśnie szturmów do Wilna przynosiły sztuce oblężniczej całą drugą, nowoczesną połowę z żelaza, albo spiżu — co raz powszechniejszą strzelbę prochową. Zanadto jeszcze nieudoszkalona, aby zastąpić całkowicie dawne kusze wałowe, zanadto już użyteczna, aby się obejść bez niej, współpracowała ta nowa, żelazno-spiżowa broń pospołu z owymi drewnianymi wieżami i taranami nad podwójnie teraz groźnym dziełem zniszczenia.

Znano ją w dwóch rozmaitych rodzajach: jako broń ręczną, czyli „puszki” i ciężką, czyli „działa.” Obadwa rodzaje uchodziły właściwie za mniejsze i większe „działa,” tem jedynie różne od siebie, iż puszki leżały przed żołnierzem na widłach, czyli hakach, z kąd też nazwa hakownice i półhaków i mogły być ręką przytrzymywane; działa zaś spoczywały na ziemi, albo bywały nawet do pewnej części zakopywane w ziemię. Ztąd wieziono puszki z działami osobno za wojskiem oblężniczym. Liczba tej ręcznej broni palnej była nader szczupłą w stosunku do ogółu rot pieszych, a przystępując do zdobywania miasta, ustawiano najwięcej 300 do 400 puszek i kilka dział wokoło murów.

Zato wynagradzano sobie nadwyzczajnym ogromem armat zakopywanych, mierzących nieraz do dzie więciu sążni długości. „Gdy taki potwór zagrzmiął — opowiada kronikarz — słyszałeś go w dzień na mil (francuskich) pięć, w nocy na dziesięć.” Z obudwóch rodzajów broni ognistej strzelano kamieniami, tylko że u dział były to prawdziwe kamienie kamienne, u puszek zaś (jak ten sam kronikarz wyraża się) „kamienie z żelaza,” albo ołowiu. Dawne bowiem nawiązanie do strzelania samymi kamieniami nie umiało nowym kulom żelaznym nadać innej nazwy jak podobnie „kamienie.” Taką dwuznaczność odróżniała terminologię ówczesną od dzisiejszej w innych jeszcze wypadkach. I tak np., znając już wyraz „artyleria,” mawiano: „każdy z żołnierzy miał dostatek artylerii przy sobie,” chcąc przez to powiedzieć zaś „dwie beczki strzał, wapna, gruzów, kamieni i t. p.” wyrażano się: „dwie beczki artylerii.”

Owszem, nie tylko co do wyrazów, lecz nawet pod względem pojęć nastrocza „artyleria” ówczesna osobliwsze zagadki. I tak np., niezrozumiałym dziś sposobem zdawało się Rusinom tamtoczesnym, jakoby zamki drewniane zdołały snadniej oprzeć się działom, niż murowane. Z powodu tej mniemanej wyższości grodów drewnianych nad kamiennymi burzyli oni w opanowanych przez siebie miastach, jak np. we Włodzimierzu wołyńskim po śmierci Kazimierza W., bez żalu zamek ciosowy, zostawiając tylko drewniany; a gdy w czasie oblężenia wypadło strzelać z dział do zamku drewnianego lub kamiennego, doradcy ruscy przedstawiali przewodnikowi wojsk oblężniczych: „Nuż nie dasz rady zamkowi drewnianemu; wolisz strzelać do kamiennego!” Jeszcze też w wieku XVI pisano o zamku w Starodubie, iż był dość mocny, „zwłaszcza, że z drzewa dębowego w izbie zrabiony i przetoż mu kule mało uszkodziły.”

Nie łatwo przecieć o gałęź czynności ludzkiej,

w którejby dbano wówczas usilniej o otrząśnienie się ze zdań fałszywych, z przesądów, jak właśnie w nowej sztuce puszkarskiej. Zwłaszcza Krzyżacy słyneli z szybkich postępów w niej. Kraje zakonne nie czekały się nigdy akademii, a miały wcześniej wielką wzorową ludwisarnię. Nie chcąc wyzuć się z korzyści dawnego oręża kuszowego, utrzymywał zakon osobnych zarazem mistrzów puszkarstwa i kusznictwo, zniewolone prowadzić na wojnę niezmiernie liczny materiał do budowania owych „domów” i wież, obarczało każdy pochód wojenny potrzebą transportowania nieskończonej ilości przyborów oblężniczych.

Jakoż i w obecnej wyprawie ciągnęły tysiące wozów z machinami, puszkami, działami, „beczkami artylerji,” żywnością i t. d. Bezdrożność Litwy pustynnej zmuszała szukać przedewszystkiem gościńców wodnych, trzymać się rzek. Zwyczajnie płynęły wyprawy krzyżackie tysiącami łodzi i łódek najprzód Niemnem, potem Wilią aż pod stolicę litewską. W takim razie pierwszym staraniem Litwy bywało przegrodzić nieprzyjacielowi drogę niemeńską. Zamknięcie tego walnego gościńca stanowiło niejednokrotnie o losie całej wojny.

Takiegoż środka chciał użyć teraz W. książę Skirgiełło. Stanął tedy ze znacznem wojskiem krajowem u granic nadniemeńskich, około Kowna, zamyślając wzbronić Niemcom przeprawę. Ostrzeżeni jednak Krzyżacy zniweczyli zamiar książęcy. Główny naczelnik zakonny, marszałek Engelhard, obszedł łądem Skirgiełło, i wpadłszy na niego znienacka, rozbił go do szczytu. „Litwa i Ruś Skirgiełłowa — opowiada kronikarz ruski — nie mogła znieść mnogich puszek krzyżackich i pierzchnęła.” Kilku książąt ruskolitewskich, kilkudziesięciu bojarów, kilkaset koni popadło w ręce zwycięzców. Skirgiełło cofnął się z ostatkiem ku stolicy. Uradowani szczęśliwym po-

czątkiem nieprzyjaciele pomknęli na łodziach pod samo Wilno.

Dnia 4-go września rozpoczęło się oblężenie. Przyszło oblegać właściwie tylko zamki wileńskie. Samo bowiem miasto zniknęło. Ubogie lepianki wileńskie zostały po większej części zniszczone, a ludność miejska ze wszystkiem mieniem, ze składami kupieckimi, z dobytkiem, schroniła się do zamków. Było ich teraz trzy. W północnej stronie miasta, w rozramienieniu Wilii i Wilny, wznosiły się dwa starodawne zamki, t. j. „wyższy,” mniejszy, murowany, na górze, i „dolny,” przestronniejszy, drewniany, tuż poniżej. Na jednym zaś z placów miejskich założono naprędce trzeci gródek.

Tę nową warownię objął W. książę Skirgiełło. W największym zamku „dolnym,” tak zwanym Krzywym Grodzie, głównym przytułku ludności i bogactw miejskich, przewodził rodzony brat królewski, Kazimierz Korygiełło. „Wyższego” zamku, najwarowniejszego ze wszystkich, ostatniej nadziei oblężonych, bronili pod swoim starostą litewskim, podkanclerzem koronnym Mikołajem z Moskorzowa, Polacy. Znajdowali się oni zresztą i w Krzywym Grodzie, pełniąc wszędzie obowiązek najumiejętniejszych doradców w niebezpieczeństwie.

Otoczyły stolicę trzy wojska nieprzyjacielskie, rozłożone w trzech osobnych obozach. Każde z nich miało jedną z warowni miejskich na celu. Od zachodu, naprzeciw gródka miejskiego, usadowił się marszałek Engelhard z Krzyżactwem pruskim i „gośćmi,” pomiędzy którymi ceniono osobiście przywiedzionych przez hrabię Derby przestawnych łuczników z Anglii. Od wschodu, ku zamkowi wyższemu, okopali się Krzyżacy inflancy pod swoim mistrzem. W pośrodku, ku południowi, w obliczu Krzywego Grodu stanął Witold z przychylną sobie Litwą i Rusią. Nadto owaładnięto jeszcze północną granicę miasta, mianowicie północne plece obudwóch zamków, rzekę

Wilie, przegradzając ją mostem, który wzbraniał wszelkiego dowozu oblężonym. Opóźniona już pora pobudzała do tem szybszego działania. Pierwszą uwagę zwrócono ku Krzywemu Grodowi, tej głównej matni ludności, siły zbrojnej i dostatków litewskich. „Mieściła się w nim atoli—jak głos społeczny opiewa—tak wielka liczba zbrojnych, iż niepodobna było opanować go mocą.” Ucieczono się więc do podstępu i zdrady. Powiodło się Litwinom Witoldowym porozumieć się skrycie z niektórymi Litwinami Krzywego Grodu. Skutkiem tego, gdy w szósty dzień oblężenia uderzono powszechnym szturmem na dolny zamek, wybuchnęło tam kilka naraz pożarów. Ogień wewnątrz, szturm zewnątrz, strawione płomieniem bramy dokonały zamachu.

W zgiełku uciekających z pożogi Krzywogrodzan, a wdzierających się do zamku nieprzyjaciół nastąpiła okropna rzeź. Przeszło tysiąc rycerstwa litewskiego poległo prawie bezbrinnie, po większej części za bramą. Przeszło dwa razy tyle dostało się do niewoli. Zapasy i dostatki spłonęły. Czoło Wilna upadło. Pozostało tylko posiąść jeszcze przyległy zamek wyższy, broniony przez Polaków, a trzecia warownia miała sama się poddać.

Przeciwno temuż polskiemu zamkowi wyższemu skierowały się teraz wszystkie usiłowania nieprzyjacielskie. Witold osadził wzgórze pobliskie i „zakopał” tam swoje działa. Łucznicy angielscy wymierzali ku blankom tysiące strzał nieochybnych. Z rycerstwem angielskiem szli w zawody Francuzi, zagrzani przekonaniem, iż walczą z poganami. Niemcy inflancy i pruscy dźwignęli ogromne kusze i tarany przeciwko murom. Z tych kuszy, ze strasznych w Litwie puszek krzyżackich, z łuków angielskich, z dział Witoldowych biła w zamek nieustanna burza pocisków. W niedługim czasie rozwalono niemi pierwszy, zewnętrzny mur. Wojska oblężnicze podsunęły się na lot strzały. Z tak blizkiej odległości mogły owe że-

lazne i kamienne „kamienie” gruchotać tem skuteczniej mur drugi, ostatnią osłonę oblężonych. Okazywały się w nim niektóre już wyłomy. Załoga jednakże nie poddawała się.

Dowódca zamku, podkanclerzy koronny Moskorzowski, nie tracił wcale nadziei. Jednego z nim ducha Polacy postanowili do ostatniej bronić się tarczy. Najprzód odsunięto od wszelkich posług wojennych znajdującą się w zamku garstkę Litwy i Rusi, zdolną uleść pokusie zdrady. Potem z niesłychanym pośpiechem i trudem naprawiano każdą nową szczerbę lub dziurę w murze, zatykając ją ziemią, gruzami, nawet gnojem. Gdy nie stało czasu do zatkania jej zwykłym sposobem, każdy z Polaków własną piersią zapełniał lukę. Gdy jeden zginął, drugi w jego miejsce wstępował. „Temi dwoma środkami—mówi kronikarz—szybkim łataniem wyłomów i niezwłocznem wstępowaniem w stopy poległych, wydolowali Polacy ciągłym szturmom nieprzyjacielskim.”

Owszem, sroga potrzeba wymyśliła osobliwsze środki obrony, całę nieprawdopodobne wyobrażeniom dzisiejszym, lecz nader rzeczywiste i użyteczne podówczas. Dla osłabienia siły pocisków kamiennych rozwieszano przed murem duże skóry bydlęce, których „miękkie objęcia” poczytywane bywały za wielce użyteczny fortel przeciwko „artyleryi” ówczesnej. Potrafiwszy zaś ubezpieczyć się poniekąd przeciwko głazom kuszowym, umiano znieść tem łatwiej próżne postrachy.

W kilka dni po zburzeniu Krzywego Grodu jeli nieprzyjaciele naigrawać Polakom jakąś na wysokim drzewcu zatknietą głową litewską. Była to głowa brata Jagiellowego, Kaźmierza Korygiełły, niedawno dowódcy Krzywogrodu. Zabity w zgiełku szturmowym, został on dopiero dnia piątego rozeznany pomiędzy trupami litewskimi i musiał teraz głową swoją służyć za pośmiewisko dla nieprzyjaciół, za straszdyło przeciw załodze polskiej. Barbarzyńskie igrzy-

sko z brata króla polskiego jeszcze bardziej rozjątrzało Polaków. Nie myślano o poddaniu się. Mijał tydzień jeden, drugi i trzeci, a wszystkie szturmowe oblężnicze chybiały.

Tymczasem nie obeszło się bez jakiejś takiej pomocy z zewnątrz. W. książę Skirgiełło ze swoimi Rusinami wypadał dniem i nocą z trzeciej warowni miejskiej i szczęśliwymi podjazdami trapił Krzyżaków. Trwająca z tej strony walka rozdzielała siły nieprzyjacielskie i niejedną zadawała im klęskę. Czy to od polskiej, czy ruskiej kuli działowej poległ tuż przy Witoldzie jego brat rodzony, Towciwiłł. Rozsrożony niepowodzeniem Witold kazał jakiegoś jeńca Skirgiełłowego, księżęcia Narymunta, obwiesić za nogi na blizkim wiązcie. Po całej przestrzeni dawnego miasta leżały trupy nieopogrzebione, obfita niebawem pastwa zgłodniałych psów litewskich. Także los śmiertelny czekał załogę zamku wyższego, gdyby go wziął nieprzyjaciół. „Byliby Polacy uciekali bez łbów” — upewnia nas z upodobaniem spóczesny kapłan krzyżacki.

Czego wcale nie pragnąc, znosili obrońcy spokojnie „błyskawice bombard krzyżackich,” pociski machin. Już czwarty mijał tydzień, a ów nawpół zburzony zamek wyższy dotrzymywał czoła nieprzyjaciołom. Nie pomogła im coraz gęstsza żółć obelgi i warchołów, miotanych z obozów podzamkowych przeciw bohaterkiej załodze. W miarę mdlejących rąk, wzmagaly się szermierki językowe. Osobliwie Francuzi dojeżdżali Polakom, iż pomagają poganom. Polacy odpowiadali, że Polska i Litwa są ludami chrześcijańskimi, a w dowód tego ofiarują pojedynek rycerski, próbę Bożą. Francuzi przyjęli wyzwanie, czterech Francuzów przeciwko czterem Polakom. Ale nie tu nad Wilią, lecz nad Mołdawą, w czeskiej stolicy Pradze, za kilka miesięcy od dziś umówiono miejsce i porę walki.

Na wileńskim bowiem pobojuwisku już kończy-

ły się boje. Z piątym tygodniem oblężenia, z blizką połową października, nadeszła jesień, utrudniająca do reszty pracę wojenną. Nie stało też „artylerji,” zabrakło szczególnie prochu i mogło zabraknąć wnet żywności. Ani wygodne usposobienie rycerstwa tamtoczesnego, ani stan kraju, który chciano wojować, nie dozwalały dalszych wysiłków. Nie tracąc tedy czasu, zwinęły wojska nieprzyjacielskie jeden obóz po drugim i ustąpiły bez przeszkody do Prus. Na przyszły rok miano wrócić pod Wilno.

Gdy hufce krzyżackie stanęły w Prusiech, W. mistrz Czolner już nie żył. Osierocone naczelnictwo zakonu przyznano jednogłośnie Konradowi Wallenrodowi, najprzód jako namiestnikowi zakonu, później od marca r. 1391, jako W. mistrzowi teutońskiemu. Nowy władca zakonu, właściwy sprawca głównych wypadków dotychczasowych, pierwowzór dwulicowości krzyżackiej, jął się skrętnie dokonania zamierzonej ruiny Litwy, zawsze pod pozorem wywalczenia jej Witoldowi, zawsze podwójną bronią układów pokojowych i wojny.

Niepomyślna wróżba świeżej wyprawy wileńskiej gasła wobec dziwnej uporczywości krzyżackiej. Zaczem odludniej niż kiedykolwiek nadstawał zakon w osobie Wallenroda jedną rękę do zgody z głównymi obrońcami ziemi litewskiej, z Polakami, a drugą ostrzył nóż przeciw Litwie i Polsce. Natychmiast po ogłoszeniu Konrada W. mistrzem, w kwietniu r. 1391, wszczęły się układy o pokój z koroną polską, przeciągane aż do połowy lipca, a jednocześnie czyniono wielkie przygotowania wojenne. Wznowione zostały poprzednie umowy zakonu z pomorskimi i szlązkimi żołdownikami „przeciwko Polsce,” rozesłano po wszystkich krajach szumniejsze niż kiedykolwiek zaprosiny do wyprawy krzyżowej w ziemie „pogańskie,” użyto mianowicie ponęty stołu honorowego, który w roku ni-

niejszym odbyć się miał z niesłychaną dotychczas wspaniałością.

Jak w roku przeszłym, zbiegły się zewsząd niezliczone tłumy rycerskie. Pod tysiącem rozmaitych proporców nadciągnęli Niemcy z margrafem Fryderkiem maszyńskim, z grafami Schwarzburg, Gleihen i Plauen, Francuzi pod swoim sławnym bohaterem Boucicaut, Anglicy i Szkoci pod wodzą swoich Duglasów. Stanął znów Witold z wierną sobie Litwą i Żmudzią. Przybył mistrz inflancki ze swoim rycerstwem. Zebrało się pospołu do 70,000 zbrojnych, ogromna w owych czasach potęga. Około połowy lata wyruszone pod naczelnictwem samegoż W. mistrza Wallenroda ku Litwie, pod Wilno, dla osadzenia tam W. księciem Witolda.

Zgodnie z Wallenrodowem zamiłowaniem w pompie wojennej odbywał się pochód krzyżacki z niezwykłą okazałością. U granic ziemi litewskiej, pod Kownem, zastawiono w dzień św. Idziego, 1-go września, przyrzeczony stół honorowy, „jakiego zakon nigdy dotychczas z tak wielkim nie zastawił przepychem.” Na zielonej wyspie wśród rzeki, pod kosztownym namiotem, przy odgłosie gromkich puzan i trąb, zasiadło dokoła stołu sławy, według wyboru sędziów, czterech najsłynniejszych paladynów rycerskich, a jako piąty mistrz Konrad Wallenrod.

Pierwsze krzesło w tem promienistym gronie przyznano skromnemu rycerzowi z Rakuz, Konradowi von Reichartsdorff, „który łądem pielgrzymował do Ziemi św. i prócz tego odważył się wstąpić z kilku innymi rycerzami w głąb pewnej pieczary górskiej, z kądem tylko on sam powrócić.” Obfitość złota i srebra na stole, widok nadzwyczajnie bogatych darów w klejnotach i gotówce, zachwyciły oczy szczęśliwych biesiadników. Drogo przepłacani heroldowie wygłaszali różnemi językami znamienite czyny wybranych. Jak zakon zakonem nie widział świat ani przedtem, ani potem tak świetnej uroczystości. Szacowano ją na

pół miliona grzywien wydatków z kasy krzyżackiej. Osadzony w Litwie hołdownik Witold miał z lichwą nagrodzić je Zakonowi.

Zaczem huczno, szumno wgląb Litwy! Ale jeśli już w przeszłym roku nie wiodło się do końca orężowi Krzyżaków, tedy rok obecny jeszcze większe stawił trudności. Od czasu przeszłorocznej wyprawy zaszły w Litwie ważne wypadki. Okazała się przeto nieoceniona dobroczynność sojuszu Litwy z Polską. Uboga Litwa potrzebowała pomocy zarówno w pokoju, jak i w wojnie, owszem, jeszcze bardziej po wojnie, niż w ciągu walki. Wojenne łupieże i zamieszki roku zeszłego wyczerpały ostatek sił krajowych. Porozszarpywane składy żywności, niepoobsiewane splotach niedznej roli litewskiej, porozganiane różnemi stronami gromady ludu, ściągnęły teraz zwyczajną klęskę litewską, głód, głód okropny.

Dojął on do tego stopnia wszystkim warstwom ludności, że po raz któryś ogarnęła je myśl rozpacz, myśl tłumnego wychodźstwa z Litwy. Ubodzy i majętni, bojarowie i gmin, dziś pospołu chleba łaknący, chcieli jednym wielkim taborem ustąpić ze swojej ziemi niedoli. Osadzone po zamkach strażę opuszczały z głodu najwarowniejsze stanowiska. Powszechnie wyludnienie czekało dziś jutro całą Litwę. Nazajutrz po takiej ostateczności można było spodziewać się objęcia opróżnionej ziemi przez Niemców pruskich, zaludnienia jej skorymi przybyszami z zachodu. Zagnieżdzenie się teutonizmu po tamtej stronie Bugu zachmurzało ostatnią resztkę jasnego nieba nad Polską. Po części więc dla siebie, częścią dla Litwy, a w całym znaczeniu po bratersku przyspieszyła Korona z pomocą chwilowemu niebezpieczeństwu ludu bratniego.

Zaraz po zeszłorocznem ustąpieniu Krzyżaków z Litwy przybył tam król Jagiełło z zapasami broni, przyodziewku, żywności. Długie rzędy podwód wiozły ogłoconym zamkom ryszstunek, obnażonej zało-

dze sukno polskie, głodnym tłumom obfitość zboża, prosa, słoniny, mięsów polskich. Trwał ten dowóz przez cały ciąg odstępstwa Witoldowego. Spodzielając się dalszych szturmów krzyżackich, myślano o różnostronnych środkach zaradczych. U północno-zachodnich granic polskich powiodło się oderwać zakonowi możnego sprzymierzeńca, uzyskać ważnego przeciwnika Niemcom spólnika. Ów pomorski książę Warcisław, z którym Krzyżacy od r. 1386 kilkakrotnie odnawiali umowy wojenne przeciw Polsce, porzucił teraz sprawę krzyżacką i wraz z braćmi, Barnimem i Bogusławem, uznał się pod koniec r. 1390 hołdownikiem korony polskiej, gotowym do wojny z Krzyżakami.

W Litwie ustanowił król Jagiełło nową, odpowiedzialniejszą czasowi władzę. Polski starosta w Wilnie, waleczny Moskorzowski, złożył przyciężki dla siebie urząd w ręce królewskie. Żaden z Polaków nie chciał go w nim zastąpić, tłómacząc się zbytnią trudnością obowiązku. Główna uciążliwość pochodziła od W. księcia Skirgiełły, niedołęgi, opilca, mającego wprawdzie niejaki zachowanie u Rusi, lecz tem niemilszego Litwie właściwej. Dopóki jego rządów wielkoksiążęcych, dopóty (uznawano to powszechnie) nie było o pokój w Litwie. Usunął więc król Jagiełło Skirgiełłę i wyznaczawszy mu Ruś południową, księstwo Kijowskie, osadził na W. księstwie Litewskim drugiego ze swoich braci rodzonych, Wigunda Aleksandra, zięcia Opoleczykowego.

Nowy rządca Litwy wcale innych był obyczajów. Najzdolniejszy ze wszystkich braci królewskich, wraz z Jagiełłą łacińskim w Krakowie ochrzczony chrztem, zaniechał on od tego czasu wszelkich śladów dawnego prostactwa litewskiego, i w stroju, mowie, ruchach, obejściu i całym pożyciu swoim zdał się „starodawnym Polakiem i szlachcicem.” Pod jego sterem podjął się starostwa, czyli (jak też na Litwie mówiono) „województwa” wileńskiego Ma-

łopolanin, Jaśko z Oleśnicy, herbu i zawołania Dębno.

Nastąpiło to w samo przedjutrze świeżej wyprawy krzyżackiej. Odważny Jaśko nie wahał się użyć najgwałtowniejszych środków obrony. Słabość sił odpornych pozostawiała jedynym sposobem ratowania się — zupełne zniszczenie kraju przed Krzyżakami. W wykonaniu tej ostateczności zniszczono w całej okolicy Trok i Wilna pozostałe z roku przeszłego szczątki siedlisk ludzkich, uwiezono resztki zapasów, spalono wszelką paszę dla koni. Świetna, szumna wyprawa Wallenroda miała skończyć głodem i nędzą.

Aż nadto prędko spostrzegli się na tem Krzyżacy. Zaledwie pod Troki przyciągnięto, okazało się, iż pustynia czeka biesiadników wspaniałej uczytki kowieńskiej. Pierwszym tego skutkiem musiała armia krzyżowa rozdrobnić się w kilka oddziałów, zajętych małemi wycieczkami po okolicach mniej spustoszonych. W. mistrz Konrad z „gośćmi” skierował się w jedną stronę, Inflancczykowie z Witoldem w drugą.

Zamiast zdobywania stolicy, trudzono się obleganiem gródków ubocznych, których opanowanie nie przynosiło pożytku, a z których każdy zawierał bogdaj garstkę załogi polskiej. Podstępiono wprawdzie pod Wilno, lecz spostrzegłszy i tam też samą ruinę i perzynę, trąciwszy nadto o jakieś zdala przez Jaśka Oleśnickiego pourządzane zasieki i ostrokoły, ówczesnym wyrazem *kobylenie* i *sranki*, ujrzano się w smutnej konieczności odwrotu. Przed czasem, bo już w drugiej połowie września, stanęła armia krzyżacka z upokorzeniem napowrót u granic pruskich.

Aby czemkolwiek przecieć okraścić nędzę pyśnej wyprawy, jakimkolwiek blichtrzem pomocy zaspokoić Witolda, zbudowano trzy nieistniejące dziś zameczki drewniane nad Niemnem w pobliżu Kowna i Grodna, Ritterswerder, Neugarden i Metenburg,

z których czy to jeden, czy wszystkie oddano wygnańcowi w dzierżenie. „Z tych zameczków — prawdziwszy dziejopis Niemców pruskich — mógł Witold o własnych siłach podbić sobie Litwę.” Znać czyło to wymagać odeń dzieła, któremu nie sprostały dwuletnie wysilenia zakonu, poparte liczniejszym, niż kiedykolwiek, udziałem ludów zachodnich. Tak dalece zmieniły się widoki zawojowania Litwy, odkąd Polska stanęła przy niej na straży.

Nie mógł nie zastanowić się nad tem nasz Kiejstutowie, jeszcze niepomyślniejszym teraz, niż dawniej zgnębiony losem. Zdradziecka spółka z zakonem pozbawiła go księztw brzeskiego i grodzieńskiego, ścisnęła go potrzebą ofiarowania Krzyżakom w zakład własną żonę, dzieci, braci, bojarów, trzymanych dotąd pod nadzorem w różnych zamkach zakonnych, a nie wynagrodziła go żadną odpowiednią korzyścią. Jakoż stracił Witold wszelką od tego czasu wiarę i nadzieję w skuteczność swoich związków z Niemcami.

Ale nie synowi to Kiejstuta tracić otuchę w cieśni. Zaiste „on sam” najdzielniejszą sobie pomocą. Wkrótce po niezdarnej wyprawie Wallenrodowej postanowił Witold na własną rękę rozpocząć bój o fortunę ojczystą, przedewszystkiem o utracone księztwa brzesko-grodzieńskie. Z wierną sobie Litwą i Żmudzią, z garstką rot posiłkowych, których na moey obopólnych przysięg i dokumentów nie mogli odmówić mu Krzyżacy, podjął książę nagłą wyprawę zimową w strony litewskie. W ostatnich dniach listopada opanowano Merecz, w kilka dni później, 6-go grudnia, stolicę dawnego księztwa Witoldowego, Grodno.

Zdobyta przed dwoma laty z najwyższem wyteńżeniem się przez Polaków, popadła ona teraz po najzaciętszym oporze w ręce Witolda. Broniła Grodna załoga litewsko-ruska przy pomocy kilkudziesięciu, czy ledwie kilkunastu Polaków. Gdy nieprzyjacieli

w końcu zapalił twierdzę, umyślili Litwini i Rusini poddać się, Polacy bronić się dalej. W sporze o to rzuciła się Litwa z Rusią na Polaków, już tylko ciemnastu, i zamknawszy ich w wieży, poddała Grodno Krzyżakom i Witoldowi. Teraz za omyłone nadzieje Witoldowe, za niepowodzenia wypraw krzyżowych, spadła zemsta na jeńców polskich. Trzech uprowadzono żywcem do Prus, piętnastu natychmiast ścięli Krzyżacy. Zdaniem rycerzy N. Panny, należała się ta chłosta ludowi niewdzięcznemu, który mimo tylokrotnie zapewnioną mu miłość i pomoc krzyżacką, nie dopuszczał Krzyżakom zagarnięcia całej Litwy i Rusi, przyznanej im najprawomocniejszymi dokumentami cesarzów i papieży.

Niespodziewana odwilż, powstrzymująca zwyciężkie postępy oręza Witoldowego, ochroniła resztę załóg polskich na Podlasiu od dalszych dowodów „miłości i pomocy” zakonu. Samo opanowane przecież Grodno dźwignęło już cokolwiek sprawę Witolda. Poparły ją niebawem inne jeszcze wypadki. Już od pierwszych tygodni tegoż roku siedziała córka jego, Zofia, czyli Sońka, inaczej Anastazyja, na wielkksiążęcej stolicy w Moskwie. Ów młody książę moskiewski Wasil, któremu przed czterema laty wypadło na Mołdawię i Ruś wołyńską wracać z niewoli tatarskiej do ojczyzny, został w tym czasie po śmierci ojca Dymitra W. księżciem Moskwy. Dawniejsza gościna u Witolda, może zawarte już wówczas zaręczyny, skłoniły go teraz do rzeczywistego poślubienia młodocianej prawnuki Gedymina.

Wrychle po wychodźstwie Witolda z całą rodziną do ziemi pruskiej nadpłynęło do niego morzem Bałtyckiem poselstwo z Moskwy, proszące o córkę dla W. księcia Wasila Dymitriewicza. Witold wyprawił Sońkę w towarzystwie bratanka Iwana, księcia holszańskiego, tudzież wielu bojarów, wraz z poselstwem swadziebnem przez morze i Nowogród do Moskwy, gdzie ona w kilka tygodni później posiadała

rękę i tron oblubienicą. Tak ścisły związek z W. księciem moskiewskim kazał wschodnim ziemom litewskim obawiać się w każdej chwili nieprzyjacielskich kroków Moskwy na rzecz Witolda.

A w miarę przybywających mu sprzymierzeńców ubywało mu przeciwników. W kilka tygodni po wzięciu Grodna umarł nowy W. książę litewski, Wigund Aleksander, którego godność niedawna była ostatnim celem życzeń Witolda. Powszechna pogłoska mieniła Wigunda otrutym, a popełnienie tej zbrodni przypisywano stronnikom Witoldowym. Owszem, zachodziła obawa, aby i wszystkim następcom Wigunda, t. j. najbliższym plemiennikom krwi Jagiełłowej, nie zdarzyła się za sprawą Witolda taż sama z kolei śmierć. Do tylu różnych niedogodności pobytu Witolda u Krzyżaków, do obawy ciągłych jego napadów, do widoków nieustannej z jego poduszeczenia zamieszki w kraju, przyszło podejrzliwemu królowi lękać się jeszcze o życie braci.

Takiemu stanowi rzeczy należało pragnąć końca czempredzej. Zarówno trudność zbrojnego przełamania Jagiełły przez Witolda, jako i ukrócenia Witolda przez Jagiełłę, wskazywała jedynym sposobem wyjścia z tej cieśni — zgodę. Młodzieńcza płochość czasu nie znała żadnej przewiny lub urazy, któraby się nie dała przejednać i przebaczyć. Jeśli szlachcicowi tamtoczesnemu, jak nam ze statutu wiadomo, można było dwukrotnie przekonany być o rozbój gościńcowy, a nie stracić prawa do zaszczytów i łask publicznych, to i w sporach z Witoldem godziło się zapomnieć dwukrotną zdradę połączenia się z Krzyżakami, zapomnieć podejrzenie o śmierć Wigunda. Wrodzona dobroć Jagiełły, skora osobliwie do puszczenia w niepamięć wszelkich przykrości osobistych, podawała w każdej chwili rękę do pojednania. Czas łatwego powszędy rozgrzeszenia, czas odpustów, czas łaski, przyspieszał zgodę.

W niewiele tygodni po śmierci Wigunda nastą-

piło przyjazne porozumienie między wrogą bracią stryjeczną. Ze względu na Krzyżaków, przeciwnych wszelkiej zgodzie między Jagiełłą a Witoldem, musiało ono zawiązać się potajemnie. Obeszło się przecież bez zbyt wymyślnych fortelów ostrożności. Owszem, własna Krzyżaków obłudność, ich ustawiczne konszachty i posyłki pozorem układów o rozejm z Polską, ułatwiły dworowi polskiemu zbliżenie się do Witolda. Broń podstępny, którą zakon wojował zwykle, obróciła się przeciw niemu samemu. W takim razie, jak często bywa, najpodstępniejszy pada najłatwiej ofiarą podstępności.

W początkach roku 1892 stanął przed komturem krzyżackim zamków Christborg i Balga młody prałat polski, mający zlecenie układać się z Krzyżakami o pokój. Osoba posła wzbudzała wszelkie uszanowanie. Był to książę mazowiecki Henryk, najmłodszy brat książąt Janusza i Ziemowita, od dwóch lat nominowany biskup płocki i rzeczywisty rządca biskupstwa. Ojcowska niegdyś wola przeznaczyła go do stanu duchownego, a pełne przygód, lubo niedługie życie przedstawia w nim osobliwsze igrzysko losów.

Jeszcze w żywocie matki zaciężyła nad nim dłoń przeznaczenia. Matka jego, druga małżonka starego księcia Mazowsza, Ziemowita, urodzona księżniczka szlązka na Munsterbergu, czyli Ziębicach, słynęła z rzadkiej piękności. Stary książę Ziemowit był dumny i zazdrosny. Podszepty ludzkie, przez własną siostrę księżką, panującą księżną cieszyńską, doniesione Ziemowitowi, posadziły młodą i piękną panią Mazowsza o niewierność. Było to dość dla księcia. Nie ułagodziły go najświętsze upewnienia niewinności z ust panien pokojowych, napróżno torturami badanych. W jednej chwili stanął wyrok śmierci dla żony i jej mniemanego spółwinowajcy.

Ten ostatni popadł w ręce pogoni księżęcej w Prusiech, i najpierwej kołmi rozdarty, został na

stępnie zawieszony na szubienicy. Księżna znalazła się wówczas brzemenną i miała jedynie tyle czasu zostawionego sobie do życia, aby powieć syna w więzieniu w Rawie i zginąć z rozkazu męża. Nowonarodzoną dziecinę, naszego Henryka, przedmiot obrzydzenia dla ojca, poruczono piersiom ubogiej szlachcianki wiejskiej w pobliżu Rawy. Trzeciego roku jaćś trzech zbrojni ludzie najechali nocą zagrodę i uwięzili z sobą pacholę.

Przeszło ono w ten sposób pod opiekę swojej starszej siostry przyrodniej, zameżnej księżny szczecińskiej. Wypielegnowane jej litośnem staraniem, dorosło biedne dziecko chłopięcych na dworze szczecińskim lat. Wtedy ujrzał je przypadkowo stary książę Ziemowit, a stanawszy po raz pierwszy przed surowem obliczem ojca, okazał się młody Henryk żywym jego obrazem. To skruszyło srogą duszę księżęcia. Uznał zapóźno niewinność żony, zbrodnię swojej ławowierności. Nie pozostał już inny sposób wynagrodzenia onej, jak wrócić serce synowi. Pokochał go też książę najgorętszą odtąd miłością, a chcąc jakkolwiek ofiarę przynieść Bogu za swoją winę, umyślił poświęcić syna na niebiosom.

Młody książę otrzymał przeznaczenie duchowne. Przywdziano mu zaraz sukienkę mniszą, przyuczono go pisma, zaprawiano w łacinie. Nie mając jeszcze lat 10, posiadał Henryk probostwo płockie. Niebawem obmyślił mu ojciec drugie, intratniejsze, łeczyckie. Gdy arcybiskup gnieźnieński przeciw prośbom ojcowskim nadał je niejakiemu Pelce z Grabowa, rozgniewany książę jednym wojskiem najechał włości kościoła łeczyckiego, a drugim obległ arcybiskupi Łowicz. Książątko zostało proboszczem łeczyckim. W nieco dojrzalszych latach, po przyjęciu święceń duchownych, patrzyło mu łada opróżnione biskupstwo.

Tak pomyślne postępy poświęconego Bogu syna cka wielce radowały starego księcia, może przynosi-

ły ulgę sumieniu. Lecz młodzieńcowi księżęcem nie sprawiały one wcale pociechy. Poniewolną ofiarę swojego duchowieństwa poczytywał on za ciężkie brzemie, do którego nie czuł się powołanym. Ponieważ jednak wyrósł w sukience duchownej, przeto i po zgonie ojcowskim nie wzięwszy żadnego dziedzictwa w ziemiach, nosił ją dalej. Dla polepszenia losu postarali się bracia, Janusz i Ziemowit, o zaopatrzenie Henryka biskupstwem płockiem, które właśnie zawakowało. Upomniona w tej mierze kapituła płocka, uczyniła zadość prośbom księżęcem, i widząc Henryka subdyakonem wyświęconym, obrała go biskupem. Papież, Bonifacy IX, bez żadnej trudności potwierdził wybór.

Stało się to na wiosnę r. 1391, między pierwszym a drugim oblężeniem Wilna za Walenroda. Obrany i potwierdzony Henryk siadł na stolicy biskupiej, lecz potrzebując jeszcze konsekracyi, nie śpieszył z dopełnieniem tej ceremonii. Już rok upływał, a nowy biskup płocki, rzeczywisty zarządca dochodów swego biskupstwa, używający powszechnie tytułu biskupiego, nie był jeszcze konsekrowanym.

W tej to porze zapotrzebował król Jagiełło tajnego orędownika u Witolda. Jednym z najrzęczniejszych nastęrczył się młody biskup Ziemowitowic. Jego duchowna piśmienność, jego niemieckie wychowanie w Szczecinie, uzdolniały go nad innych do poselstwa w ziemi krzyżackiej, a wiek młodzieńczy (książę mógł liczyć najwięcej lat dwadzieścia) niczem mu wówczas nie wadził. Wyprawił się tedy Henryk w początkach roku 1392 pod pozorem układów o dalszy pokój z zakonem w swoją tajną misję do Prus i, jakżeśmy powiedzieli, stanął najpierw u komtura z Christborga w Baldze. Ten za nastrojeniem księżęcia ujrzał rzeczą stosowną wysłać go uprzednio do Witolda. I owoż snadniej, niż się można było

spodziewać, stanął poseł polski w progach Kiejstutowica, gdy ten syt był związków z zakonem.

Witold przemieszczał w niedawnym zamku Ritterswerder, t. j. Wyspa rycerska nad Niemnem w pobliżu Kowna. Nie mogąc znieść rozłączenia z małżonką, trzymaną dotąd przez Krzyżaków w zakładzie, zdala od męża, wyjednał on sobie temi czasy u Wallenroda, iż mu nadesłano księżnę do Ritterswerder. Przybyła tam z nią młoda siostra Witoldowa, Ryngała. Drugą siostrę, Annę-Danutę, znany oddawna małżonką księcia mazowieckiego, Janusza, bratową posła naszego. Ztąd wstąpił nasz Henryk odrazu jako swojak w rodzinne kółko wygnańczego zamku nad Niemnem.

Wstąpił zaś jako gość pożądany z nader pomyslnymi wieściami. Po krótkim bowiem przygotowaniu okazał młody biskup starannie ukryte listy i dokumenty Jagiełły, zapewniające Witoldowi, pod warunkiem odstąpienia zakonu i powrotu do Litwy, całą ojcowiznę litewską i rządy wielkokiążęce. Witold niczego więcej nie pragnął. Zaraz też stanęła zgoda zupełna. Uroczystość św. Jana w przedleciu oznaczono terminem powrotu Witoldowego. Aż po tę porę należało jaknajściślej zachować tajemnicę. Poselstwo biskupa powiodło się nader szczęśliwie.

Słuszną ztąd radość posła powiększało nader serdeczne przyjęcie w rodzinie Witoldowej, nawet ze strony Ryngały. Młoda księżniczka litewska wpadła Henrykowi głęboko w oko i serce. Ówczesne układy dyplomatyczne, zwłaszcza polsko-litewskie, np. między Jagiełłą a Ziemowitem, Opolczykiem, wojewodą mołdawskim, Piotrem i t. p., kończyły się zwykle jakimiś zaślubinami. Ani Piast mazowiecki, ani Gedyminówna trocka nie mieli wstrętu do poślubienia się wzajem, a Witold, znany z niewielkiej czci dla stanu duchownego, zapewne nie omieszkiał dodać zachęty.

Zaczem bez dalszej zwłoki nastąpiło uwieńczenie zgody między Jagiełłą a Witoldem, uszczęśliwieniem Henryka i Ryngały. Potrzebna ku temu dyspensa od święceń duchownych miała przyjść później. W wiekach średnich dbano nadzwyczaj sumiennie o dyspensy, ledwie nie każdemu małżeństwu ówczesnemu dla jakichciś stopni powinowactwa duchownego potrzebne, lecz dbano dopiero po dopełnionym akcie małżeńskim. Co i w obecnym naśladować wypadku, sprawiono przedewszystkiem szumne gody weselne.

Odbyły się one „po xiążęcemu”, z zachowaniem wszelkich obrzędów i uroczystości zwyczajnych. Przez trzy tygodnie trwała ta weselna gościna Henryka w Ritterswerder. Pod koniec godów dowiedział się król Jagiełło o tajemnej zgodzie z Witoldem, a ożeniony poseł, nie zrzekając się swego biskupstwa, a przynajmniej dochodów płockich, pozostał z żoną w stronach litewsko-ruskich, najprzód w Surazu podlaskim, potem zaś w Łucku.

Odtąd głównem zadaniem Witolda było pościąganie z zakładu krzyżackiego resztę braci, krewnych, bojarów. Pod pozorem jakoby ich zakładnictwo zdawało się całej Litwie Jagiełłowej niewolą, która odstręcza krajowców od połączenia się z Witoldem i zakonem, powiodło się nakłonić Krzyżaków do nadesłania mu książąt, Hleba smoleńskiego, Iwana holzsańskiego, Jerzego bełzkiego, tudzież większej części bojarów. Pozostali tylko rodzony brat Witoldów, Wigmund, i dwaj mali Witoldowice w ręku Krzyżaków, w Malborku i Królewcu.

Dla tem pewniejszego uspienia baczności krzyżackiej podjął Witold jeszcze dwie wycieczki zbrojne do Litwy, jedną pod Lidę, drugą już w połowie maja do Miednik. W obudwóch uczestniczyły liczne rotty krzyżackie, stojące załogą w Ritterswerder i w Grodnie, jako też w innych nowopobudowanych zamczkach. W nadziei dalszych wycieczek nadszła.

niemało zagranicznych gości krzyżackich, których Witold aż do obiecaney wyprawy musiał ugaszczać w swoim zamku. Przybywało też z Litwy coraz więcej stronników, poddających się ślepo rozkazom Witoldowym.

Tymczasem nadszedł i św. Jan. Zgromadzona około księcia Litwa i Żmudź otrzymała hasło gotowości do ważnych kroków. Nim się załoga krzyżacka i „goście” w Ritterswerder spostrzegli, zabrano im wszystek oręż. Rozbrojone krzyżactwo musiało zdać się na łaskę. Ochotnikom zagranicznym pozwolił Witold odejść bezpiecznie; ludzie krzyżacy, zbrojni i kupcy, pozostali w niewoli. Potem wypróżniwszy ze wszystkiego Ritterswerder, kazał Witold podpalić zamek, a sam czemprowadził ruszył pod Grodno.

Ostrzeżeni o zdradzie Niemcy grodzieńscy, wyszli zbrojno na spotkanie księcia. Krótka walka podała zwyciężonych w moc Litwy. Oswobodzone Grodno przyjęło silną załogę Witoldową. Reszta podobnie opanowanych zameczków stała się pastwą płomieni. Te ognie świętojańskie oczyściły całe porzecze nadniemeńskie, całe Podlasie, z ostatnich śladów krzyżackich. Dotrzymawszy tem przyrzeczenia, udał się Witold z całym domem wędrownym napowrót do Litwy ku Wilnowi. Uwiadomiony z Polski starosta wileński, Jaśko Oleśnicki, przyjął go z czcią i radością w Krzywym-grodzie wileńskim. Za lada chwilę miał sam król polski przybyć do Litwy.

Jakoż nadbiegła wnet pogłoska, że Władysław Jagiełło razem z królową Jadwigą są już w granicach W. księstwa. Witold z całą rodziną i drużyną pośpieszył na spotkanie królestwa. W połowie lata 1392 zjechały się oba dwory przed Lidą, w Ostrowiu nad rzeką Dzitwą. Była to ogromna majętność skarbu książęcego, godna pomieścić tak świetne grody gości. Dziś mała wioska szlachecka, słyną

Ostrów starożytny jako częsta siedziba W. książąt, obfitująca we wszelkie ku temu wygody i ozdoby. Na zrębie istniejących dotąd fundamentów i sklepiń podziemnych wznosiły się niegdyś „pałace obszerne,” otoczone niezmiernymi ogrodami i osadami. Najpiękniejsza pora roku krasila je teraz bujnem w Litwie kwieciem i wonią.

I nie samej tylko przyrodzie śmiały się nieba w Ostrowiu. Jak okolica słońcem lipcowem, tak zgromadzone tam towarzystwo książęce jaśniało zadowoleniem radości. Zawiażujący się teraz węzeł braterstwa między Jagiełłą a Witoldem rozpoczął dla obu dwóch książąt epokę pomyślności i sławy, stał się drugim połączeniem Korony z Litwą. Duszą tego nowego zjednoczenia, panią całej wiekopomnej uroczystości ostrowskiej, była znów królowa polska Jadwiga. W pełnym kwiecie lat i piękności, otoczona już chwałą przywróciicielki Rusi Czerwonej, mądra jednawczyni i pośredniczka w najzawilszych sprawach korony, właściwa dziedziczka i pani Polski, zniewalała ona wszystkich swoją powagą, swoim urokiem i rozumem.

Od niej to niewątpliwie wyszła pierwsza pobudka do odzyskania Litwie szlachetnego wygnańca grodzieńskiego. Ku niej też zwraca on obecnie w Ostrowiu swój pierwszy hołd pojednawczy. Takimże hołdem porucza się Jadwidze także Witoldowa małżonka, księżna Anna. Obok Jadwigi, jako właściwej królowej Polski, występuje tu Jagiełło głównie jako „najwyższy zwierzchnik Litwy.” Od tego zaś wymagała chwila terazniejsza przede wszystkim umorzenia dawnej waśni między Witoldem a jego najistotniejszym przeciwnikiem Skirgiełłą, niedawnym W. księciem Litwy, którego niezastużona dostojność wielkoksiążęca najboleśniej bodła Kiejstutowica. Za staraniem Jagiełły jednają się w tej porze obaj powaśnieni książęta. Mniej godny, acz drogi braterskie-

mu sercu Jagiełły, ustępuje pierwszeństwa godniejszemu, acz mniej miłemu.

Dziki Skirgiełło poprzestał na wydzielonem mu księstwie Kijowskiem, a Litwę z Kiejstutowym niegdyś udziałem trockim i z godnością wielkoksiążęcą uznał Jagiełło słuszną własnością Witoldową. Witold osiągnął pożądane W. księstwo litewskie z ojczystymi Trokami, za co na rzecz Skirgiełły rzekł on się wzajemnie swoich praw do niektórych zamków wołyńskich, mianowicie Krzemieńca ze Stożkiem. Jak w ogólności między Koroną i królową polską a dotychczasowym przeciwnikiem jej połączenia się z Litwą, Witoldem, tak w szczególności między tymże Witoldem a jego dotychczasowym spółzawodnikiem Skirgiełłą stanęła teraz najściślejsza jedność, zgoda i wspólność. Gdyby kiedykolwiek wyniknąć miały nowe niesnaski, przyrzekają i obowiązują się strony obiedwie zdać się bezwarunkowo na wyrok światobliwej pośredniczki obecnego sojuszu, królowej polskiej Jadwigi.

Ku potwierdzeniu tego wszystkiego posłużyło pięć dokumentów, jedynych dla nas śladów pięknej gościny pojednawczej w Ostrowiu. Trzy ułożone zostały tamże natychmiast, w dzień św. Dominika, 4-go sierpnia; dwa dalsze nieco później, 6-go grudnia, w Bełzcach. Z tamtych pierwszym, wydanym przez Witolda, pełnym uciechy z uśmierzenia krwawych od dawna niezgód, ślubuje on „pozostać wiecześnie w związku z królestwem polskiem i koroną polską i królową polską Jadwigą, nie znać nigdy żadnej innej zwierzchniczki i pani nad nią, lecz owszem, przykładać się wszelkimi siłami do jej czci, pożytku, uwielbienia i sławy, jako też bronić ją, zasłaniać i ostrzegać od wszelkich nieprzyjaciół i przeciwników.” Drugi zaręcza toż samo w imieniu księżnej Anny, małżonki Witoldowej. Trzecim obowiązuje się też księżna Anna czuwać nad niezmiennem dochowaniem wierności i obietnic W. księcia Witolda.

Z bełzeckich zaś zapisów jeden oświadcza z ramienia króla Jagiełły, iż książęcy bracia Skirgiełło i Witold zgasili w sercu swoim wszelką nieprzyjaźń dawną i przyrzekli sobie żyć nadal w zgodzie i miłości braterskiej. Drugim sam Witold wynurza to Skirgiełło, zwojemu „spółtowarzyszowi, odtąd i bratu,” upewnionemu teraz o jego wiernej pomocy przeciwko wszelkim nieprzyjaciołom, z wyjątkiem korony i królowej polskiej Jadwigi. Jadwiga najwyższą patronką, Jadwiga ostatnim celem pojednania w Ostrowiu.

Z Ostrowia ruszyło całe towarzystwo książąt do Wilna. Tam wileński biskup, Andrzej, uwieńczył Witolda mitrą wielkoksiążęcą. Odtąd przez lat blisko 40, aż po koniec życia pojednanych synów Olgerda i Kiejstuta, nie zerwała się już stanowczo zgoda ostrowska. Po długich walkach z losem dobił się szlachetny wygnaniec pruski godnego siebie pola działania i zaszczytów. Jakoż wkrótce uczuła Litwa umiejętną rękę nowego władcy. Zaraz po nastąpieniu Witolda zaczęła ona ku radości Jagiełły wracać do sił i dóbr, które w zamieszkach lat ostatnich niezmiennie podupadły, a teraz w nieznanej dawniejszym i późniejszym czasem rozmogły się obfitości.

Doznali tego najjawniej i najniechętniej Krzyżacy. Nie mogąc zrzec się odrazu dawnych planów zaborszych, tłukli oni jeszcze przez jakiś czas rogami pychy swojej o Litwę, nawet o bramy Witoldowej stolicy Wilna, lecz coraz nieszkodliwiej dla Litwy, coraz szkodliwiej dla siebie samych. Już to ciągnęła pomoc Polaków, już potężne rządy Kiejstutowica, tak dalece znieudolniły oręż Krzyżacki, że, wybierając z dwojga złego, woleli Krzyżacy zaniechać dalszych szturmów do Litwy, niż teraź siły naproźnie.

W r. 1398 dojrzał nawet „wieczysty” pokój między zakonem a Litwą. Wrócił on Witoldowi pozostałego w zakładzie malborskim brata. Zatrzymanych

w Królewcu dwoje dzieci Witolda otruł któryś z Krzyżaków. Bezdzielnemu po mieczu W. księciu Litwy pozostało być już tylko „ojcem ojczyźnie swojej.” Czczono go też powszechnie tem mianem, wysłużonem przez niego niespracowaną twórczością we wszystkich życia narodowego zawodach. Nieco później znajdzie się miejsce kilku bliższym w tej mierze słowom. Teraz, po długiem oddaleniu od ziem Polski właściwej, przypatrzwszy się mijającym przed nami widokom chrztu Litwy, odzyskania Rusi Czerwonej, waśni i zgody Witoldowej, odprowadzić nam króla Władysława napowrót nad Wisłę.

Toć nawrócenie ojczyzny i wcielenie ziemi halickiej nie wyczerpały jeszcze jego koronacyjnych zobowiązań względem Korony. Oprócz naprawionego już uszczerbku Rusi, oprócz przyjętego w intyulację Jagiełłową Pomorza, był jeszcze w samym wnętrzu korony znaczny do wyrównania szczerb, szeroki kraj Opoleczyka. Nadany teraźniejszemu posiadaczowi samowolą ojca Jadwigi, chwiał się ten kraj dotychczas między zupełną nienawiścią a niejakim związkiem z Koroną. Jagiełłowa wierność przyrzeczeniom koronacyjnym położyła obecnie koniec tej niepewności. Obaczmy jakim sposobem.

Lecz cóż się stało z nowożeńcem ritterwerder-skim, z tajemnym skojarzycielem zgody z Witoldem? Wraca on razem z nami do Polski, ale bez żony, nieżywy, na wozie pogrzebowym. Poniewolna ofiara Boga za zbrodnię ojca, padł Henryk także ofiarą postannictwa swojego. Po godach weselnych osiadł książę z małżonką w niedalekim Suraz, może posagowym udziale żony. Rychły napad wojsk zakonnych na Suraz, zagroziwszy go ledwie uniknionem niebezpieczeństwem popadnięcia w ręce krzyżackie, wygnał Henryka ztamtąd do Łucka. Była to siedziba bezpieczniejsza od wrogów pruskich, lecz niedość bezpieczna od innych nieprzyjaciół.

A dziwne zawikłanie losów młodego Piasta oto-

czyło go ómą przeciwników. Jego małżeństwo wbrew dostojności duchownej, jego oddalenie od biskupstwa, a ciągle pobieranie dochodów plockich, niepodobieństwo przyzwolenia kapituły plockiej na biskupa żonatego, a niechybny gniew i odwet starszych książąt Mazowsza przeciwko kapitule wrazie jej oporu Henrykowi, zagmatwały cały jego stosunek ze światem w trudny do rozdzierzgnięcia węzeł. Znalazła się ręka, która go wnet przecięła. Wieki średnie, jak tylokrotnie musieliśmy nadmienić, nie wahały się w postanowieniach, a tem mniej w środkach. Najłatwiej czyniła zadość trucizna. W kilka miesięcy po przybyciu do Łucka został nominat plocki (używając dawnego wyrażenia) „zastrzelony z polewki.”

Podejrzanie o to padło na małżonkę Ryngałłę. Bądź co bądź, w niespełna rok po ożenieniu, w zimie r. 1392 na 1393, odwieziono zwłoki Henryka samianami do Płocka. Nie przyjęte pomiędzy biskupów, spoczęły one pomiędzy zwłokami przodków, w grobach książęcych. Owdowiłą Ryngałłę pojął później wojewoda mołdawski. Wszakże i te nowe śluby nie miały, jak się zdaje, błogosławieństwa. Dochodzi nas bowiem nawiasowa wiadomość, że jeden z książąt mołdawskich odesłał do domu poślubioną sobie siostrę Witolda. Była to najprawdopodobniej nasza Ryngałła.

W dalszych 30 lat, w r. 1421, uzyskała ona na starość od książąt mołdawskich, Aleksandra i Ilii, dożywotnie zapewnienie dochodów z miasteczek Sere-tu i Rotkowca, tudzież sumę 600 „dukatów, czyli czerwonych złotych, węgierskich.” Co się z nią dalej stało, nie wiemy.

XIX. NADERSPAN.

Targi Luksemburczyków z zakonem o Nową Marchię. — Wątpliwość granic polskich w tej stronie. — Spór o Drezdenko. — Ofiarowanie Krzyżakom Dobrzyń i Kujaw przez Zygmunta. — Opoleczyk, czyli Naderspan głównym tego doradcą. — Bliższy obraz Naderspana. — Dyplomata w XIV wieku. — Względy Stolicy apostolskiej. — Powszechne w końcu zrażenie sobie umysłów. — Niezmienny pociąg ku zakonowi. — Zastawienie mu ziemi dobrzyńskiej. — Projekt rozbioru Polski. — Upadek Naderspana. — Żądanie hołdu i wypowiedzenie mu wojny przez Polaków. — Zamać krzyżacki przeciwno ks. Januszowi mazowieckiemu. — Śmierć Wallenroda. — Odstręczenie się sprzymierzeńców od Naderspana. — Wyzucie go ze wszelkich ziem przez Polaków. — Wyprawa polska na Szląsk. — Dziesięcioletnie oblężenie Bolesławca. — Waśń Naderspana z zakonem. — Sprawa o Dobrzyń między zakonem a Polską. — Zjazd Jadwigi z Krzyżakami w Inowrocławiu. — Śmierć Opoleczyka. — Wykupienie ziemi dobrzyńskiej przez Polaków. — Drezdenko zarzewiem przyszłych sporów z zakonem.

Tej samej wiosny, kiedy wygnańcza rodzina Witoldowa przyjmowała w Ritterswerder tajnego posła polskiego, stanął w Malborku u W. mistrza Krzyżaków Wallenroda niemniej ważny, a również poufay poseł z kądinąd. Przybył on z Węgier, od króla Zygmunta Luksemburczyka, ustalonego już na starożytnym tronie Arpadów, a miał skłonić W. mistrza do zakupu pogranicznej prowincji Nowej Marchii, którą już poprzednikowi Wallenrodowemu, Czolnerowi, ofiarował podobnie na sprzedaż kto inny, t. j. brat Zygmunta Wacław, król rzymski, i Jan Gorlicki, margrabia Łużyc. Ci chcieli wówczas za Marchię dziesięćkroć 100,000 florenów; teraźniejszy poseł Zygmunta żądał tylko połowę, 500,000. Wszakże i ta ostatnia cena zdawała się jeszcze wygórowaną Krzyżakom, gdyż właśnie przed kilku tygodniami zgłosili się owi pierwsi sprzedawcy, Wacław i Jan, po raz wtóry, żądając tylko 300,000.

Samych panów pruskich, lubo zdawien dawna przyzwyczajonych do frymarków tego rodzaju, zdziwiła niepoczesna natrętność Luksemburczyków. I rzeczywiście przedstawia ona jeden z ciekawszych przykładów publicznej moralności średnich stuleci. Kupeząc krajem i ludem, jak rzeczą martwą, zniżając szalbierskim targiem coraz bardziej cenę swego towaru, ciśnąc się w zawody do owej „wieży złota,” którą słynni ze swoich bogactw Krzyżacy mimowolnie pomimowolnie pociągali ku sobie wszystkich łakomców onego czasu — narzucało im kilka różnych rąk jeden i ten sam towar z tak podejrzaną natarczywością, że mogła powstać wątpliwość, czy którakolwiek z nich ma jakie takie prawo do niego.

Ale gdzie interes tego nie żądał, tam Krzyżacy nie wglądali w cudze sumienia. Nie odrzucono więc ostatecznie ani Wacławowego, ani Zygmunтового przedłożenia. Wacławowi i Janowi, księżęciu na Gorlicach, rzeczywistemu panu Nowej Marchii, oświadczył zakon gotowość do kupienia jej za 300,000 zł., byle nadesłano dokładny spis wszystkich intrat, czynszów i przywilejów tej ziemi, który jeszcze dotąd nie nadszedł. Zygmunt otrzymał odpowiedź, że Krzyżacy chętnie nabędą Nową Marchię, skoro król węgierski zechce ubezpieczyć ich od przyszłych nagabywań reszty spółwłaścicieli.

Zależy zaś opowiadaniu naszemu z tej przyczyny na obecnej sprawie krzyżackiej, ponieważ granice między Nową Marchią a Polską podlegały oddawna spornemu tłumaczeniu. Dotyczyło to mianowicie polskiej „Krainy,” t. j. części powiatu nakielskiego po za Notecią, zawierającej starożytne włości Natęczów Walecz, Człopa, Drezdenko i t. p. Skutkiem ciągłej kolonizacji teutońskiej przechodziły mnogie polskie sioła i zamki w tak zwanej Krainie na własność szlachty niemieckiej, a niedojrzałość ówczesnej organizacji politycznej dozwalała podobnym ziemiom granicznym odrywać się nader łatwo ze związku z dawną

koroną, poddawać się zwierzchnictwu książąt ościen-
nych. Tylko właściwe dobra królewskie, zostające
pod bezpośrednim nadzorem władzy królewskiej, mo-
gły taką pograniczną prowincję utrzymać w nieza-
przeczonej jedności z państwem. Jeśli nie było
w niej dóbr królewskich, a ten albo ów majątek
szlachecki stał się własnością cudzoziemczą, tedy
lada niechęć nowego posiadacza ku narodowi, lada
zmiana króla albo dynastii w państwie, lada zamie-
szka w kraju ułatwiły mu bezkarne uznanie się hoł-
downikiem któregośkolwiek z sąsiednich władców nie-
mieckich.

Takim sposobem niejedyn z polskich zamków
Krainy hołdował dawniej przez jakiś czas książętom
zagranicznym, najczęściej przyległym margrabiom bran-
denburskim i mógł przeto stać się kiedyś przedmio-
tem ich uroszczeń. Groziło to osobiście starożytnemu
grodowi i okręgowi polskiemu Drezdenko nad Note-
cią. Dawny cel pożądlivosti sąsiadów w r. 1251,
opanywany przez księcia pomorskiego Barnima, oko-
ło r. 1271 odzyskany przez książąt wielkopolskich,
w r. 1317, w porze przedkoronacyjnych zamieszek
w państwie Łokietka, owdądnięty znów przez margra-
bię brandenburskiego Waldemara, wrócił ten gród po-
pograniczny za Kazimierza W. do całego związku
z Koroną. Wtedy r. 1364 czterej Niemieccy posia-
dacze Drezdenka, panowie von der Ost, ślubując pod-
daństwo Kazimierzowi, złożyli w wydany na to do-
kumencie świadectwo, iż zamek i powiat drezdeński
jest starożytną dziedziną polską i polskim jedynie
królom ulegać winien.

Wtem zdarzyła się okoliczność, która niespo-
dziewanie dała powód ciężkim zawikłaniom w przy-
szłości. Przed laty dziesięciu, tuż po śmierci króla
Ludwika, gdy terazniejszy król Węgów, a oraz bran-
denburski margrabia Zygmunt zjechał do Wielkopol-
ski, jako spodziewany następca tronu polskiego, po-
śpieszyli panowie von der Ost złożyć mu hołd. Lecz

mając do czynienia z Niemcem, z margrabią bran-
denburskim, woleli uderzyć mu czołem, jako margra-
bi, niż jako królowi polskiemu, a ówczesny rozterk
w Koronie zastonił to oczom ludzkim. Po upadku
sprawy Zygmunta, podczas jego włóczęgi i przygód
po obcych krajach, a wcale wątpliwego stanu rzeczy
w margrabstwie i w Nowej Marchii, pozostali Ostowie
nadal przy państwie polskiem, złożyli hołd Jagielle
i zaprzysięgli mu wszelką wierność i pomoc.

Niechby jednakże zdarzyła się pokusa, niechby
mianowicie Nowa Marchia przeszła w moc księcia
warchoła, zaborcze, a słuszną było lękać się straty
Drezdenka. Spodziewane teraz zagarnięcie Nowej
Marchii przez Krzyżaków zamieniało obawę sporów
o Drezdenko w pewność nieuniknioną. Losy tej twier-
dzy podzielało wiele innych zamków polskiej Krainy.
Dlatego w wysokim stopniu obchodził koronę polską
obecny targ luksembursko-krzyżacki.

Jakoż aż nazbyt rychło okazało się, o ile sprze-
daż Marchii miała głównie szkodę polską na oku.
Skończywszy bowiem rzecz wstępną, wystąpił poseł
węgierski z nowym, nierównie ważniejszym dla Pol-
ski projektem. „Każe mi też król jegomość oświad-
czyć wam, panie mistrzu — są własne słowa po-
sła do Wallenroda — iż gotów jest sprzedać wam tak-
że ziemię dobrzyńską, jako też ziemię kujawską. Je-
śli tedy macie ochotę kupić, to powiedzcie tylko, co
dacie, a nikomu król nie życzy tak chętnie kupna te-
go, jak wam.”

Nawet krzyżakowi Wallenrodowi wydał się ten
projekt nadmiar szalbierskim. Ziemia dobrzyńska
i część Kujaw, o której mowa, uniecznionym pó-
źniej testamentem Kazimierza W. przeznaczone wnu-
kowi szczecińskiemu, księżęciu Kazimierzowi, obecnie
w posiadaniu Władysława Opolczyka, zwanego u Krzy-
żaków Naderspanem, stanowiły jedną z rdzennych
dzierżaw korony polskiej. Jakiemże prawem śmie
Zygmunt sprzedawać je teraz Krzyżakom? „Ma za-

pewne król jegomość—odpowie Wallenrod wysłańcowi Zygmunutowemu — dostateczne upoważnienie do tego kroku. Nie uchylamy się przeto bynajmniej od jego chęci łaskawych. Dla większej przecież pewności prosi zakon o wyświecenie praw królewskich do Dobrzynia i Kujaw.” Z tem powrócił poseł do Węgier.

Ku lepszemu zrozumieniu zagajonej tu sprawy dobrzyńskiej należy wiedzieć, iż Krzyżacy temi czasy uczynili już pierwszy wyłom do zagarnięcia Dobrzynia, dawno upatrzonego przedmiotu pożądliwości zakonnej. Teraźniejszy jego władca, Naderspan, mimo swojej rzadności mieszczańskiej, zadłużony po uszy, jak wszyscy książęta tamtocześni, zastawił Krzyżakom w roku przeszłym za 6,632 złotych węg. jeden z dobrzyńskich zamków granicznych, Złotoryję nad Wisłą. Ponieważ to nastąpiło bez zezwolenia króla Jagiełły, najwyższego zwierzchnika ziemi dobrzyńskiej, przeto wkroczył do niej oddział wojska polskiego, aby w zakład wierności Naderspana zająć dwa zamki dobrzyńskie, Rypin i Bobrowniki. Pierwszy opanowano bez trudności, drugi stawiał opór naczelnikowi hufców polskich Krystynowi, czyli Krzonowi z Koziechłów.

W rozpoczętem ztąd oblężeniu miało żołnierstwo polskie pokrzywdzić przejeżdżających kupców toruńskich. Pod pozorem obrony poddanych swoich zgromadzili pobliscy komturowie krzyżaccy przeważną siłą zbrojną i nadeiagnęli z nią ku oblężonym Bobrownikom, przeciw Polakom. Pan Krzon nie miał zlecenia wszczynać wojny z Krzyżactwem i ustąpił bez walki. Oswobodzony dowódca bobrownicki powitał mile Krzyżaków i według uprzednich rozkazów Opoleczyka, według jego tajemnego uprzednio porozumienia z zakonem, oddał im zamek, a sam wyruszył do swego pała w Węgrzech.

Takim podstępem posiadli Teutonowie dwie знаmienite twierdze ziemi dobrzyńskiej i prócz tego cie-

szyli się jawną przychylnością jej władcy. Owszem, teraźniejszy pobyt Naderspana na dworze węgierskim, tudzież jego porozumienie z Krzyżakami względem Bobrownik, każą domyślać się, że cały projekt sprzedaży Dobrzynia i Nowej Marchii wypłynął z porady Opoleczykowej.

Nastąpił wkrótce wypadek, który nie pozostawił żadnej wątpliwości w tym względzie. W pierwszych tygodniach lipca 1292 r., kiedy Jagiełło z Jadwigą udawali się na zjazd pojednania w Ostrowiu, przekradał się przez Polskę, od południa na północ ku Toruniowi, jakiś nieznany kupiec wędrowny. Chytkiem, mileczkiem, uboczem, dążył on spieszny krok do Prus i zmierzył tam prosto do stolicy krzyżackiej. W okazałych murach Malborka spadła z wędrowca odzież uboga, a z pod przebrania kupieckiego wystąpił sam „Najjaśniejszy książę opolski, wieluński, dobrzyński i kujawski, Naderspan.”

Hazardowny sposób przybycia świadczył o ważnym celu podróży. Było nim ostateczne załatwienie sprawy dobrzyńskiej. W zawiązanym o to rozgóworze między księciem a Wallenrodem dał się Krzyżak bez trudności przekonać, iż ziemia dobrzyńska jest wolną i niezawisłą od nikogo własnością Opoleczyka, iż zmarły król Ludwik darował mu ją zupełną darowizną wzamian za Ruś Czerwoną i posiadłości dziedziczne w Węgrzech, że zatem chyba tylko król Zygmunt, jako następca Ludwików, tylko małżonka Zygmunta Marya, jako córka Ludwika, byliby dalszymi zwierzchnikami Dobrzynia. Zwierzchnicze domaganie się króla polskiego, tego odwiecznego dziedzica ziemi dobrzyńskiej; Jadwigi, tej właściwej po Ludwiku spadkobierczyni ziem polskich, są (w Malborku) czezem uroszczeniem.

Wiedział wprowadzić i w Malborku Naderspan, iż przedkilkunastoletni dokument króla Ludwika, przyznający mu darem ziemię i zamki Dobrzyń, Bydgoszcz, Gniewków, Inowłódz, Złotoryję i Szarlej, obowiązuje

go wyraźnem zastrzeżeniem do „hołdu i przysięgi wierności królom polskim i królestwu polskiemu z ziem przyrzeczonych”. Lecz pergamin ten spoczywał u Opolczyka w głębokiem ukryciu przed okiem ludzkim; nikt oddawna nie widział go i nie miał widzieć go nigdy, a moralne usposobienie czasu pozwalało księciu i dyplomacie XIV wieku utrzymywać kłam jawny.

Przypominał sobie wprawdzie Wallenrod, iż dopiero przed sześciu laty, w czasie koronacji Jagiełły i chwilowej wtedy przyjaźni Naderspana z królem Jagiełłą, a przeciwnej Naderspanowi ligi zakonu z książętami Pomorza szczecińskiego, mniemanymi spadkobiercami Dobrzynia, sami Krzyżacy nie tylko nie wierzyli w samowładność posiadania ziemi dobrzyńskiej przez Opolczyka, lecz, owszem, zaprzeczali mu wszelkiego do niej prawa, nazywając go w owej lidze wzgardliwie „tym, który się tytułuje księciem dobrzyńskim”.

Wszakże od tych lat sześciu zmieniło się wiele rzeczy. Chwilowy stronnik Jagiełły wrócił do dawnej niechęci przeciwko niemu, a odwrotnie ówczesni sprzymierzeńcy zakonu, książęta pomorscy, kłoniли się dziś ku Jagielle. To przeistoczenie stosunków przewiergnęło także pojęcia zakonu o słuszości. Co w zwolenniku Jagiełły było bezprawiem, to w jego wrogu było jawną sprawiedliwością; i przeciwnie, słuszość dawnych adwersarzów Jagiełłowych, książąt szczecińskich, stała się teraz czechem uroszczeniem. Pokrył więc Konrad Wallenrod niepamięcią dawne zrzuty przeciwko sprawiedliwemu dzierżeniu Dobrzynia przez Naderspana, a sam książę twierdził upornie, iż posiada ziemię dobrzyńską tytułem nieograniczonej własności, lubo mimo prośby i upomnienia Krzyżaków, nie okazał nigdy autentyku Ludwikowego.

Natomiast miały zaspokoić Wallenroda dwa inne dokumenty. Jeden pochodził od małżonki Opolczykowej, księżnej Ofki, czyli Zofii, której Naderspan

dla wsunięcia jaknajwięcej dokumentów i praw cudzych między koronę polską a siebie, zapisał Dobrzyń w „oprawę”, a która zezwoliła istotnie na zbycie go zakonowi. Drugi przysposabiła Krzyżakom kancelarya węgierska króla Zygmunta, pozwalając Opolczykowi tytułem urojonego zwierzchnictwa nad Dobrzyniem „dać go, darować, sprzedać, zastawić komukolwiek, a osobliwie braciom niemieckiego zakonu N. Panny”.

O to jedynie chodziło Wallenrodowi. Potrzebując koniecznie dokumentu, nie dbali Krzyżacy zresztą o jego prawdę i słuszość. Jakkolwiek pergamin, czy to darowizna Litwy i Rusi przez cesarza, czy upoważnienie do nabycia Dobrzynia przez Zygmunta, wystarczał ku „udowodnieniu” krzyżackich praw przed wszystkimi, „którzy się znają na prawie”. Nie groziła więc z tej strony żadna przeszkoda sprawie dobrzyńskiej. Z tem wszystkiem jawna nieprawość targu napawała zawsze pewną trwogą tajemną. Nie wahając się przeto podać ręki do frymarku niecnego, podawali ją Krzyżacy nader ostrożnie.

Oświadczone Opolczykowi, iż zakon przyjmie ziemię dobrzyńską tylko zastawem. Przy ustawicznych kłopotach pieniężnych Naderspana, nie pozwalających mu pomyśleć o wykupnie, przynosił zastaw wszelkie korzyści kupna, a przypuszczając możność zwrocenia komukolwiek Dobrzynia za zwrotem sumy wypożyczonej, ochraniał pozory godziwości. W tej mierze Opolczyk, jako sprzedawca ziemi, która nie była jego bezwarunkową własnością, i król Zygmunt, jako upoważniciel tak podejrzaney sprzedaży, znaleźli godnych siebie spółników w braci teutońskiej.

Zadając teraz kłamstwo własnym słowom niedawnego przymierza z Bogusławem szczecińskim, mniając teraz słuszością, co przed sześciu laty nazywano bezprawiem, krzywdząc Polaków podstępny zaborem całej prowincyi, krzywdzili Teutoni samegoż jeszcze Opolczyka jaknajniższą ceną nabytku. Cała

sprawa Dobrzyń i Nowej Marchii zdała się arcydziełem przebiegłości Krzyżaków, a w końcu zamieniła się w przyczynę ich upadku, w ostateczną podjętą do rozstrzygnięcia tego wielkiego zadania narodowego, nad którym pracują dotąd Litwa i Polska, t. j. chwilowego uwolnienia się z pod przemocy teutonizmu. Gdy zaś Władysław Opoleczyk jest głównym autorem sprawy dobrzyńskiej, przeto niech nam wolno będzie domieścić kilka ostatnich rysów do obrazu tej pamiętnej osobistości.

W naszym księciu z Opola przedstawia się nam przede wszystkim dyplomata XIV stulecia, Usposabiało go do tej roli wrodzone „zamiłowanie spokoju”, usposabiało znane nam upodobanie w tych stanach społeczeństwa, które spokojnymi parają się rzemieślnictwami. Ztąd nieprzyjaciół awanturniczego rycerstwa, miłośnik mieszczaństwa i przemysłu, należał Nader-span do rzędu książąt wolnomyślniejszych, kierujących się nowszymi wyobrażeniami i sympatjami, nowszą dążnością do ustalenia światlejszego, rządniejszego pożytku.

Radzibyśmy też oddali hołd tym szacownym przymiotom, stanowiącym wielkość kilku ówczesnych książąt, jak np. króla Ludwika w Węgrzech, acz nie w Polsce, cesarza Karola IV w Czechach, acz nie w Niemczech. Wszelako, jak we wszystkim, tak i w zacnym poczcie pracowników „postępu” każdej epoki, wielu powołanych, mało wybranych. Lubo więc Ludwik zaszczycał Opoleczyka łaskami i zaufaniem, lubo cesarz Karol mienił go „swoim szwagrem kochanym”, przyniosły mu te nowoczesne zalety więcej trudów i cierni, niż pożytku za życia, a chwały w potomności.

Nielatwo bowiem znaleźlibyśmy księcia, który przy tak dwuznacznej stawie w czasach późniejszych usługiwał tak mozołnie najrozmaitszym sprawom czasu swojego. Były to prawie wyłącznie posługi dyplomatyczne, poselskie, rozjemcze, administracyjne.

Jeszcze za Kazimierza W., w r. 1366, a więc przed laty blisko 30, pełnił on obowiązki „prokuratora, aktora, faktora, negocjatora, posła i specjalnego syndyka” w układach o małżeństwo cesarzewicza Wacława z synowicą króla Ludwika, Elżbietą. Podobnież pośrednictwem, spółporęczycielstwem, a nakoniec spodziewanem zarządztwem pokładzin Wilhelma i Jądwi w Krakowie, miał Naderspan przyjść w pomoc rakuskiemu związkowi z domem andegaweńskim.

W wojnie między Ziemowitem, jako pretendentem korony polskiej, a Zygmuntem, jako obrońcą domu Ludwikowego, zdarza się Opolskiemu „miłośnikowi pokoju” zjednać rozejm kilkumiesięczny. Gdy po ustąpieniu matki Ludwikowej z Krakowa pozostała Polska bez rządcy, porucza mu król Ludwik gubernatorstwo nad Wisłą. Nawet ów Ludwików dar Dobrzyń i części Kujaw znaczył raczej poruczenie mu onych w zarząd dziedziczny z obowiązkiem uległości i pomocy feudalnej, niż zupełną darowiznę w dzisiejszem rozumieniu.

Co wszystko jednakże okazywało się z kolei zadaniem nad siły Opoleczyka. Za najsmutniejszy dowód jego umysłowej miernoty stało ustawiczne chybianie wszelkich zamysłów. Nie zgoła nie wiedzie się Naderspanowi. Poruczeni jego opiece oblubieńcy wracają do domu bez żon. Złecone mu wicerejestwo Polski spełza na niczem. Chwalona mu rządność i prze-myślność mieszczańska nie ochrania go od ciągłej próżni w skarbcu, ciągłej potrzeby długów. Dla otrzymanych dziedzicznym darem księstw polskich nie ma Opoleczyk dziedzica i marnie traci je z czasem. Ziemi Czerwonoruskiej musi on wyrzec się dobrowolnie, jako zbyt trudnego brzemienia.

Jeszczeż te rządy ruskie nastęrczyły mu sposobność do najtrwalszej i najchlubniejszej, jaka pozostała po nim, pamiątki. Wspólne z królem Ludwikiem założenie na Rusi arcybiskupstwa i trzech biskupstw łacińskich, dokonane w duchu onego zachę-

dnio-europejskiego cywilizatorstwa, którego Władysław mniemał się zawsze szermierzem w tych stronach wschodnich, jakkolwiek nie wiele pocieszyło Rusinów, zjednało mu przecież niepospolitą zasługę w Rzymie. Jakoż czem może, wywdzięcza mu się stolica rzymska. Zyskał na tem najwięcej bratanek książęcia, Jan, znany pod przydomkiem Kropidło, poświęcony stanowi duchownemu i już od roku 1382 biskup poznański.

Lubo przydomkiem od narzędzia kościelnego uczczony, był to młodzian płochy, światowy, niegodny wcale względów papieskich. Imionisko *Kropidło* dały mu nadzwyczajnie bujnie utrefione kędziory, któremi młody wartogłów ustawicznie jak kropidłem potrażał, a nieprzebrana mnogość dowcipnie opowiadanych facecyj i dykteryjek czyniła go duszą każdej biesiady. Więcej też o zabawę, o przysmaki stołowe, o krotofile, niż o swoją trzodę poznańską dbając, przesiadywał wesoły biskup ustawicznie po obcych dworach, na Szlązku, u Krzyżaków, którym zresztą nie samemi żartami nadśługiwał. Zniemczały bowiem, jak wszyscy Opolecykowie, donosił im Kropidło, czyli niemieckiem samychże Krzyżaków brzmieniem *Grapidla*, o wszystkich ważniejszych zdarzeniach w Polsce, mianowicie o każdym nieprzyjaznem zakonowi słówku Jagielly. Oprócz której to roli ostrzegacza zakonu, nie parał się Jan Opolecyk żadnemi ważniejszymi sprawami, lecz rozrywkom i facecyjom swoim oddany, dopuszczał się często nazbyt gorszących żartów, abyśmy je opowiedzieć tu mogli.

Mimo to, dzięki apostolskim zasługom Naderspana, płynęły mu z niepowszednią hojnością łaski papieskie. W niedługim czasie miał wesoły biskup poznański stać się jeduym z rzadkich przykładów biskupa, trzymającego zarazem dwa biskupstwa. Zaniośło się owszem na udzielenie mu głównej w kościele polskim godności, arcybiskupstwa gnieźnieńskiego po zmarłym temi czasy Bodzancie. Jak ów z poślubioną

sobie siostrą Witoldową w Surazu przesiadujący nominat płocki Henryk, jak inny spółbratanek Opolecyków, a podobnie nigdy w swoim arcybiskupstwie niemieszający Henryk Lignicki, myślał i nasz spodziewany arcybiskup gnieźnieński facecyonować dalej na polskim chlebie po obcych stronach, nie troszcząc się wcale o sprawy Korony polskiej, chyba dla tajnego ostrzegania o nich Krzyżaków. Nie dopuściła tego przecież taż sama ręka, która już to nieco dawniej w stronach czerwonoruskich, już to w zagajonym obecnie toku wypadków, tak ciężko uczuć się dała jego stryjecznemu Naderspanowi, ręka króla polskiego Władysława Jagielly. Wróćmyż do ostatnich rysów obrazu Naderspana.

Ten w sprzeczce uroszczeń, a nieudolności moralnej, z widoczną niełaską losów wykształcił w sobie nakoniec najszeptniejszą złą wiarę. Tą jedyną bronią swego rozumu, prostym fałszem, chciał on teraz nakłonić Krzyżaków do nabycia Dobrzynia, jakoby bezwarunkowej jego własności. Podobnym fałszem przysłużył on się niegdyś sprawie ślubów rakuskich, zaprzysięgając pod koniec lipca roku 1385 połączyć za kilka tygodni Wilhelma z Jadwigą w stolicy polskiej, zamiast czego, pod koniec grudnia w tym samym roku zaprzysięgał on Jagielle radosne przyjęcie i ślub w Krakowie. Tąż jawną nieuczciwością podał się Naderspan wreszcie w powszechną niechęć i poniewierkę u ludzi.

Na domiar wszelkich niepomyślności otoczyła go wszechstronna nienawiść bliźnich. Gdy król Ludwik mianował go rządcą Polski, zawrzał cały naród wstrętem ku niemu i wolał mieć płochego, rozwiązłego Zawiszę wicerejem. Pobożny i zasłużony względem kościoła, był on, z powodu doradzonej niegdyś królowi Ludwikowi podwyżki podatków z dóbr kościelnych, obrzydzeniem całego duchowieństwa i zostawał przez długi czas pod klątwą. Przed koronacją Jadwigi, na elekcyjnym zjeździe w Sieradzu, chciała

szlachta targnąć się nań pięściami, „pojmać” znienawidzonego natręta, czemu jedynie umiarkowanie panów zabiegło. Z obawy tego powszechnego wstrętu ludzkiego musiał Naderspan w obecnej podróży do Malborka skryć się pod kapiec kupiecką.

Wszystko zaś razem, i powszechny wstręt ludzki, i fałsz postępowania, i bezskuteczność wysiłen, nadają nader opłakaną fizygnomię temu książęcyemu starcowi z Opola, tej zdzieczalej płonce wielkiego drzewa Piastów. Wobec fortunnych możnowładców krakowskich, pożywających teraz owoce swoich śmiałych, a zręcznie przeprowadzonych zamiarów; wobec szczęśliwego Jagiełły, który zachością charakteru usprawiedliwia przychyłność niebios; wobec wielkiego Witolda, który wysileniem rozpaczy walczył z oporem losu i zwyciężył go wreszcie — jest to stary, przeniewierczy narodowi własnemu grzesznik, któremu Pan Bóg w niczem nie błogosławi.

Była przecież chwila, w której się zdało, że Opolczyk pomyślniejszych na starość dożyje dni. Po przejściu na stronę ślubów Jagiełły zawiązały się przyjazne stosunki pomiędzy nim a Koroną. Jego córka, Jadwiga, jedyne dziecko w domu, zaręczona została rodzonemu bratu Jagiełły, Aleksandrowi Wigundowi, najzdolniejszemu z braci królewskich, „istnemu Polakowi językiem, strojem i obyczajem.”

Tym sposobem otworzyła się dla wymaganego od Jagiełły przywrócenia Opolczyków posiadłości Koronie i dla Opolczyków życzeń utrzymania onych rodzinie pewna pojednawcza droga pośrednia. Stary książę byłby pod zwierzchnictwem Polski pozostał do śmierci w posiadaniu jednej części ziem swoich. Druga połowa, a po śmierci księcia prawdopodobnie i wszystka reszta, byłaby przeszła posagiem na córkę i jej małżonka. Względy Polaków dla rodziny Jagiełły, a zwłaszcza dla ulubionego Wigunda, pozwalały żywić nadzieję, iż szeroka darowizna króla

Ludwika ocaleje w Naderspanowem potomstwie po kądzieli.

Ale napróżno wyjaśnia się niebo nad ludźmi, którzy nawzajem nie wyjaśniają mu duszy swojej. W Opolczykowej zaś głowie snuły się ciągle czarne, nieprzyjemne zamysły. Dziwną pobłażliwością nie pamiętano mu wcale, iż podczas wyprawy Jadwigi w celu zajęcia Rusi Czerwonej wyszła odeń odezwa, upominająca Rusinów do oporu Jadwidze. Trwały bez przerwy koligackie związki z dworem krakowskim; Opolczyk bawił bez przeszkody w Krakowie; lada chwila oczekiwano dopełnienia ślubów Opolczanki z Wigundem.

Aż oto w połowie miesiąca maja r. 1389, prawie w tym samym czasie, kiedy Witold przed ustąpieniem do Prus chciał podstępem opanować zamek wileński, dowiaduje się Jagiełło w klasztorze mogińskim pod Krakowem o podobnymże zamachu Naderspana na stołeczny zamek w Krakowie. W niedzielę dnia 16 maja, gdy sam książę znajdował się w stolicy, zakradli się jego ludzie na zamek, chcąc opanować go zniemacka. Na szczęście, baczny starosta krakowski, ów Toporeczyk Sędziwoj, który już przed sześciu laty ochronił zamek krakowski od Węgrów królowej Elżbiety i ujętych przez nią stronników dworu, tudzież niedowierzający Opolczykowi ziemianie małopolscy, postrzegli zdradę.

Odkryto zaczajonych w zamku drabów Naderspanowych. Wszczął się niezmierny rozruch w Krakowie. Zamknięto bramy miejskie. Przytrzymano księcia w mieście. Dopiero pozostawiwszy zakład stosowny, mógł on pod strażą udać się do króla w monasterze mogińskim, aby się usprawiedliwić z zamachem. Enskawy Jagiełło przepuścił mu go płazem. Przyspieszono jedynie dopełnienie małżeństwa Opolczanki z Aleksandrem Wigundem.

W pół roku po spisku krakowskim, w rok przed

wzmiankowanem powyżej wpuszczeniem Krzyżaków w zamki dobrzyńskie, a dwoma laty przed obecnym targiem z Krzyżakami o Dobrzn, zapewnił Naderspan swojej córce, Jadwidze, posagiem ziemię władysławską, tucznowską i bydgoską. Kilkunastu dniami później „darował” on zięciowi Wigundowi całą ziemię dobrzyńską. W kilka dalszych tygodni wydał książę nowe świadectwo, jako nie tylko posagiem, lecz nadto „darowizną” przekazuje on córce pomienione trzy ziemie. Coraz liczniejsze dokumenty przyjaźni miały zespolić Opolczyka z koroną polską.

Tymczasem dokumenty w jedną a skłonności Naderspanowe w drugą ciągnęły stronę. Swoją ze swoim, a Opolczyk najmilej przestawał z Krzyżakami. Jeśli komu, toć im, nie Wigundowi, lubo małżonkowi swej córki, pragnął on pozostawić Dobrzn po śmierci. Możliwość zaciągnięcia nań długu osłabiała to życzenie trudną do przezwyciężenia pokusą. Zaczem w rok po ustąpieniu Dobrznia zięciowi litewskiemu zastawił Naderspan, jakeśmy u wstępu nadmienili, dobrzyńską Złotoryę Krzyżakom, i wszedł z nimi w tajne porozumienie względem reszty zamków prowincyi.

Z tej zaś przyczyny, gdy Jagiełło bądź to jako najwyższy zwierzchnik Kujaw, bądź to w obronie Wigundowych praw do nich, postanowił zająć niektóre zamki dobrzyńskie, opanowali Prusacy drugi gród, Bobrowniki. Pod tenże właśnie czas, w samą porę dla Opolczyka, umarł jego zięć, Wigund. Ta śmierć zerwała ostatnie związki z dworem krakowskim. Stary książę oddał się całą duszą Krzyżakom. Bawiając u dworu węgierskiego, skłonił on króla Zygmunta do przesłania zakonowi owej pierwszej odezwy względem Nowej Marchii z Dobrznem, a po niedostatecznej odpowiedzi W. mistrza przekradł się osobiście do stolicy krzyżackiej.

Panowie pruscy woleli posiadać Dobrzn zasta-

wem, niżli kupnem. Naderspan rad był jakimkolwiek sposobem dostać pieniędzy za wątpliwą posiadłość. Stał tedy o św. Jakubie r. 1392 układ pożyczki, którym Opolczyk za 50,000 złotych węg. wwłaszczył Krzyżaków w dzierżawę wszystkiej ziemi dobrzyńskiej. Co targowi zbywało na słuszości, to miały zastąpić przemnogie dokumenty dłużnika, jego żony, jego upoważniaciela Zygmunta, jego poddanych. Opolczyk zeznawał w nich swój dług, król Zygmunt pozwalał mu go zaciągnąć, księżna Opolczyna upewniała solennie, iż „śmiejącami ustami, wesołem sercem, pożądlivem naleganiem, z własnej woli, z własnej pobudki, z własnej chęci i z własnego umysłu” przyzwoliła na zastawienie Dobrznia, swojej „oprawy.”

Szlachta ziem Opolczyków zaręczała swojemi posiadłościami, iż księżna powyższe upewnienie złożyła „szczerze, dobrowolnie, bez przymusu.” Ku tem uroczystszej instalacyi Krzyżaków w nowej dzierżawie udał się sam Naderspan z W. mistrzem Konradem do Dobrznia, uwolnił ludność tameczną od wszelkich obowiązków poddańczych względem siebie i rozkazał mieszczanom w swojej obecności złożyć hołd zakonowi. Dopiero po tym akcie zawiózł go Wallenrod do Torunia i pod koniec września r. 1392 wyliczył mu tam pieniądze. Gdy wszystko zdało się już ukończonem, zaprosił książę Wallenroda na ustęp, aby mu jeszcze pewną bardzo ważną sprawę powierzyć.

Będąc sam na sam, przedłożył Naderspan Wallenrodowi plan, „zamierzający ni mniej, ni więcej, tylko detronizacyę króla polskiego i zupełny rozbiór królestwa.” W tej myśli rzecze Opolczyk do Krzyżaka: „Mój pan, król Zygmunt, pan margrabia morawski, książę gorlicki Jan, książę rakuzki (Wilhelm) i ja, uradziliśmy jednozgodnie, wtargnąć zbrojnie do Polski, w czem i król rzymski, Wacław, chce nam dopomódz. Owoż wzywają was ci panowie,

abyście także przyczynili się do tego ze swojej strony."

Na co Wallenrod: „Nie wiemy zaprawdę, co wam na to odpowiedzieć w tej chwili." A Opolczyk: „Słuszna namyślić się przed czynem. Ale nie wiecie jeszcze, o co właściwie idzie. Uradziliśmy tedy, aby odtąd nie było wcale króla i królestwa polskiego, a to takim sposobem: Wszystek kraj na północ od Kalisza z Mazowszem ma należeć odtąd do Prus. Wszystko, co leży ku południowi od Kalisza z Krakowem, Sędziejem, Łęczycą, Rusią Czerwoną i Podgórzem, przypadnie królowi węgierskiemu. Zachodnią zaś stronę, od Warty ku Wielkopolsce, posiedzą król rzymski, Wacław, i książę gorlicki, Jan."

Ozwie się tedy Konrad Wallenrod: „I teraz jeszcze nie wiem, co wam właściwie odpowiedzieć. Mają wprawdzie Polacy dokumenty zakonu, a my nawzajem polskie, z zapewnieniem pokoju wieczystego; ale ileż to razy łamali nam Polacy ten pokój! Gdyby więc przyszło do tego, iżby Ojciec św. i król rzymski zapowiedzieli krzyż i miecz przeciw Polsce, i gdyby nas wyraźnie zawezwano, natenczas byłoby to naszym obowiązkiem i powinnością naszą, i wistocie dopomogliśmyby według wszelkich sił naszych."

Dalszemu żądaniu księcia, iżby kilku pełnomocników krzyżackich wysłano w tej sprawie do Zygmunta, odmówił Konrad posłuchu, obawiając się, aby Polacy nie schwytali ich w drodze, nie znaleźli przy nich listów krzyżackich, nie doszli planu całego. Tyle jednak przyrzekł Krzyżak Naderspanowi, a ten mógł to podać do wiadomości Zygmunta, iż skoro Zygmunt zechce najechać Polskę i czternastu dniami uprzedzi o tem W. mistrza, nie omieszkają Krzyżacy wtargnąć także do Polski i połączyć się z nim w Krakowie, albo gdziekolwiek indziej. Co umówiwszy,

wrócił Opolczyk w ostatnich dniach września do Węgier.

Powrót nad Dunaj potrzebował jeszcze staranniejszego przebrania, niż wędrówka do Prus, gdyż wiadomość o zastawieniu całej ziemi dobrzyńskiej sprawiła niezmiernie oburzenie w królestwie. Stany królestwa, „prałaci, kasztelanowie, wojewodowie, rycerstwo i wszystka szlachta koronna", przesłali najprzód całemu zakonowi, potem samemu W. mistrzowi dobitną protestację. Potępiano osobliwie krzyżacki rozkaz złożenia sobie hołdu przy objęciu Dobrzynia, co zakrawało na objęcie go w posiadanie wieczyste. Krzyżacy odpowiedzieli sucho, iż to nie dzieństwo, lecz zastaw, który gotowi są oddać każdemu, ktokolwiek zwróci im sumę dłużną i okaże się właściwym panem Dobrzynia.

Tymczasem zaś upomniął zakon pozostałą w Ryplinie i gdzieindziej załogę polską, aby opuściła ziemię dobrzyńską, co też gwoli uniknieniu wszelkich pozorów zaczepki wojennej i złamania pokoju z Krzyżakami nastąpiło wistocie. W ogólności dowiedli Polacy w teraźniejszych zajściach z Krzyżactwem niezwykłego umiarkowania. Potrzeba ciągłego wspierania nieubezpieczonej jeszcze Litwy, w której Witold dopiero co objął rządy, zniewalała folgować zakonowi do czasu. Charakter narodowy, daleki późniejszemu junactwu, przeciwny wszelkiej hazardowości prób Bożych, tylko takim zamysłem przyznawał śmiałość, które nie uragały mierze jego sił rzeczywistych.

Znoszono więc cierpliwie złość ciężkiego sąsiada, zakonu, w coraz nierozważniejszą wzbijanego tem butę, i mając kilku zarazem nieprzyjaciół, podjęto naprzód sprawę z najbliższym, z wrogiem we własnym zadrzu, z Naderspanem. Wszakże i z tym powodowano się właściwą onemu wiekowi oględnością. Powołując się na swój przy koronacji zaprzysiężony obowiązek przywrócenia uszczerbków państwa, zawe-

zwał Jagiełło starego księcia do zwrotu mniemanej darowizny króla Ludwika, z poufnym zapewne oznajmieniem, iż rezygnacją tą, mającą być jedynie głośnym uznaniem zwierzchnictwa korony polskiej, nie pozbawi się książę swoich ziem polskich, które korona bez trudności pozostawi mu jeszcze po niedługi koniec żywota.

Władysław Opolczyk zbijał słuszość żądania, mieniając się bezwarunkowym właścicielem księstw swoich. Wyszło wtedy powtórne doń poselstwo i żądanie, aby książę bez uroczystego zwrotu dzierzonych krajów złożył przynajmniej hołd prostej uległości królestwu. Zawzięty starzec, wraz z Krzyżakami omamiony pozorną powolnością Polaków, zaufany w swoich konneksjach z zakonem, z Zygmuntem i tytu książętami zagranicznymi, przemysliwujący raczej o zupełnej zagładzie królestwa przodków swoich, nie widział i teraz potrzeby ustępować. Wysłannicy królewscy odnieśli hardą odpowiedź, iż król Jagiełło ani otrzyma hołdu od księcia, ani odziedziczy książęcych ziem, które równie wolno i niezawisłe przejdą na jego szlacheckich bratanków, jak on je sam posiadał. Owszem, ku tem głośniejszej rozprawie tego postanowienia, kazał Naderspan u granic swych posiadłości sypać ogromne kopce „węgielne”, któreby go rozgrodziły na zawsze z koroną Polską. Nie pozostała więc inna droga załatwienia sporu nad wojnę.

Jakoż przyszło wkrótce do wojny. Ale i wojna wiodła się niedość raźnie z początku. Wcześniej, niż o czyjejkolwiek zwycięstwie, dowiadujemy się o zawieszeniu broni, zawartem między Opolczykiem a Jagiełłą już około św. Anny r. 1393. Starali się tym czasem obiedwie strony o pomoc zagraniczną. Opolczyk wyciągnął znowuż rękę do panów pruskich, Jagiełło zakrzętnął się około swoich sąsiadów zachodnich i południowych, króla rzymskiego, Wacława, margrabiego Prokopa, króla Zygmunta.

Zabiegi te przyniosły Opolczykowi nierównie mniejsze, niż Jagielle korzyści. Jego krzyżacki przyjaciel, Konrad Wallenrod, już teraz nie żył. W samą rocznicę targu o Dobrzyń, w dzień św. Jakóba r. 1393, zabrała go śmierć gwałtowna. Ostatniemi zdarzeniami jego rządów były dwa akty obłudy i gwałtu względem Polski. Przypuszczając ciągle, acz coraz bezskuteczniejsze szturmami do Litwy, spoglądając ku Węgrom, rychło-li nadejdzie z tamtąd odezwa króla Zygmunta do wspólnego najazdu Polski i połączenia się z nim „w Krakowie”, szalbierzył Wallenrod ciągłemi rokowaniami i zjazdami o dalszy pokój z Koroną. Jednocześnie zaś dopuściło się Krzyżactwo tak szalonej napaści względem jednego z książąt polskich, mazowieckiego Janusza, sprzymierzeńca Jagiełły, jakiej nie masz przykładu w dziejach...

Książę Janusz budował temi czasy na własnym gruncie, w pobliżu granic krzyżackich, drewniany zamek nad Narwią, mający nazywać się Złotoryą. Ponieważ niespokojne sumienie zakonu lękało się tej nowej Złotoryi, jako niebezpiecznego kiedyś stanowiska w rękę Polaków, przeto zgromadzili trzech komturowie poblizcy znaczną siłę w sąsiedztwie, i upatrzywszy chwilę, kiedy sam książę z garstką dworzan doglądał dzieła rozpoczętego, wpadli pod dowództwem grafa Kyburga, komtura z Balgi, na plac budowli.

Działo się to wśród zaprzysiężonego obustronnie pokoju, bez zaczepki ze strony polskiej, bez pogroźki ze strony przeciwnej. Najeźdźni rycerze N. Panny rozeznali spokojnych robotników, wzięli w niewolę dworzan książęcych, i porwawszy samegoż księcia, prawnuka fundatora całej ich egzystencji na ziemi pruskiej, Konrada mazowieckiego, wsadzili go ku tem większej zniewadze boso na klacz, ze związanemi nogami. Poczem zapalono budowę w jego oczach i wraz z księciem Januszem, jeńcami i znalezionym

naprędce łupem, cofnięto się do krzyżackiego podówcza zamku Wizny. Dopiero tam ocknęła się w swoim szale zgraja zbójcka, i zmiarkowała, że sama nie wie, co ma robić dalej z księżciem. Dlatego puszczonego go bez żadnego uniewinnienia znowuż na wolność, zatrzymując jedynie zdobycz rycerską, zabrane księciu pieniądze i kosztowności.

I tym razem skończyło się ze strony Polaków na skardze u dworu papieskiego, o którą Wallenrod, jak nas jego przyjaciel jego i spółziomek upewnia, „wcale nie dbał.” I mógł on rzeczywiście nie dbać o nią tembardziej, iż stojąca już nad nim śmierć ocaliła go od piorunu tej kary za wszystkie niegodziwości, która po latach kilkunastu uderzyła tak srodze w zakon. Umarł Wallenrod wśród okropnej burzy lipcowej, w nagłym przystępie „ognia bożego”, strawiony żarem gorączki. Wzajemna nienawiść duchowieństwa odmówiła mu ostatniej przysługi religijnej, a lekarz, wzbronili mu napoju chłodzącego. Postrach całej ziemi krzyżackiej skończył się bez księdza, bez szklanki wody. Opowiadali sobie ludzie do późnych lat, że męczarnie okropne rzuciły go na ziemię, pomiędzy leżące ułoża psy, z którymi żrać się, wyzionął ducha. Mniemano też w samym zakonie, iż Pan Bóg skarał W. mistrza Konrada, ponieważ zbyt chciwie dyszał wojną.

I zdało się w istocie, jakoby przebrana miarka bezprawi przywiodła Krzyżaków do opamiętania na chwilę. Obrany został następcą Wallenrodowi człowiek, którego jedyną zaletą było zamiłowanie spokoju. Do tego nowego mistrza W., do Konrada Jungingen, udał się teraz Opolczyk z prośbą o zapomogę pieniężną przez zupełne zakupienie Dobrzyń. Ale jeśli już Wallenrod lękał się kupna, tem mniej chciał przyzwolić na to Jungingen. Zaledwie tyle więc okroiło się Naderspanowi, iż w chęci ostatecznego utrudnienia wykupna ziemi dobrzyńskiej dopuszczono mu jeszcze 22,900 zł. węg. Więcej nie zdo-

łał wyprosić u zakonu stary poufnik Wallenrodów. Skorzystawszy na nim, ile można było skorzystać, widząc gwiazdę Opolczykową coraz to bledszą, zaczął owszem zakon okazywać mu coraz nieprzychylniejszą oziębłość.

Toż samo zdarzyło się Naderspanowi ze strony owych południowo-zachodnich sąsiadów Polski, Zygmunta, Wacława i Prokopa, z którymi od niedawna knował zgubę Korony, a którzy teraz radzi przyjaźnią się z Jagiełłą. Zaszyli bowiem ważne tymczasem okoliczności, zniewalające królów Węgier i Czech myśleć raczej o zachowaniu swych własnych koron, niż o wydarciu jej Władysławowi Jagielle. Umarła królowa węgierska, Marya, właściwa dziedziczka Węgier, i wybuchnęły zaburzenia w państwach Wacława. Jedno i drugie zachwiało potężnymi tronami obu dwóch Luksemburczyków. Wacław został wistocie wyrzuty niebawem z korony rzymskiej, a Zygmunt musiał patrzeć z niespokojnością, jak siostra Maryi, Jadwiga, przybierała tytuł „dziedziczki królestwa węgierskiego”, jak wasalowie węgierscy udawali się z tego powodu pod jej zwierzchnictwo, jak lada podnieta z Polski mogła zawichrzyć Węgry. Niebezpieczeństwo potężniejszych bratanków uskromiło mniej potężnego margrabiego Moraw, Prokopa. Wszystkim zależało teraz na dobrem porozumieniu z Jagiełłą.

Jakoż z niczem nie zarumienioną naiwnością mataczów średniowiecznych zmienili wszyscy maskę. Zygmunt śpieszył temi czasy w odwiedzinach do Polski, na przyjazne z królestwem zjazdy, odpłacające się Luksemburczykowi powolnem zaniechaniem praw do korony węgierskiej przez Jadwigę, a Polsce takiemże zaniechaniem przyjaźni i planów Opolczykowych przez Zygmunta. Toż samo uczynił margrabia Prokop, widywany teraz w gościnie u dworu krakowskiego. Najszczerzy, lecz oraz najdzikszy z bratanków Luksemburskich, król czeski, Wacław, posunął się naj-

dalej. W pierwszej połowie r. 1395 stanęło wyraźne z nim przymierze, zapewniające koronie polskiej niepoślednią pomoc wojenną, bo 600 kopij i 600 kusz, t. j., według ówczesnego komputu, kilka tysięcy ludzi.

Przykład sąsiadów południowych wpłynął tem skuteczniej na potulniejsze od niejakiemu czasu usposobienie sąsiada północnego, zakonu. Nowy mistrz W., przyjaciel spokoju, Jungingen, stygnął coraz bardziej w zapędach wojennych względem Litwy, i starał się różnemi sposobami uspić niechęć króla polskiego. Te wszystkie okoliczności uzbroiły Jagiełłę do tem silniejszego ciosu przeciwko Naderspanowi. Zawzięty starzec z Opola, niedawno tak bogaty w koneksye i nadzieje, dziś opuszczony od wszystkich, znalazł się sam na sam z przemocą Jagiełłową. Dół, który on tak skrzętnie kopał królestwu przodków swoich, rozwarł się pod nim samym.

Wznowiona teraz wojna opolska różniła się od wszystkich wojen ówczesnych. Obca wszelkim pozorom próby Bożej, cechującym mniej więcej każdą wojnę, była ona podobniejszą do kary, wymierzonej ręką sędzi na dawnym winowajcy. Rozważni Polacy XIV stulecia uderzali w wojnie z Opoleczykiem n a p e w n e. W tym celu nie lekceważąc wroga, zgromadzono ogromne siły. Oprócz zwyczajnych hufców dworskich i pańskich, oprócz spodziewanych posiłków czeskich, zawezwał król pomocy książąt mazowieckich, Janusza i Ziemowita, przywołał nadto Wołochów. Miasta królewskie, szczególnież Kraków, przysposabiały pieniądze i liczne działa burzące, a coraz groźniejszą przemoc pięści wsparto jeszcze fortelem.

Puszczono dokoła głos, że cała potęga wojenna spadnie tym razem na krzyżackie załogi w zamkach dobrzyńskich. Tylko pięciu najpoufniejszych rajców królewskich wiedziało o właściwym celu wypawy. Były nim przyległe województwu krakowskiemu posiadłości Naderspanowe, ziemie wieluńska i ostrze-

szowska, wielą warownych zamków obronne. Ku tem dłuższemu omyleniu baczności stojących tam załóg szląskich, wyruszył król z całą wyprawą rzeczywiście drogą dobrzyńską. Niespodziewanie jednakże zmieniły wojska kierunek i dwoma różnemi taborami rozsypały się po ziemiach Opoleczykowych. Jeden oddział pod dowództwem samegoż króla opasał najwarowniejszy z zamków, Olsztyn, na wysokiej sterczący skale; drugi, znacznie tłumniejszy, pod sprawą pana wojewody Spytka z Melsztyna, miał zdobywać resztę zamków i miast, jako to: Wieluń, Ostrzeszów, Bolesławiec, Krzepice i t. d.

Z wojskiem królewskim pod Olsztynem połączyli się natychmiast książęta mazowieccy na czele swoich proporców. Ani obronność Olsztyna, ani odwaga dowódców szląskich Boryszniców, nie podołały siłom oblegających. Na trzeci dzień przypuszczono z rozkazu Jagiełły szturm, uwieńczony zdobyciem grodu. Borysznicowie zdali się na łaskę królewską i nie mieli powodu żałować tego. Wspaniały Jagiełło pochwalił ich wierność i męstwo, i „charłakom, dla których (według kroniki) samo życie dostatecznym było już darem”, darował jeszcze kilka wsi ruskich w okolicy Tłumacza. Nie mniej pomyślnie wiodło się drugiemu wojsku pod wojewodą krakowskim, Spytkiem. „Raczej goniąc od twierdzy do twierdzy, niż postępując”, zdobył Spytek niebawem wszystkie zamki i miasta, z wyjątkiem jednego Bolesławca, który wciąż jeszcze oblegano.

Z równem zaś szczęściem w olsztyńskiej, jak i w wieluńskiej ziemi gromiąc nieprzyjaciela pod bronią, ujmowano równą łaskawością rozbrojonego. Dowódca zamku w Wieluniu, Stańczyk z Rudy herbu Świnka, jeszcze po opanowaniu miasta bezużyteczne na zwycięzców miotający pociski, odniósł za karę tylko postrach toporu katowskiego, który mu już z nadkarku cofnęło przebaczenie królewskie. Tak fortunym sposobem ukończono w siedmiu dobach całą wy-

prawę. Po zastawieniu ziemi dobrzyńskiej, po zagarnięciu przez Koronę Wielunia i Ostrzeszowa, po stracie posiadłości kujawskich, które temiż czasy widziemy podobnie w rękę królewską, pozostał Naderspanowi z szerokich dzierżaw polskich jedyny Bolesławiec, oblegany ciągle wojskami koronnymi.

I nie koniec jeszcze klęsce Opoleczykowej. Chwilowy opór Bolesławca stał mu się przyczyną tem cięższego ucisku. Przebywał stary książę obecnie na Szląsku, w ostatniej resztkę posiadłości dziedzicznych, w Opolu nadodrzańskim. Podzielali z nim ojcowską opolską trzej synowcy, synowie zmarłego dawniej brata Bolesława: Bolko, Bernat i Jan Kropidło, znany nam pretendent do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Wszyscy Opoleczykowie mieli się za nieprzyjaciół korony polskiej, wrogię im nie tylko wojną ze stryjem Naderspanem, lecz nadto prześladowaniem wspomnianego dawniej brata, Kropidły.

Gdy dwór rzymski, po zamianowaniu go biskupem władysławskim, przeznaczył mu w r. 1389 samowolnie arcybiskupstwo gnieźnieńskie, nie zważając na przeciwnie życzenia kapituły i Jagiełły, król polski nie dopuścił Kropidły na stolicę arcybiskupią, zamknęła mu zajazdem dóbr gnieźnieńskich przez wyśtańców królewskich. Powiodło się owszem Jagielle uzyskać w Rzymie opróżnione przez Kropidłę biskupstwo władysławskie dla księcia lignickiego, Henryka, przez co synowiec Naderspanów ujrzał się niespodziewanie wyzuty z obudwóch katedr. We wszczętych o to między Opoleczykami a koroną polską targach przyszło nawet do tego, iż niespokojny Kropidło popadł później w niewolę polską i kilkutygodniowe przebyć musiał więzienie.

Która to podwójna niedola stryja i brata pobudziła wszystkich Opoleczyków do wspólnej teraz wojny z Jagiełłą. Posiłkując tedy starego Naderspana, uczestniczyli oni w jego najazdach na przyległe dzierżawy polskie, płądrowali z nim przyjezdnych kupców

krakowskich, i zwłaszcza zdobyciu Bolesławca stawili różne przeszkody, dostarczając mu wszelkich potrzeb żywności i uzbrojenia. Przy ich pomocy lekceważył warowny bagnami zamek wszelkie usiłowania Polaków, już drugi rok oblegających go bezskutecznie. Napróżno stanęły dokoła szerokie baszty drewniane i biły z nich działa i bombardy w mury zamkowe. Jak zawsze, tak i wówczas, nie znała sztuka wojenna trudniejszego zadania nad zdobycie mocnej warowni, a Bolesławiec miał złowrogą w tej mierze sławę.

Założony przed stu kilkudziesięciu laty przez Bolesława Wstydliwego na grzęskim wybrzeżu Proсны, został on w pierwszych latach Kazimierzowskich siedliskiem rozbójniczej zgrai pogranicznych Szlązaków, postrachem całej okolicy, przedmiotem osobnych układów między królem czeskim a polskim, zakończonych wspólnym zburzeniem zamku. Odbudował go późniejszymi laty król Kazimierz tak mocno, iż teraz, jak druga Troja, mógł kilkuletniemu opierać się oblężeniu.

I byłoby ono jeszcze większych doświadczyło trudności, gdyby nie doraźne odcięcie mu pomocy bratanków Opoleczykowych. Ich wojenny sojusz ze stryjem, ciągle z Opola łupieżę Naderspanowe w sąsiednich włościach polskich, popełniane przez niego gwałty przeciwko sąsiedniej szlachcie polskiej, wywołały zamiar ukrócenia Naderspana w samym gnieździe rodzinnem. Przymierze Jagiełły z królem rzymskim Wacławem, najwyższym zwierzchnikiem książąt szląskich, pozwalało dokonać tego bez nadwężenia przyjaźni z koroną czeską. Taż sama przemoc, z jaką przygnębiono Naderspana w posiadłościach koronnych, miała służyć także przeciwko Opoleczykom.

W rok po wyprawie olsztyńskiej wtargnął Jagiełło na czele licznych chorągwi dworskich i pańskich w granice ziemi opolskiej. Naderspan uchylił się przed niebezpieczeństwem, zdając obronę księstwa bratankom. Po opanowaniu całego kraju z zamkami: By-

tom, Strzelce i Domanice, będącemi własnością Naderspana, tudzież Moszny i Lublińca, zdobytych głównie przy pomocy pana wojewody krakowskiego Spytkę z Melsztyna, obległy wojska polskie stołeczne miasto Opole. Książęta Bolko i Bernat nie mieli nadziei przydłuższego oporu. Za pośrednictwem tedy książąt: Wacława biskupa wrocławskiego, Konrada oleśnickiego, Ludwika brzegskiego i Przemka opawskiego, udało się do łaski królewskiej.

Jagiello oświadczył się skłonnym do ustąpienia pod warunkami, srogimi jedynie dla Naderspana i Bolesławca. Za przyjęciem onych przez książąt, stanęła w obozie królewskim dnia 5 sierpnia 1396 ugoda, mocą której Jagiello pozostawił książąt Bolka i Bernata przy Opolu, Bytomiu, Strzelcach i Domanicach, odjętych Naderspanowi; zamki zaś Mosznę i Lubliniec przyznał król wojewodzie krakowskiemu, Spytkowi. Książęta nawzajem obowiązali się zaniechać dalszych najazdów w granice polskie, odwołać swoje żołnierstwo z Bolesławca i nie posiłkować go ani pieniędzmi, ani bronią, ani żywnością, wreszcie powstrzymać się od niepokojenia wojewody Spytkę w udzielonych mu zamkach szlaskich.

Takim sposobem stało się zadość wyprawie, zadość karze Naderspanowej. Wyzwawszy go z mniemanej darowizny króla Ludwika, wywłaszczywszy go na korzyść synowców z posiadłości domowych, odjęto mu wszelkie środki uszkodzenia. Rozbrojonemu pozwolono błąkać się bezwładnie po scenie dawnego panowania swojego, bywać u dworu w Krakowie. Książęta opolscy pozostali w ciągłej odtąd przyjaźni z Polską. Dawszy porękę za swego niespokojnego brata Kropidłę, wyjednali oni wreszcie i dla niego przebaczenie królewskie, pozwalające mu do osiągniętej dycecezy kamińskiej przyłączyć także świeżo przez papieża po raz wtóry nadane mu biskupstwo władyśławskie. Wrócili Opoczkom nawet Spytkowe zamki Moszna z Lublińcem, lecz nie inaczej, jak tylko

małżeństwem księcia Bernata na Falkobergu z córką wojewody Spytkę, Jadwigą, wyposażoną przez króla nabytkiem niniejszej wojny opolskiej.

Zaczem szturmowano dalej do Bolesławca. A gdy obleżenie mimo wszelkich wysiłków, nie wróżyło skutku natychmiast, przystąpiono do uzupełnienia zwycięskiej wojny Naderspanowej odzyskaniem ziemi dobrzyńskiej. Bywszy początkiem sporu Opoleczyka z Koroną, poważniła go ona w końcu z samym zakonem. W obecnym położeniu starego księcia nie było mowy o wykupie Dobrzynia. Brak pieniędzy i obawa zaboru przez Polaków, zmierziły mu samą myśl o tem. Temci gwałtowniej uparł się starzec sprzedać go zakonowi.

Ale jak Naderspan od wykupu, tak Krzyżacy mieli podobnie wstręt od kupienia. Trzymając Dobrzyń oddawna już w swoich rękach, nie potrzebowali oni kupować go nanowo. Wiedząc zaś, iż połączone z zakupnem ogłoszenie się zupełnymi panami krainy zakupionej rozdrażniłoby zwyciężczkich teraz Polaków, mieli Niemcy obecnie o tyle mniejszą ku temu chęć, o ile teraźniejsze usposobienie zakonu, a osobliwie spokojnego mistrza Jungingen, przemawiało za utrzymaniem chwilowej zgody z Polską, t. j. za wszelkiem uszkodzeniem jej pokątnie, bez żadnego wzajemniebezpieczeństwa od niej. Przez co ponowił zakon stanowcze zaprzeczenie kupna Dobrzynia.

Rozjątrzony tem książę obruszył się przeciw Krzyżakom. Krzyżacy odpowiedzieli nie mniej obrazająco. I owo w ostateczne oszczędzenie całej sprawy Opoleczyka z Krzyżactwem wszczyną się szkaradny swar pomiędzy obudwiema szalbierskimi stronami, spiknionemi z początku w chęci pogwałcenia Korony, a w końcu szarpiącemi się wzajem u jej podnóża.

„Daliście mi wyraźne przyrzeczenie—odzywa się stary książę do panów pruskich—że kupicie ziemię dobrzyńską, a teraz łomiecie słowo!” — „Nie daliśmy słowa—odpowiada mistrz W.—Wszelkie pisma w tej

mierze były tylko nie nie znaczącemi przedmowy, bez pieczęci i bez waloru. Zresztą na toż mamy kupować Dobrzyń, aby sobie kupić za to wojnę z koroną polską? Na co nam wojny za pieniądze, kiedy mamy dość wojen bez pieniędzy! — „To mi wypłaćcie czynsze, które mi się należą — nagabywa Naderspan dalej — wynagrodźcie mi koszty, które o Dobrzyń poniosłem. — „Czynszów płacić nie będziemy — odpierają dawni powiernicy książęcia — ponieważ mieliśmy niezmiernie wiele wydatków na utrzymanie ziemi dobrzyńskiej, a niepotrzebnie podjęte koszty niech książę sobie samemu przypisać raczy.”

Rozgniewany starzec nazwał to nieuczciwością. Krzyżacy przypomnieli mu w odpowiedź nieokazany dotąd dokument darowizny króla Ludwika, główny dowód własności ziemi dobrzyńskiej, w niemałe przez to podanej podejrzenie. Toć Polacy, jak wiadomo, założyli protestacyę przeciwko zastawieniu Dobrzyń. Jeśli Naderspan albo nie udowodni słuszności swojej, albo nie wykupi zastawu, będą Krzyżacy musieli traktować o jego Dobrzyń z kim innym, z koroną polską.

I rzeczywiście przyszło do tego. Polacy zażądali od zakonu wydania zastawu Naderspana. Przeciwna odpowiedź zakonu stała się powodem długich rokowań. Nie mogąc porozumieć się rozgoworem pisemnym, postanowiono osobisty zjazd W. mistrza Jungingen z królem polskim. Atoli niezwykłe rozdrażnienie Jagiełły przeciw Krzyżakom, obarczonemu tyłką świeżych i dawnych win względem Polski, Litwy i samejże osoby królewskiej, gdzie tylko można łzonej przez nich i potwarzanej, kazało obawiać się, aby spodziewane wybiegi zakonu przy rokowaniu nie przywiodły niecierpliwego króla do uderzenia na Krzyżaków raczej orężem, niż argumentem.

Było zaś w radzie koronnej wiele głosów przeciwko wojnie niezwłocznej, poczytywanej po części za przedwczesną, po części też niezgodnej ze zdaniem

Jadwigi. Przychylna Krzyżakom, jako przyjaciółom ojca zmarłego, przejęta pobożnym wstrętem ku wszelkiemu przelewowi krwi, starała się królowa polska o jaknajdłuższe utrzymanie zgody z zakonem. Życzenia powszechnie uwielbianej pani znachodziły łatwy odgłos pomiędzy wdzięcznymi dygnitarzami. Uradzono więc, iżby nie król, lecz Jadwiga udała się na zjazd zamierzony.

Odbył się on w dziesięć miesięcy po wyprawie opolskiej, około Zielonych Świąt r. 1397, w Inowrocławiu, pod szczęśliwą wróżbą wielu sprzyjających okoliczności. Względy córki Ludwika dla panów pruskich, ich wzajemna cześć dla niej, upomnienie się o Dobrzyń imieniem jedynej teraz córki i spadkobierczyni mniemanego donatora tej ziemi, a tem samem jej zwierzchniczki najniewątплиwszej, wreszcie spokojne usposobienie mistrza Jungingen, obudzały nadzieję w pomyślny skutek orędownictwa Jadwigi.

Ale nie wobec krzyżackiej to uporności zajaśnieć zwycięzko urokowi naszej uwielbionej królowej. Szczęśliwa mistrzyni ostatnich narowów pogaństwa Jagiełłowego, pojednawczyni Witolda i Skirgiełły, poskromicielka najkrnąbrniejszych umysłów, przemawiała Jadwiga napróżno do Krzyżactwa w Inowrocławiu. Sama jej pobłażliwość zachęcała Krzyżaków do wypróbowania wprzód ostatecznej miary powolności strony przeciwnej, nim usłuchają własnych życzeń spokoju. W. mistrz zaczął przyznawać słuszność żądaniom Polski, oświadczał, iż zakon nie rości sobie praw właścicielstwa ziemi dobrzyńskiej, będącej tylko zastawem; lecz żał rozstania się z owładniętym raz krajem umiał zmyślić łatwą zwroć do go przeszkodę.

„Książę opolski Władysław — była wymówka krzyżacka — ma zapewnienie Zakonu, że po zwrocie sumy wypożyczonej będzie Dobrzyń mu wydany natychmiast. Dopóki ten dokument trwa w jego ręku,

niewolno zakonowi rozporządzać ziemią zastawną. Zaczem wszystko, co Krzyżacy mogą uczynić dla Jadwigi, ogranicza się chyba na upomnienie księcia opolskiego, aby jaknajprędzej wykupił Dobrzyń." Wiadome niepodobieństwo tego żądania zaprawiało wymówkę istnem szyderstwem. Zjazd inowrocławski spełził bezskutecznie.

Wtedy rozżalona Jadwiga ozwała się wieszczym duchem do Niemców: „Dopóki ja żyję, znosi Korona cierpliwie wasze bezprawia. Ale po mojej śmierci spadnie na was kara niebios za wszystkie krzywdy polskie. Nieochybną wojną przyniesie wam zagładę!” — „I tak się też stało” — dodaje opowiadający to później Krzyżak spóczesny, a może nawet naoczny świadek zjazdu w Inowrocławiu.

Dopiero nadejście czasu, który miał ziścić tę wróżbę, zbliżyło porę zwrotu Dobrzynia. Wymusił go na Krzyżakach zbieg wielu pomyślnych dla Polski zdarzeń, odejmujący Zakonowi możność dalszej odwłoki. W kilka lat po zjeździe inowrocławskim umarł niefortunny książę opolski. Jeszcze nawet wobec świątobliwej Jadwigi odwołując się na swój tajemniczy, nigdy nieokazany i nigdy też nie istniejący dokument zupełnej darowizny króla Ludwika, zeszedł starzec z fałszem na ustach, a smutkiem w sercu ze świata.

Jedyną pociechą jego niedoli i opuszczenia w latach ostatnich był ciągły opór zamku bolesławskiego. Już siódmy rok szturmowano do niego ze zbudowanych dookoła baszt, nie mogąc otworzyć sobie grodu. Trudność opanowania go szturmem zniewoliła doświadczyć ogłodzenia. W ciągu tej próby nastąpiła śmierć Naderspana, przyczyna zgaśnięcia ducha w zalodze. Nie przeżył bowiem księcia żaden potomek męzki, a wdowie, córkom i odleglejszym bratankom, zabrakło niebawem środków do poszukiwania wątpliwych sched. Poddawa się więc twierdza bolesławiecka Polakom, i pozostał im do wydobycia z rąk owdo-

wiałej księżnej jedynie ów dokument zastawienia Dobrzynia Krzyżakom, bez którego oni nie chcieli zwrócić go Polsce.

Wykradł wdowie tę kartę jeden z bratanków szlaskich i okupił sobie tem łaskę króla Jagiełły. Ośmieleni posiadaniem dokumentu Polacy natarli tem usilniej na Zakon, ofiarując mu zwrot całej wypożyczonej niegdyś Naderspanowi sumy. Poparły Koronę nieprzyjazne teraz stosunki między Krzyżactwem a W. ks Litwy Witoldem, grożące spólnem powstaniem Polski i Litwy przeciwko Prusom. Dzięki skromniejszemu usposobieniu W. mistrza Jungingen, wziął rozsądek chwilową przewagę nad coraz otwartszą zachwałością Zakonu. Ogół braci krzyżackiej zżymał się wprawdzie przeciwko odstąpieniu Dobrzynia, sztydono nielitościwie ze zbytnej potulności W. mistrza, przymawiano mu, iż wart być raczej przeorem mui-chów opastych, albo mniszką wstydlivą, niż naczelnikiem zakonu rycerskiego, malowano nań karykatury po ścianach, lecz rozsądny Jungingen postanowił uniknąć wojny z Polską.

Na uroczystym zjeździe z Polakami w Raciążu nad Wisłą (1404) obowiązał się Zakon wydać Koronie Dobrzyń i Złotoryę, skoro Polacy wypłacą mu 50.000 zł. za pierwszy, a 2,400 kóp groszy praskich za drugą. Do zebrania tak wielkiej sumy nie było innej drogi nad powszechną składkę narodu, czyli podatek nadzwyczajny. Ponieważ zaś królewskie przywileje ostatnich lat, mianowicie przywilej króla Ludwika w Koszycach i Jagiełły przed koronacją, rzekły się wszelkich podatków nad dwa grosze łanowe, przeto wypadło terażniejszemu poborowi zasięgnąć osobnego przyzwolenia ze strony szlachty. Rozkazał tedy król, aby się odbyły pojedyncze sejmiki we wszystkich ziemiach królewskich, na którychby dano królowi wyraźne upoważnienie w tej mierze.

Stało się według życzeń królewskich i powszechnie uznanej potrzeby kraju. Wszystkie pojedyncze

sejmiki zgodziły się na podatek i obrały pełnomocników, mających zanieść królowi wolę narodu i ułożyć miarę poboru. Miejscem zgromadzenia nazначył król wszystkim pełnomocnikom Nowe miasto Korczyn nad Wisłą, terminem św. Marcin. Oprócz wysłanników szlacheckich, niosących przyzwolenie w imieniu tych, którzy sami przybyć nie mogli, zebrali się w Korczynie także prałaci i dostojnicy, czyli „panowie” świeccy, niosący przyzwolenie za siebie samych.

I owo po raz drugi w przeciągu zdarzeń powieści naszej odbył się wielki „sejm generalny”, złożony z duchowieństwa, „panów” i posłów ziemskich. Pierwszy raz w roku 1382 zgromadziła go w Wiślicy sprawa elekcji jednej z córek króla Ludwika, obecnie powtórzyła go sprawa pieniężna. Nie żałując groszów dla dobra powszechnego, uchwalono jednomyślnie podatek 12 groszy (wliczając w to dwa zwyczajne grosze królewskie) od każdego osiadłego łanu w Koronie. Przy uskuteczniomym w ziemie poborze wpłynęło ztąd około 100.000 grzywien. Gdy potrzeba właściwa nie przewyższała razem sumy 28.000, uskarbiła się znaczna nadliczka, przydatna blizkim potrzebom na dzwiczajnym. Zawarowaną sumę okupu odstawiono czempredzej na nowy zjazd króla z W. mistrzem w Toruniu. O Świątkach w r. 1405 był już kwit na spłacone pieniądze i Dobrzyń ze Złoto-ryą w rękę królewskim.

Cheiano też na tym samym zjeździe toruńskim usunąć jeszcze niektóre inne powody nieporozumień. Krzyżacy zażądali od Jagiełły zaniechania tytułu „pan i dziedzic Pomorza”; Polacy pragnęli uspokoić się względem niedosć pewnych miedz Nowej Marchii, zakupionej tymczasem przez W. mistrza Jungingen. Z różnych jednakże przyczyn, przedewszystkiem zaś z nieprzejednanej w gruncie sprzeczności obudwóch stron, wrogich sobie z korzenia, nie odpowiedział skutkiem życzeniom. Mimo wszelkie pozory zgody chwilowej, mimo okazale przyjęcie, jakim mistrz W. po

ukończonej sprawie dobrzyńskiej ugościł króla i Polaków w Toruniu, pozostały głębokie zarody waśni.

Najniebezpieczniejszem zarzewiem gwałtownego wkrótce pożaru, ostatecznej katastrofy powieści naszej, rozlewał coraz żywszy spór o wątpliwe granice Marchii, mianowicie o pograniczny zamek Drezenko. Zaszczepiła go, jak wiemy, też sama chwila i ręka, która najpierw podsunęła Krzyżakom pokusę ziemi dobrzyńskiej, chwila owego toruńskiego projektu podziału Polski w r. 1392, a ręka onego złego ducha Polaków, króla Zygmunta, wiedziona niemniej zawistnemi radami księcia z Opola. Pożądliwość krzyżacka nie oparła się wrogiej nęcie i zagarnęła w istocie najprzód Dobrzyń, potem i Nową Marchię.

Pierwsza z tych nierozważnych pastw, pastwa dobrzyńska, szczęśliwie dla Zakonu rozplynęła się w nicosć; sprawa Nowej Marchii miała na nieszczęście dla niego pomyślniejszy chwilowo skutek, utajając w zanadrzu Zakonu iskrę nieszczęsną, która z czasem ogarnęła go ogniem dokoła. Owa mało znacząca sprzeczka o Drezenko, o zwierzechnictwo nad jego posiadaczami Ostami, o ich niepewną wierność i obustronne dokumenty, rozdmuchała dziwnie prędko jedną z najsroższych łun, jaką kiedykolwiek pałało państwo całe. Już w pięć lat po obecnej gościnie króla w Toruniu stał wszystek kraj zakonny w płomieniach, spłonęła na zgliszczu grunwaldzkim wszystka jego wielkość i chwala.

Ale dopóki żyje bogobojna królowa polska, nie lękać się ludziom tego krwawego dla wszystkich dnia. Jego blizkie już w każdym razie świtanie na widnokręgu jest niestety miarą jeszcze blizszego kresu życia Jadwigi. Opowiedziane tu przytarcie Naderspana wyprawą olsztyńską i opolską tylko trzema latami uprzedziło żałobę po niej. Owszem, nadmienione w końcu wykupno ziemi dobrzyńskiej odbyło się już nad jej grobem. Dlatego odroczyć nam do nieco

późniejszej chwili sprawę Drezdenka i Grunwaldu, a zająć się ostatnimi rysami obrazu nieśmiertelnej córki Ludwika.

XX. ZEJŚCIE JADWIGI.

Dnie smutku. — Śmierć królowej Elżbiety. — Żaloba po matce. — Oszezerstwa Gniewosza z Dalewic. — Sąd w Wiślicy. — Lekie ukaranie oszezercy. — Pobieżliwość epoki. — Zgoda małżonków królewskich. — Pociąg Jadwigi ku pobożności. — Spółczesne tego przykłady. — Jubileusz roku 1390. — Codzienne praktyki bogobojności. — Zabytki pobożnych ofiar Jadwigi. — Uk oj e n i e. — Weselsze odtąd pożyte. — Przejazdki po kraju. — Goście i festyny na zamku. — Odwiedziny króla Zygmunta. — Facecje u stołu królewskiego. — Kolej rocznych uroczystości. — Błogi wpływ Jadwigi na wszystkich społecznych. — Powszechna dla niej miłość i cześć. — Jedyną chmurą bezdzietność. — Dawne o tem wyobrażenia. — Pokutnicze usposobienia ostatnich lat Jadwigi. — Ascetyzm i światobliwość. — Wyśłuchanie modłów. — Brzemienność. — Ostatnia choroba i śmierć Jadwigi. — Rozporządzenia testamentowe.

Wyprowadziwszy królową naszą przed laty dwunastu w koronacyjną podróż z Jagiełłą po Wielkopolsce, nie widzieliśmy jej odtąd w murach królewskiego zamku w Krakowie. Zdarzone w tym przeciągu wypadki okazały nam Jadwigę opiekunką ludu w Poznaniu, przywróciicielką Rusi we Lwowie, pojednawczynią Witolda i Skirgiełły w Ostrowiu, orędowniczką z Krzyżakami w Inowrocławiu. Po wzmiance o tych postronnych aktach królewskich wróćmy znowuż do zamkowych komnat w Krakowie, w domowe progi codziennego życia Jadwigi. Widziały one ją nie mniej zbawienną i błogą narodowi, jak owe strony dalsze,

a widziały ją najpiękniejszą, bo z niegasnącym nigdy na jej czole blaskiem dostojności królewskiej łączył się tam urok niewinnego cierpienia. Poznań, Lwów, Ostrów, Inowrocław znały ją łaskawą, gorliwą, mądrą; krakowskie progi domowe opowiedzą ją nam jeszcze nieszczęśliwą, żalobną, pocieszoną, światłą i świętą.

Zaledwie Jadwiga wróciła niegdyś do Krakowa ze stron wielkopolskich, nadbiegły tam owe smutne wieści z za Karpat, wieści o porwaniu królowej Elżbiety i Maryi przez powstańców węgierskich, które przyspieszyły wyprawę czerwonoruską. Gdy małżonka Jagiełłowa ciągnęła z wojskiem ku Rusi, rozniosła się wiadomość o zamordowaniu matki w więzieniu Nowogrodzkim. Głoszone o tem szczegóły, im mniej jednostajne tem niewątpliwe, sroższe, podwajały okropność ciosu.

Opowiadano sobie, iż rokoszanie kroaccy zamierzali uwieźć obiedwie królowe do Neapolu i wydać je tam wdowie zamordowanego w Węgrzech Karola Małego. Ponieważ zaś tym sposobem królowa i korona węgierska przechodziły we władzę Karolowego syna Władysława, który zjednoczeniem poadryatyckich Węgier z Neapolem mógł zachwiać adryatycką potęgę Wenecyi, przeto postanowili Wenecyanie zniweczyć zamiar powstańców. Wypłynął tedy oddział floty weneckiej i zamknawszy drogę do Neapolu, obległ rokoszan w Nowogrodzie, wzywając ich do uwolnienia obu królowych. W tym samym celu i czasie wyruszył także dotychczasowy „opiekun Węgier”, Luksemburczyk Zygmunt, z oddziałem wojsk do Kroacyi przeciw powstańczemu grodowi.

Zagrożeni z dwóch stron Kroaci, zamiast uskrońić się w zawziętości, tem zacieklej, owszem, srożeli. Aby dogodzić zemście i rzucić postrach na nieprzyjaciół, dopuścili się barbarzyńcy niesłychanego okrucieństwa. Zamordowano królowę Elżbietę w oczach córki i wywieszono trupa z murów twierdzy na widok

oblegających, grożąc uczynić toż samo z królową Maryą, jeśli nie odstąpią od oblężenia. Krew Elżbiety nie pozwalała wątpić o rzeczywistości pogroźki. Wenecyanie i Zygmunt cofnęli się. Zwłoki królowej Elżbiety pogrzebiono w połowie lutego r. 1387 w tej samej Jadrze, czyli Raguzie, gdzie Elżbieta r. 1383 tak uporczywie wzbraniała Polakom nadeśłania Jadwigi, wchodząc w tajne porozumienie z Jaśkiem z Tarnowa i przytrzymując ofiarowanych w zakład za Jadwigę młodzieńców polskich.

Siostra Jadwigi pozostała nadal w ręku morderców. Jej oziębły małżonek nie spieszył ku pomocy, która zresztą możeby tylko równie zgubną okazała się córce, jak poniekąd zgubiła matkę. Wolał Zygmunt własnej tymczasem dokonać koronacji i po czteroletnim gonieniu przygód w Polsce i Węgrzech, po czteroletnich odprawach i zniewagach, korzystając ze śmierci teściowej i z uwięzienia małżonki, przywdział rzeczywiście koronę węgierską dnia 31 marca 1387 roku. Dopiero w trzecim miesiącu po tym wypadku, dzięki nowej wyprawie weneckiej, doczekała się królowa Marya uwolnienia z więzów rokoszan, aby przejść pod władzę poniewolnego małżonka Luksemburskiego.

Śmierć królowej Elżbiety przyodziła kirem jej córkę polską. Obyczaj czasu przestrzegał surowo obowiązku opłakiwania zmarłych rodziców i rodziny, a początkowe przykrości związku z Jagiełłą tem więcej goryczy przydawały smutkowi. Do ciężkiej więc żałoby wróciła Jadwiga z Rusi Czerwonej w podwoje swego królewskiego zamku nad Wisłą.

Obchodząc zaś pośmiertną pamięć matki, zamykała się każda księżna średnich wieków przynajmniej na sześć tygodni w sypialni i tam, wśród czarno obitych ścian, w ściśle przepisany stroju żałobnym, bez pierścieni, klejnotów i rękawiczek, spoczywała przez cały czas na łożu, które zamiast zwyczajnej jedwabnej i złotem przetykanej pościeli, bieleło jedy-

nie skromnem prześcieradłem płóciennem. Po kilkotygodniowej pokucie następowały inne, mniej surowe pory żałoby, trwające razem przez kilkanaście miesięcy.

Podobnież długo i ściśle obchodzona żałoba naszej Jadwigi doznawała jeszcze pewnej małoznacznej na pozór, lecz przykrej z czasem niedogodności. Było to w porze najgłośniejszego lamentu zakonu i Wilhelma na bezprawność zaślubin Jagiełłowych. Po wszystkich dworach europejskich krążyli wysłańcy krzyżacy i rakuscy, opowiadający dziwa o niewoli przymusowego małżeństwa królowej polskiej, o barbarzyństwie jej gwałtownika Jagiełły, o niezrównanych wdziękach Jadwigi. Rycerstwo wszystkich krajów europejskich, z obowiązku rozmiłowane w podróżach i przygodach po zagranicy, nie znało gorętszego życzenia, jak przekonać się naocznie o romantycznych scenach na dworze polskim. Mnodzy tedy wędrownicy rycerscy ciągnęli zewsząd ku stolicy nad Wisłą, ku grodowi królewskiemu na Smoczej górze, w którym mieszkała i cierpiała piękna córka sławnego w całej Europie króla Ludwika.

Gościnność tamtoczesna nie dozwalała pod żadnym pozorem wzbraniać przystępu naprzykrzonym ciekawcom. Jak król Jagiełło po upadku Kiejstuta zżymał się przeciwko takiemu natrętwu w Wilnie, a przecież kilkudniową gościnnością raczyć musiał natrętów, tak i pogrążonej teraz w żalu Jadwidze niepodobna było unikać oczu i czołobitności wielu niewczesnych odwiedzaczy. Niepokoili oni ją hołdami swemi zaraz po weselu z Jagiełłą, po rychłym powrocie z wyprawy czerwonoruskiej, jako też w czasie pobytu króla na wyprawie apostolskiej nad Niemnem, od jesieni roku 1386 do jesieni w roku następnym.

Wtem nagle, w połowie tego czasu, wśród lipca roku 1387, zjawia się w Krakowie sam król Jagiełło. Jedyne ślad jego urzędowych wtedy czynności w stolicy polskiej okazuje go w przyjaznem porozumieniu

z dawnym naczelnikiem stronnictwa rakuskiego, dawnym poufnikiem Wilhelma i Jadwigi, panem Gniewoszem z Dalewic. Dnia 26 lipca pozwala małżonek Jadwigi „swemu wiernemu i miłemu Gniewoszewi” sprzedać wieś Suchę w ziemi krakowskiej za wysoką cenę 800 grzywien. Pan Gniewosz posiadał ciągle dawne zaufanie Jadwigi, nie odstępował jej nawet podczas wyprawy ruskiej, znał tedy wszystkie jej kroki i tajemnice. Upadek sprawy Wilhelma radził mu szukać teraz łaski króla Jagiełły, choćby zdradą przeciwko swojej pani niewinnej. Podejrzliwy zaś Jagiełło, z obawy odnowienia się dawnej skłonności Jadwigi ku Wilhelmowi, pragnął tajemnych doniesień o jej pożyciu.

Takim sposobem zadzierzgnął się poufny między królem a Gniewoszem stosunek, który, gwoili zachowania Gniewoszewi dalszego powiernictwa u Jadwigi, miał pozostać sekretem przed całym dworem. Aby sobie tem większą zapewnić wagę, aby tem obfitsze myto donosicielstwa zagarnąć, nie wzdygał się nikczemnik, w braku rzeczywistych tajemnic do wyjawienia, użyć najsromotniejszego oszczerstwa. Skłamał tedy przed królem, że pomiędzy gośćmi zagranicznymi, którzy w tych czasach nawiedzali zamek królewski, znajdował się także Wilhelm, że był przebrany za kupca, że królowa widywała się z nim.

Jagiełło przyjął z rozjątrzonem sercem te wieści i „nie umiejąc ukryć niczego”, dał niebawem uczuć nieszczęśliwej Jadwidze, że przenika jej wiarołomstwo. Owszem, spotykały ją wyraźne zapytania, jakie zmowy miała z Wilhelmem? Zapewnienia niewinności znalazły głuche przyjęcie. Miary tylu różnych jednocześnie udręczeń szesnastoletniej małżonki Jagiełłowej dopełniła obelga męża. Samo wreszcie rozwarte raz źródło niesnasek i umartwień pruć sobie coraz szersze łożysko. Niegodziwy zausznik z Dalewic, skłamawszy raz przed Jagiełłą, musiał dalej kłamać też przed Jadwigą. Dla uskarbienia sobie tem

dłuższej uwagi i wdzięczności obudwóch stron, zaczął Gniewosz odgrywać u Jadwigi tę samą rolę względem Jagiełły, jaką u niego odgrywał względem Jadwigi.

Do rzeczywistej przewiny fałszywych posądzeń Jagiełłowych zmyślił obłudnik jeszcze inne wykroczenia króla przeciw małżonce. Podniecane na obie strony zarzewie, roztlewało coraz smutniejszą waśnią domową. Napróżno mądrość panów koronnych pracowała nad pojednaniem małżonków. Co próśby i przedstawienia przychylne skleły dnia jednego, to jakaś ręka wroga zniweczyła skrycie nazajutrz. Już nawet na czas przydłuższy ucichły były niesnaski, gdy po kilku miesiącach, za niezmordowaną podżogą oszczerców, nowe wyniknęły rozterki. Płynąca donosicielstwu nagroda faworów i pieniędzy nazbyt żywo nęciła zgraję łakomców, a szczególniejszemu herszta z Dalewic, aby kiedykolwiek spoczęło podłe rzemiosło.

Lżyli więc pokutnie i opływali w łaski oszczercey, a cały dwór frasował się z ich powodu. Panów dostojników koronnych niepokoiło grożące ztąd rozchwanie się małżeństwa królewskiego i związku Korony z Litwą. Chciwy życzliwości ludzkiej Jagiełło, bolał na muiemaną zdradą Jadwigi, jako nad krzywdę, którą on zdolny był uczuć głębiej, niż wszelkie wdzięki Korony. Im goręcej nawet serce królewskie pragnęło przywiązania małżonki, im zacniejsze w tej mierze ożywiały króla uczucia, tem dotkliwiej dręczyła go nieszczęсна podejrzliwość, tem boleśniej dręczył on nią Jadwigę. Osobliwszem zrządzeniem niebios, zsylających tyle razem nieszczęście Ludwikowemu dziecku w koronie, samo nawet rzeczywiste przywiązanie małżonka zaostrzało nowym kolcem cierniowy wieniec Jadwigi.

Toż nieskończenie więcej, niż zafrasowani panowie koronni i Jagiełło, cierpiała nieszczęśliwa Jadwiga. Za jej ofiarę, za jej niewinność, odpłacano tak srogą niewdzięcznością. Uczucie doznanej nie-

sprawiedliwości, oćmione kirem reszty nieszczęść i strat rodzinnych, zamęciło, wzburzyło piękną duszę, Serce przejęło się goryczą, wspaniały umysł zniewagą. Nastąpiła chwila krnąbrnego oporu losom. Jadwiga przecięła na jakiś czas wszelkie styczności z mężem. „Ilećroć Jagiełło zbliżył się do niej, ona z gniewem odwracała się odeń”.

Tylko bijący w oczy wzgląd, iż ona to właściwie jest panią i dziedziczką królestwa, jest źródłem teraźniejszej pomyślności narodu, ochraniał ją od kary, jaką każdy z królewskich małżonków owego czasu byłby uskromił krnąbrność podobną. Jadwidze chyba w konfesyjonałe groziła kara. Gdy młodociana pani klęczała u spowiedzi, kapłan skarcił ją surowym napomnieniem do posłuszeństwa mężowi. Nieskruszona jeszcze duszy zdało się to urągowskim bołeści. „Jadwiga wstała gniewnie od konfesyjonału i nakazała milczenie spowiednikowi”. Było to śnać najwyższem przesileniem cierpienia.

W spokojniejszych jednak chwilach powiodło się radom koronnym zawiązać znowuż lepsze porozumienie pomiędzy małżonkami. Wypłynęło podówczas na jaw, iż główną przyczyną niesnasków są oszczerstwa pokątne. Aby więc nie dopuścić odrośnięcia chwałostowi, postanowiła rada z korzeniem wyplenić złe. W tym celu zanesiono prośbę małżonkom, aby równie Jagiełło, jak i Jadwiga, wyznali sobie nawzajem, kto właściwie rozsiewa kłóć pomiędzy nimi. Oboje królestwo przychyliłi się do żądania. Wtedy ku niemałemu zdziwieniu dworu wyszło z ust króla i królowej jedno i toż samo uawisko: Gniewosz z Dalewic.

Ta osobiwsza niespodzianka sprawiła bardzo pomyślne wrażenie. Oczywiście bowiem bezzasadność dwustronnych zmyślań przyczyniła się do tem rychlejszego zatarcia wszelkich niesnasek. Dzięki szczęśliwemu odkryciu, zniknęły odtąd na zawsze nieporozumienia w stadle królewskim. Ciesząc się zaś z przywróconej w niem zgody, nie unoszono się zbyt suro-

wem zgorszeniem nad szpetnością przewiny Gniewoszowej. Liczyła się ona, niestety, do powszednich zjawisk epoki. Wobec takiej moralności publicznej, która dopiero za trzeciem przekonaniem o rozbój wykluczała od zaszczytów i posług dworskich, czemuż była prosta dwujęzyczność pana z Dalewic! Ominął go wprawdzie z jej przyczyny wieniec doskonałości rycerskiej, dbał o nieposzlakowaność słowa i imienia, lecz te wymysły zagraniczne nie obowiązywały każdego, nie nęciły mianowicie podobnych Gniewoszowi zwolenników rubasznej staroświecczyny.

Mógł więc pan Gniewosz pozostać nadal w słońcu łaski królewskiej i byłby nawet uniknął wszelkiej zgola odpowiedzialności, gdyby nie królowa Jadwiga. Ona to sama, ona jedna, nie przestała na niedość jasnem rozwiązaniu wypadku. O ile rzeczywiście i zupełnie niewinna, o ile swoim uczuciem moralnem wyższa nad ogół tamtoczesny, równa najidealniejszym wymaganiom epoki, o tyle usilniej pragnęła ona usunąć od siebie ostatni cień wątpliwości, przekonać swego oszczereę. Zaczem wniosła królowa wyraźną prośbę i nalegała na to, aby zaskarżenia Gniewosza publicznym roztrząśnione zostały sądem. Król i panowie musieli przyzwolić na jawną „przę” z Gniewoszem.

Odbył się ten akt pamiętny według wszelkich przepisów ówczesnej procedury sądowej, wiślickim określonej statutem. Królowa Jadwiga, używając prawa każdej zacnej szlachcianki, zapozwała pana Gniewosza o potwarz czci niewieściej, przewidzianą osobnym paragrafem statutu. Wyznaczono obżalowanemu „rok” sądowy w Wiślicy. Zebrał się tam w oznaczonym terminie cały trybunał sędziów, podsędków i towarzyszącego zwyczajnie każdemu sądowi grona dostojników i panów, tak zwanych „assessorów i komorników sądowych”.

Sędziami i podsędkami małopolskimi byli temi czasy w województwie krakowskim Drogosz z Chro-

brza i Krzesław; w sędmierskiem Pełka i Prandota. Gdy i kasztelanowie najwyżsi nierzadko zastępowali sędziów ziemskich i uczestniczyli w ich sądach, przeto nie brakło sądowi wiślickiemu także owych małopolskich „panów” Dobiesława z Krakowa, Krzesława z Sędmierza, Krystyna z Sądcza, w szczególności zaś wiślickiego Mikołaja, pana na Ossolinie.

Wiadomy paragraf statutu uchylał osobiste stawanie niewiast przed sądem, pozwalając im wybrać sobie pełnomocnego zastępcę. Królowa wybrała takim znanego kasztelana wojnickiego, starego p. Jaśka z Tęczyna. Zaczny Toporczyk zasługiwał ze wszech miar na ten zaszczyt. Toć to on jeden podczas burzliwego sejmiku elekcyjnego w Sieradzu utrzymał zachwianą sprawę Jadwigi i wiernie odtąd stał przy niej. Jego mądrość, wymowność, wiek stateczny i obyczaje cnotliwe otoczyły go czcią powszechną i zjednały mu szczególne przywiązanie młodej królowej.

Jakoż nie lekkomyślnie podjął się „pan wojnicki” żądanego „rzecznictwa” w sądzie. Jadwiga musiała złożyć przed nim uroczystą przysięgę, jako rzeczywiste nie miała w życiu stosunku z nikim innym, jak tylko z królem Jagiełłą, małżonkiem swoim. „Upewnionemu i przekonanemu” w ten sposób wskazywał statut tę samą drogę upewnienia i przekonania sędziów, przeparcia oskarżyciela. Wypadło złożyć w imieniu królowej przysięgę niewinności i postawić pewną liczbę świadków zacnych i wiarogodnych, zwyczajnie sześciu, w najważniejszych sprawach dwunastu, którzyby przyświadczyli mu spółprzysięgą, tym głównym dowodem sądownictwa tamtoczesnego.

W obecnym razie ofiarowali ją przekonany już o niewinności małżonki król i najznakomitsi panowie dworu. Nadto przywiódł Jaśko przed trybunał drugie tyle „świadków” innego, zagranicznego prawa, dwunastu zbrojnych szlachty-rycerzy, którzyby obyczajem zachodnim, dowodem sądu Bożego, przepierali

przeciwnika rycerskim z kolei pojedynkiem. Wszystko, co żyło, na co tylko zdobyć się mogła sprawiedliwość ówczesna, stawało w obronie sławy Jadwigi.

Naczelniczący zwycięskiej sprawie stary pan kasztelan Tęczyński stanął pełen otuchy ze świadkami w „wieńcu sędziów zebranych,” w obliczu zapoźwanego. Była to równie świetna dla starca chwila, jak ów pamiętny dzień 28 marca r. 1383, kiedy na sejmie w farze sieradzkiej cały zbór elekcyjny uiegł jego mądrej przemowie. Tym samym głosem potężnym zaskarżył on teraz przytomnego Gniewosza: „jako niekczemnym umysłem i kłamliwymi ustami zelżył przed królem jegomością czyste łożo i niepokalaną niewinność jego małżonki. Skoro sędziowie zażądają, będą złożone dowody ku oczyszczeniu sławy królowej. On zaś, jej rzecznik, domaga się nawzajem, aby złośliwy donosiciel został zmuszony do odwołania.”

Pan Gniewosz upadł na duchu. Przeciwnictwo najwymowniejszego z panów ówczesnych, świadectwo samegoż króla i dostojników, groźne twarze dwunastu gotowych do pojedynku rycerzów, odrętwiły mu język. Daremnie wzywali go sędziowie po kilkakroć do przemówienia. Drżące przestraczem wargi, stłumiony ku ziemi wzrok, odpowiadały niemą prośbą o łaskę. Nie mogąc nic innego wydobyć z p. Gniewosza, przystąpił trybunał do wyroku. Uznano obżałowanego winnym potwarzy czci niewieściej. Pojęcia ówczesne nie czyniły w tej mierze różnicy między królową a szlachcianką. Ta sama kara, którąby poniósł był Gniewosz za nieuczciwe słowo przeciw matce pierwszego lepszego ze szlachty krakowskiej, zdała się obecnie dostateczną pokutą.

Była to kara przepisanej statutem główniejszyny 60 grzywien i rewokacyi, zakończonej formułą „zełgałem jako pies.” Ta więc kaźń padła teraz byłemu przewodcy stronictwa rakuzkiego. „Królowa Jadwiga została uznana i ogłoszona czystą, niewinną, wolną

od wszelkich podejrzeń." „Przeparty" zaś w sądzie Gniewosz musiał natychmiast zadość uczynić wyrokowi. Zgiął się „szkaradnik" (jak statut prawi) we dwoje, wlaź pod ławę sądową i odezwał się ztamtąd w głos, że wszystko, co o królowej prawił przed królem, było fałszem wierutnym. Po przepisanych statutom słowach: „skłamałem jako pies" — kazano mu naprawdę zaszczeakać kilka razy. Lubo statut nie zawiera tego obostrzającego dodatku, zaszczeakał Gniewosz z pod ławy.

„Którym to tak surowym wyrokiem—kończy kronikarz—stało się gruntownie zadość cnocie i niewinności królowej, jako też zgodnemu odtąd królewskiego stadła pożyciu." I byłoby można nazwać sąd wiślicki rzeczywiście surowym, gdyby ustanowiona nim kara, nie odejmująca zresztą ani wolności, ani majątku w ziemi, samym uszczerbkiem moralnym dostatecznie karmiła winowajcę. Atoli sromotna pokuta p. Gniewosza nie pognębiała wówczas moralnie. Równie zacny i szanowny później, jak przedtem, pozostał on nadal nieposłusznym aspirantem do posług i zaszczytów publicznych, posłował w imieniu królewskim do gospodarów wołoskich, sam następnie sądził sprawy na Rusi.

Owszem, dopiero w kilka lat po psiej scenie w Wiślicy zaszczycił go wysoki urząd podkomorzego krakowskiego, pod którym on powszechnie znany jest w dziejach. W końcu spotkamy go między najznakomitszymi synami kraju, na polu chwały. Był więc terazniejszy wyrok wiślicki „tak surowym" jedynie w oczach ówczesnych, w oczach sprawiedliwości i honoru onej epoki, która od morderców wymagała tylko miernej kwoty grzywien główszczyzny, która dwakroć przekonanemu łupieżcy gościncowemu „czylińa rewerencye" u dworu, a staroświeckim szlachciom wielkopolskim kazała przestawać na basarunku ilością policzków wymierzonym.

I niezupełnie też słusznem mniemamy dalsze

twierdzenie kronikarza, jakoby jedynie mądrym sędziom wiślickim przypisać należało, iż zgasły odtąd wszelkie niesnaski w stadle królewskim. Przynajmniej w równej mierze dzieliła tę zasługę sama mądrość i dobroć Jadwigi. Dość, że wistocie wróciło najlepsze pomiędzy małżonków porozumienie.

Przekonywują o tem wielorakie okoliczności. Zaraz jedna z pierwszych chwil pojednania obdarzyła Jagiełłę ważnym ze strony małżonki dokumentem. Aż potąd wisiała jego korona polska jedynie na pierścieniu ślubu z Jadwigą. Z jej śmiercią i pierścienia i korona straciły wagę. Wielce przeto pomyślnym dla Jagiełły był każdy akt Jadwigi, którym ona jako właściwa dziedziczka i pani Polski, zapewniała mu tron po sobie. I takiego właśnie aktu pozostał ślad w tej porze. Dnia 3-go grudnia r. 1387 wydała królowa pisemne oświadczenie, jako zaleciła rajcom, ławnikom i całej społeczności miasta Krakowa, aby zaprzysięgli Jagiełłę tę samą, co i Jadwidze, wierność i posłuszeństwo i wrazie śmierci królowej uznali go swoim królem i panem.

Znana wdzięczność Jagiełły nie omieszkała wzajemnić się małżonce zaszczytniejszą odtąd dla obojga ufnością. Przy zaufaniu, przy obopólnej szlachetności umysłu, przy łatwym do rozbudzenia sercu Jagiełły, a młodzieńczości uczucia jego małżonki, nie trudno było parze królewskiej o przywiązanie.

Jakoż przez cały dalszy przeciąg stosunku małżeńskiego jaśniała nieprzerwana nad nim pogoda. „Bez wszelkich już podszeptów zauszniczych — dodaje kronika — bez podejrzeń i udręczeń wzajemnych, żyli oboje królestwo od tej pory w niezamąconej niczem zgodzie małżeńskiej, fortunni miłością i jednością." Szczęśliwemu zaś Tęczyńskiemu, który swoją rycerską obroną królowej przed trybunałem wiślickim naj-

bardziej przyczynił się do tej zgody małżeńskiej, odpłaciła się Wiślica niebawem coraz wyższemi dostojestwami, mianowicie ostatniem ze wszystkich kasztelanstwem krakowskiem.

Mimo czego wszystkiego niepodobna przecież przypuszczać, iżby tak srogie doświadczenia nie pozostawiły posępnego cienia w duszy Jadwigi. Wszystko, co było bliższe jej sercu, straciła; a ci, z którymi związał ją Bóg, poili ją goryczą. Pełna żalu samotność ogarnęła Jadwigę. Takie zaś położenie rozwijało w pobożnej oddawna duszy tem tęskniejszy pociąg ku niebu. Oddała mu się małżonka Jagiełłowa z całą siłą młodzieńczego natchnienia. Oddała mu się tem postuszniej, im głębiej rozbudzały go w niej przeróżne okoliczności czasowe.

Pierwsza w tym względzie pobudką była sama „błogosławiona krew,” która płynęła w żyłach Jadwigi. Miała ona w niebie kilku świętych ze swojej rodziny, mianowicie św. króla Francyi Ludwika IX, zmarłego przed stu laty; tudzież drugiego św. Ludwika, jego bratanka, biskupa tolozańskiego, jeszcze później zgasłego. Ciż święci przodkowie wołali wnukę do siebie, a przykład wielu świętych niewiast społecznych wskazywał ścieżkę. Epoka Jadwigi brzmiała jednocześnie chwałą kilku świętych naśladowczyń Chrystusa, nie obcych najważniejszym sprawom stulecia. Święta Katarzyna Syeńska zajmowała się gorliwie umorzeniem szymy dwóch papieży w Rzymie i Awinionie, syłała w tej mierze upominalne listy do papieży i królów, między innymi do węgierskiego króla Ludwika. Święta Brygida głosiła w kształcie objawień surowe wyroki przeciw Krzyżakom, a jej córka, święta Katarzyna Szwedka, święta pustelnica pruska Dorota, dobrowolnem udręczeniem żywota protestowały przeciwko zbyt kom swoich wesołych współczesniczek.

Sama wreszcie pora sądu w Wiślicy w dwójna-

sób zniewalała do pobożności. Była to właśnie pora trzeciego powszechnego jubileuszu. Obwołany po raz pierwszy przez papieża Bonifacego VIII w r. 1300, miał on z początku odbywać się co lat 100. Już atoli w połowie wieku zapagnęła ludzkość nanowo pociechy lata miłościwego, a papież Klemens VI zarządził, aby jubileusz powtarzał się co lat 50. Gdy nakoniec i to zbyt dalekim zdało się kresem, skrócił papież Urban VI epokę miłościwą do lat 33, a jego następca Bonifacy IX obwieścił nowy jubileusz na rok 1390. Szły zatem jak zwyczajnie tłumnie do progów apostolskich pielgrzymki i ofiary pielgrzymów ze wszystkich krajów.

Wrazie obecnym, oprócz napływu pobożnych gości do Rzymu, sam jeszcze Rzym przybywał we wzajemną gościnę do wszystkich krajów. Uwzględniając bowiem terażniejszą szymę kościelną, pozbawiającą papieży rzymskich posłuszeństwa wielu z antipapieżem awiniońskim związanych ludów, postanowił Bonifacy IX w wynagrodzenie mniejszej ztąd liczby pielgrzymów i jałmużny, rozesać po wszystkich podległych sobie krajach kwestarzy, którzyby wszędzie na miejscu sprzedawali odpust papieski. Przez to tysiące pobożnych, szczególnież ksiąząt, przeszkodzonych w osobistej drodze do Rzymu, mogły za złożeniem kwoty pieniężnej, odpowiedniej kosztem podróży, dostąpić łaski odpustu w domu. Zarazem poleciono pielgrzymki i ofiary do pewnych słynniejszych kościołów w kraju, które za stosowne wywdzięczenie się otrzymały od papieży takąż samą moc odpustową.

„Rozsypał tym sposobem papież Bonifacy IX — dowiadujemy się z ust tamtoczesnego prałata i kronikarza polskiego — tyle z niesłychaną hojnością i rozrzutnością udzielonych różnym świątyniom indulgencji, iż, jak mówiono, nietylko kościoły, lecz nawet stajnie pełne były odpustów.” — „Bo też sam Piotr

św., gdyby żył jeszcze — opiewały kazania jubileuszowe — nie miałyby większej władzy odpuszczając grzechy, jak papież Bonifacy." Przy pożądanej obudwom stronom zamianie grzechów w jałmużnę odpłacało się lato miłościwe nader hojnym plonem pieniężnym. „Nietylko papież — dodaje nasz kanonik krakowski — lecz nawet poborcy papiescy zebrali niezmiernie bogactwa w złocie, srebrze, rumakach i klejnotach." Po kazaniach i ofiarach następowały obrachunki z poborcami jubileuszowymi, z których nie jeden przez dni kilkanaście w domach bankierów włoskich odliczał podskarbin papieskim pieniądze uzbierane.

Te wszystkie podniety zewnętrzne znachodziły zanadto powinowate usposobienie w samej Jadwidze, aby nie miały być wydać razem jednego z najjaśniejszych zjawisk pobożności ówczesnej. Rażąca odmiennosc powszechnego tła obyczajów, na którym świeciły takie pojedyncze postacie światła, tła grubą zmysłowością i rubaszością omroczonego, skupiała tem promienistszy w nich blask. Z czasem ten odmienny grunt obrazu całej epoki spłowił w pamięci ludzkiej, zniknął dla wiedzy powszechnej, a tylko owe wydatniejsze zjawiska pozostały pomnikiem siebie samych i swego czasu. Takim też pomnikowym wzorem bogobojności zaświeciła obecnie narodowi dwudziestoletnia małżonka Jagiełłowa, niedawna uczestniczka wesółych zabaw u Franciszkanów, oblana teraz krwią matki i łzami własnych cierpień.

O ile zaś ulegalibyśmy tylko pewnej złudzie widoku, oceniając ciemny ogół epoki według jej pojedynczych postaci jasnych, o tyleż w niezupełnie prawdziwych rysach przedstawiały się nam pobożność tych postaci, gdybyśmy ją sobie wyobrażali według pojęć i przykładów dzisiejszych. Religijność wieku Jadwigi miała wogóle nieskończenie więcej codziennych, cogodzinnych obowiązków, niż dziś. Nie-

skończenie obojętniejszą o swoją „użyteczność" dla bliźnich i dla świata, czuła się ona niewymownie szczęśliwą w pełnieniu tysiąca drobnych, dziś wcale zapomnianych zwyczajów i przepisów, oddziaływających jedynie na samą duszę pełniącą. Dzisiejsze modły, posty, spowiedzi, stanowiły tylko małą częśćkę dewocji średniowiecznej. Każdy z wyszczególnionych tu aktów odprawiał się nierównie częściej, dłużej, surowiej.

Oprócz mnogich pacierzy zwyczajnych odśpiewywała dama pobożna codzienne swoje godzinki, czytywała lub słuchała czytowane przed sobą pisma duchowne, trawiła wiele chwil w rozmyślanii. Jadwiga kazała w tym celu przełożyć na język polski „księgi starego i nowego zakonu, homilie czterech doktorów kościoła, żywoty Ojców świętych, kazania o świętych pańskich, medytacje i mowy św. Bernarda i Ambrożego, objawienia św. Brygidy, tudzież niektóre inne" — i podobnie jak niedawno jej babka Elżbieta w onym testamentowym brewiarzu, z pilnością następnie rozczytywała się w nich.

Przynajmniej dwakroć w tygodniu bywał zachowywany post o chlebie i o wodzie, przynajmniej cztery razy do roku przyjmowano Sakrament Przenajświętszy, a przez cały adwent i post wielki umartwiała się Jadwiga włosienicą. Codzienne jałmużny ubogim pielgrzymom, codzienne ofiary ołtarzowe, składane przez króla zazwyczaj w złocie, przez królowę zaś w mniejszej kwocie pieniężnej; codzienne posyłki kosztownych darów do różnych świątyń krajowych i zagranicznych — zasługi nader pospolite na ówczas — zaledwie zwracały się na uwagę. Posyłała Jadwiga w ten sposób dziś nadzwyczajnie bogato perłami i drogimi kamieniami ozdobioną kapę i takiż racynał do katedry krakowskiej, nazajutrz równie kosztowny ornat do Częstochowy, dnia innego ko-

sztowne aparaty kościelne do „Krwi Pańskiej” w Wilśniku.

Z pomiędzy innych znamienitszych czynów pobożności Jadwigi w obecnym czasie utrwaliły się szczególnie w pamięci ludzkiej dwa nowozbudowane ołtarze w katedrze na zamku krakowskim, fundacya kolegium psalterzystów przy tejże samej świątyni, wspólne z królem Jagiełłą założenie klasztoru Benedyktynów słowiańskich w Krakowie na Kleparzu, o którym nieco więcej następnie, wreszcie obdarzenie kolegiaty sędomierskiej funduszem ziemskim na utrzymanie prawnej liczby sług kościelnych, starodawnych „świątników.” Niejedno z dalszych dzieł tego rzędu zapomniane na ziemi, snąc już tylko w niebie liczy się Jadwidze.

Zresztą każdy krok życia tamtoczesnego podawał sposobność do praktyki pewnego zwyczaju bogobojnego, utrzymywał w ciągłym ożywieniu duszę pobożną. Z lada powodu ślubowała matrona średniowieczna przez kilkanaście lub kilkadziesiąt piątków nie nosić bielizny pod sukniemi z szorstkiej materji. Przy zasiadaniu do stołu odbywała się przed benedykcyą biblijna ceremonia umywania rąk, często wodą różaną, mająca dać pobożne świadectwo, iż współbiesiadnicy nie kryją żadnej względem siebie winy lub zdrady. Udając się na spoczynek, skrapiano siebie i łożę wodą święconą. Gdziekolwiek pobożna Jadwiga zwróciła oko, wszędzie spotykało ją godło zbawienia. Żegnano się krzyżem świętym w znak zadziwienia, zakreślał go rycerz kopią albo mieczem w powietrzu przed turniejem lub bitwą, wisiał on na każdej piersi ludzkiej, błyszczał u czoła rumaków Jagiełłowych. Nawet na zachowanym po dziś dzień trzewiku Jadwigi dziwnego kształtu, materji karmazynowej, świeci krzyż z lamy złotej.

Gorąca pobożność koiła każdą boleść. I zasnucone serce Jadwigi doznało z czasem ulgi, pocie-

chy. Dochowały się szczęśliwym trafem ułamki zapyisków rachunkowych dworu Jadwigi, przedstawiające niejako kilkunastomiesięczny dyaryusz jej przejazdów po kraju, jej pobytu w różnych stronach królestwa. Gdybyśmy tylko tyle wiedzieli o życiu naszej królowej, ile ten szacowny pomnik nadmienienia o niem, przysłoby wyobrazić je sobie wcale wygodnem, towarzyskiem, nie próżnem wdzięku, swobody i przyjemności.

Oto jeśli sprawy publiczne czem innem nie zaprzątnęły uwagi, odwiedza król i królowa dwoma osobnemi dworami jeden koronny zamek po drugim, gości z kolei w Nowym mieście Korczynie, w Wiślicy, w Sędomierzu, w Stobniey, w Radomiu i t. p. Dwór obojga królestwa roi się okazałym tłumem służby, panów i pań. Za królem, zmierzającym np. ku Mogile, a mającym zjechać się z królową w Nowym Korczynie, krom zwykłej liczby rad koronnych, urzędników i służby dworskiej, ciągną jeszcze nieraz dwa, czasem trzy tysiące jeźdźców zbrojnych. Jakże często bywało spichrzom, piwnicom i oborom starościńskim albo duchownym, ilekroć cała nawałnica dworska spadła w przejeździe na nocleg lub popas do dóbr skarbowych, biskupich albo opackich!

Musiano zaś obficie nadstarczać gościom, jeśli nawet dobrotliwa Jadwiga miewała wielce za złe, skoro przyjęcie nie wypadło dość hojnie. Jednego razu wstąpiła ona do Jaksic, wsi biskupów krakowskich. Stary kanonik krakowski, Sieciech z Chmielnika, do którego to należało, nie postarał się o dostateczne ugoszczenie dworu. Co tak żywo obraziło Jadwigę, że gdy kapituła krakowska po śmierci biskupa Jana Radlicy jednoznacznie obrała następcą tegoż Sieciecha, rozgniewana królowa wstawiła się u papieża Bonifacego, aby nie Sieciech, lecz jej kanclerz, Piotr Wysz, został biskupem. Papież spełnił prośbę Jadwigi, a starowina Sieciech stracił infuły przyplacił nie-

dość skrzętną gościnność. Dlatego dbano pilnie o zadanie uczynienie obowiązku „stacy królewskiej,” i jakkolwiek tłumy najeżdżał dwór, znachodziło się wszystko dla wszystkich.

Dokoła królowej Jadwigi zamiast Jagiellowego ludu zbrojnego dworował tem liczniejszy orszak księży, matron i panien. Na czele dworu męskiego przodkowało zwyczajnie kilku duchownych lub świeckich dostojników koronnych, z liczną drużyną księży, kapelanów, spowiedników, kleryków, pisarzy katedralnych i t. p. Między dworem duchownym i świeckim trzymał środek osobny kanclerz królowej, późniejszy biskup krakowski Wysz, z przydanymi sobie do listów i nadań pisarzami. Właściwej służbie dworskiej przewodził osobny ochmistrz, czyli marszałek dworu królowej, Krystyn Ostrowski, mający na swoje rozkazy liczny orszak dworzan i pokojowców. Podskarbi królowej Sulko lub Nawoj wioził kasę ze skarbem sreber, podkoniuszy Sasin nadzorował osobno masztarnię i wozownię królowej, kuchmistrz rachował się z szafarzami i doglądał zapasów spiżarni i cukierni. Wszyscy ci urzędnicy byli znamienitymi panami, a podkoniuszego Sasina posadzili Krzyżacy przed kilku laty za stołem jednej ze swoich najświetniejszych uczt honorowych i zapisali go w rejestrze uczczonych w ten sposób paladynów, jako „pana Sasina z Mazowsza, *von der Masov.*”

Nie mniej okazałym i liczny był dwór niewieści. Uświetniała go zwyczajnie obecność kilku w gościnie przy królowej bawiących księży postronnych, z Mazowsza, Litwy lub Szlązka. Już to same, już to z mężami swoimi towarzysząc Jadwidze, miały one swój osobny dwór żeński, któremu atoli zaszczyt towarzyszenia królowej polskiej niewielką sprawiał pociechę. Panowała bowiem w innych fraucymerach książęcych daleko większa swoboda obyczajów, niż u dworu naszej królowej, przez co podróżując przez

jakiś czas w jej pobliżu, wypadało nastroić piosnkę bardzo posępną, albo narażić się na cenzurę surowej ochmistrzyni nadwornej. Pełniła ten urząd nad matronami i pannami dworskimi pani Krystyna Biecka, wspominana często w księgach rachunkowych dworu Jadwigi, i niewielkich zapewne trudów doznająca w utrzymaniu panien na wodzy przystojności, jeżeli wszystkie zasługiwały sobie na tak pochwalną wzmiankę Jadwigi, jaka o jednej aż dotąd na posagowym przechowywała się pergaminie. „W nagrodę cnotliwych a nadobnych postępów i obyczajów, któremi Formoza de Wanszwoja, niegdyś panna dworska przy boku naszym, teraz zaś narzeczona Stanisława Gamrata, wzbudzała zawsze upodobanie nasze — mówi królowa w dokumencie z dnia 8-go sierpnia r. 1396 — naznacza się jej darowizną posag w kwocie 150 kóp groszy prazkich, ubezpieczony we wsi królewskiej Trzcieńca, w powiecie bieckim, mającej pozostać tak długo w posiadaniu Formozy lub jej następców, aż póki rzeczona suma nie zostanie im wypłaconą ze skarbu królewskiego.”

Mimo poważnych obyczajów, nie brakło dworowi Jadwigi rzesistej kapeli fletnistów i lutnistów, z którymi szli w zawody grajkowie każdego z książąt i możniejszych panów ówczesnych, a którzy, jak niekiedy pełnili służbę posłów, tak też nie wahali się w razie potrzeby przypasać oręż na wojnę.

Czasem dowiadywała się królowa o blizkiem przybyciu króla i z całym orszakiem swoim wyjeżdżała naprzeciw niemu. Natenczas łączyły się oba dwory, spędzały jakiś czas razem, wstępowały gościnnie do którego z najmożniejszych panów w pobliżu, a w końcu różnemi znowuż drogami wracały do stolicy.

Tam jeszcze gwarniejsze i weselsze pożyacie! Zjeżdża np. na zamek krakowski ulubiona siostra kró-

lewska, mazowiecka księżna Aleksandra Ziemowitowa, i staje w przyrządzonym umyślnie domu obok pałacu królewskiego. Królowa Jadwiga cieszy się jej kilkuletnim synkiem Siemiszkiem, dla którego krawcy dworscy szyją pilnie sukienki, ciżemki sukienne i t. p. Król Jagiełło raz po raz upominkami kosztownymi obdarza siostrę, kupuje dla niej kołczyki, kanaki, siodła, kubki złociste i nie zapomina nawet o jej pannach służebnych, nieco tańszymi udarowanych kolcami.

A księżne i panie litewskie kochały się namiętnie w darach podobnych, we wszelkich przyjemnościach światowych, w szumnej muzyce, w zbytkach strojów. W rok po scenie pojednania w Ostrowiu zjechała do Krakowa W. księżna litewska, Anna Witoldowa. Ta słynęła szeroko z niezmiernie bogatej garderoby, o której zwiedzający Litwę „rycerze i giermkowie” biedni mawiali, że u żadnej zagranicznej królowej albo księżny, ile ich było na świecie, nie widzieli tak wielkich dziwów stroju”. Przy szczęśliwej z podobnego rozgłosu Annie, przy również zamiłowanej w przepychu szat Aleksandrze Ziemowitowej, jakże dziwnie odbijała pobożna skromność i prostota stroju Jadwigi!

Wraz z wymienionymi tu księżniczkami, wraz z ich mężami Witoldem i Ziemowitem, z mnogimi książętami bratniej Litwy i Rusi, nadciągali także z różnych odleglejszych krajów goście na dwór krakowski. Dzień po dniu mijali się tam za dni Jadwigi książęta szląscy, morawscy, pomorscy, multansey i t. d. W pierwszych tygodniach r. 1395 zbliżyła się ku Sądczowi siostra Jadwigi, królowa węgierska Marya. Jej małżonek Zygmunt, mimo wszelkich wrogich Polsce zamysłów, niejednokrotnie przed biesiadą w zamku krakowskim umywał ręce z Jagiełłą.

Tuż w jego ślady wstępowali dzisiaj mnichowie w poselstwie od księcia Burgundyi, jutro heroldo-

wie z zamorskiej Anglii, w innej porze jakiś biskup francuski, powracający z Persyi. Codziennie miewała królowa u siebie w odwiedzinach gości domowych, szlachtę krajową, „wiele zacnych panien i pań”, wytworne mieszczki krakowskie. Nierzadko otaczało Jadwigę tak rojne towarzystwo niewieście, iż nawet biegli w rachmistrzostwie podskarbiowie królowej zapisywali w swoich rejestrach, jak np. we czwartek 5 marca 1394 spędziła królowa większą część dnia z „niezliczoną liczbą panien i pań”.

Odwiedziny takie trwały niekiedy przez cały dzień, łączyły się z obiadem, albo wieczerzą. Wtedy u stołów Jagiełły i Jadwigi zdarzało się dość często, że król i królowa jedli z postem, gościom zaś zastawiono „obficie” z mięsem. Lubo częstokroć same tylko panie bywały na obiedzie, wychodziło przecież na jedną taką ucztę po sto kilkadziesiąt par kurcząt. Do pieczystego służyły najrozmaitsze przysmaki, konfekty, sałaty, młody groszek w pierwszych dniach czerwca, ciasta cukrowane i pozłoczone.

Bardzo dokładne opisy wielu obiadków i kolacyjek średniowiecznych przekonywają, że czasy Jadwigi, jak o tem już wspomniano, ledwie nie więcej od naszych znały się na gastronomii i dbały o nią. Prawie po każdej z książących spółbieszczadniczek krakowskich pozostała pamięć pewnej ulubionej łakości. Jadwiga jadła chętnie „kręcone” ciasta, czyli *torty*, W. księżna Anna lubiła konfitury i powidelka, księżna Miklaszowa Raciborska smakowała najbardziej w miodku. Mniej wymyślne usta przestawały na piwku, plackach, obwarzankach, pierogach z serem, częstych stołu królewskiego specyałach.

Po uczcie i modlitwie dziękczynnej godziło się pójść w taniec. Jak przy obiedzie królowa nieraz pościła, a gościom dostarczano mięsiwa, tak i w powszechnym zwyczaju piasów powodowała się dobrotliwa Jadwiga takąż samą pobażliwością, z jaką jej

również zacna babka Elżbieta tak często pozwalała pisać w swej obecności, nie dzieląc osobiste zabawy. Najpiękniejsza więc z tancerek siadywała w milczeniu na uboczu, a panie i panny dworskie wiodły rej z młodzieńcami.

Tak żywą kolej scen towarzyskości codziennej rozświecała tem żywszym blaskiem jedna i druga uroczystość nadzwyczajna, już to przypadkowo zdarzona, już peryodycznie powracająca. Odbywały się na zamku krakowskim głośne zjazdy książęce, sprawiano chrzciny dzieciom książęcy, obchodzono solennie święta doroczne, nie brakło nawet turniejów. Zastąpił niemi osobiście rok 1398, gdy niespodzianie zjawił się w Krakowie król Zygmunt z licznym dworem węgierskim, żadnymi poprzednio nie zawezwany zaprosinami.

Znaczyło to osobliwszą z jego strony uprzejmość, którą król Jagiełło również wylana odwzajemnił gościnnością. Między innemi rozrywkami nastąpił wtedy wielki turniej rycerski. Gdyby tu mowa była o pożytku któregośkolwiek z zagranicznych dworów ówczesnych, należałoby przypatrzyć się bliżej temu festynowi wojennemu, jako najwspanialszej scenie w obyczajach całego rycerstwa za granicą. Ale w królestwie Jagiełłowem, na dworze krakowskim, w zwyczajach szlachty polskiej, miała ona nader wyjątkowe, prawie żadne znaczenie.

Stosunkowa uboższosc kraju, niesprzyjająca tym kosztownym igrzyskom; rzadkie w ogólności ślady zachodnio-europejskiej szwaleryi w Polsce, dostrzegane tylko w pożytku najmożniejszych panów zamkowych; sumienniejsze wreszcie posłuszeństwo przepisom kościelnym, walczącym oddawna surowemi zakazy przeciw zbytkowym, a wielokrotnie i morderczym zabawom turniejowym, nie dały turniejom upowszechnić się w Polsce. Częstsze u nas później, niż teraz za Jadwigi, znane niektórym panom chyba z podróży po

krajach zagranicznych, nierzadko nawet praktykowane tam przez nich, uchodziły one w Polsce za wymysł cudzoziemczy, wcale niepotrzebny przy ciągłych harcach z Tatarstwem, a do niedawna i z Litwą. Przez całą epokę średniowieczną nie słychać o żadnem tego rodzaju igrzysku prywatnem, na zamku któregoś z możnowładców rycerskich. Nawet u dworu królewskiego odprawowano je tylko na cześć najznamienitszych książąt postronnych, bawionych sposobem zagranicznym.

Taką też zabawą uraczono obecnie króla Zygmunta. Dzieciunie próżny i płochy Luksemburczyk, skłonny w każdej chwili do popisów w roli rycerza błędnego, niezmiernie chełwiwy pochwał dla swej postaci i zręczności rycerskiej, sam występował w szrankach, w złocistej zbroi, w hełmie o fantastycznym ubraniu z piór, na bogato ustrojonym rumaku. Naprzeciw niemu stawał kwiat najpolerowniejszych rycerzy polskich, a każdy pragnął skruszyć z nim kopię. każdy nacierał nań z kolei. Król Zygmunt nie posiadał się z radości. Zapewne u żadnego z dworów zachodnio-europejskich, oswojonych z wszelkim przepychem widowisk i bohaterstw turniejowych, nie wróżyło mu tyle tryumfów i pochwał, co wobec mniej zepsutej w tym względzie publiczności gonitw krakowskich.

Po skończonych igrzyskach czekała gości suta uczta za stołem. Musiała ona zwyczajem Jagiełłowym trwać długo. Gdy panie i młodzież dworska odeszły, rozpoczynała się w towarzystwie mężkiem coraz hućniejsza wesołość. Zdarzało się to zwłaszcza pod obecność tak wesołego krotofilnika, jak np. ów niefortunny pretendent do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, młody biskup Kropidło, bratanek Opoleczyków, pojeżdżany wreszcie z królem Jagiełłą. Jakże serdecznie ubawił się zawsze „Wielki Aleksander Litwy i Rusi”, jak Witoldowi z aluzyą do jego imienia chrzest-

nego pochlebiano, ilekroć facecyonować począł u stołu kędzierzawy *Grapiolla*, zwracając się z conceptami swojemi najchętniej do Witolda, który też zwyczajną hojnością swoją odpłacał mu jego żarty. A jak rubasznych żartów pozwalał sobie duchowny krotofilnik z Opola! Gdybyśmy w jedną ramkę wmieścić chcieli różne wspomnienia, przechowane przez kronikarzy o biesiadowych facecyach dowcipnego biskupa Kuja, urósłby z nich następujący obraz wesołej uczty w zamku krakowskim.

Oto oprócz mnogich gości podrzędnych siedzą przy stole królewskim na pierwszych miejscach: Jagiełło, Witold, Zygmunt, Kropidło. Ten ostatni opowiada właśnie uciészne zdarzenie z czasu zatargów o arcybiskupstwo gnieźnieńskie. „Moje mnichy — rzecze biskup do książąt — waleczniejsze od waszych wojewodów! Aby mnie na rozkaz królewski wyrzucić z arcybiskupstwa, zajechał mazowiecki wojewoda Abraham dobra kościoła gnieźnieńskiego. Był tam starostą moim pewien mnich cysterski z Pelplina, człek zuchwały, jak rzadko. Wojewoda uprowadził mu jednego razu trzode baranów z folwarku. Wkrótce potem zaczął się nań Cysters z gromadą ludzi i po krótkiej walce wziął wojewodę w niewolę. Pojmany, musiał przyrzec na uczciwość rycerską, iż mu zwróci barany. Tymczasem zamiast dotrzymać słowa, zapozwał muicha przed sąd duchowny, iż wbrew habitowi czyni burdy po drogach. „Co mi habit! — zawołał Cysters przed sądem i rzucił kaptur o ziemię. — Tu leży mnich, a tu stoję ja, szlachcie! Oddaj wojewodo barany, albo po szlachecku powiem, żeś skłamał.” — Wojewoda wyszedł ze wstydem, a Cysters odbił niebawem trzode i po wszystkich zamkach sąsiednich obwołał kłamecą Mazura. Czyż mnich nie waleczniejszy od wojewodów!”

„Od polskich, nie od moich — ozwie się król węgierski, i wychylając kubek za kubkiem, pocznie

wychwalać pod niebiosa swoich urzędników, swoje rycerstwo, swoje wyprawy bohaterskie. Chętniwość szwagra Jagiełłowego nie znała granic. Kropidło przysłuchiwał się długo w milczeniu, aż wreszcie, podpiwszy sobie, przerwie coraz rubaszniejszym przechwałkom. „Dość tego, mości królu! Ani ty, ani król jegomość Jagiełło, nie osiągniecie sławy z waszego panowania. Jeden W. książę Witold godzien być królem! Jagiełło i ty, nie warci jesteście berła. Tamten utonął cały w swoim myśliwstwie, a ty, wyrzekłbyś się czei dla podwiki. Alboż nie wiadomo, co cię spotkało w Insbruku, na festynie książęcym, gdzie pewna córka mieszczańska przed wszystkimi gośćmi podniosła skargę na ciebie, a stara księżna insbrucka kazała ci stanąć pannie do oczu?... Gdyby mi dano było siał królów, nie siałbym nigdy Zygmuntów, nigdy Jagiełłów, zawsze Witoldów.”

Gwałtownie zarumieniony Zygmunt bał się odpowiedzieć cokolwiek, aby zuchwały a pijany krotofilnik jeszcze szerzej się nie rozgadał. Dobroduszny Jagiełło nie miał żółci dla gorzkich przymówek w żarcie. Wychwalony zaś Witold tak wielce podobał sobie w pochlebstwie wesołego biskupa, że do wielu darów poprzednich dorzucił mu teraz dożywocie zamku i dóbr mielnickich. Za co bratanek Opolezyków nazajutrz po uczcie wyprawił poufny list do Krzyżaków, swoich tajemnych przyjaciół i łaskodawców, donosząc im o wszystkich mowach i planach, z jakimi Witold albo Jagiełło wynurzył się wczoraj przeciwko zakonowi.

Zwyczajnie jednakże panowała u stołu godów królewskich, jakkolwiek długo trwających, wszelka przystojność i uroczystość. Sam król Jagiełło nie pijał (jak wiemy) żadnych trunków gorących, a lubo lekceważył świecidła stroju, dbał przecież o zachowanie powagi królewskiej zawsze i wszędzie. Pozostało w tej mierze ciekawe o nim podanie, powta-

rzane za dni jego prawnika przez starych ludzi — „którzy też od swych starszych słuchaną rzecz młodszym opowiadali.” Ci zaś młodszy pozostawili to wnukom swoim — „iż czasu jednego z racz z Rakuz książę gościem do króla Władysława było przyjechało. Był mu król rad; bywały krotofile na zamku w Krakowie ucziwe i królewskie. Nakoniec książę młode i nazbyt biesiadne prosiło króla, aby król na dole w mieście pomógł biesiady jemu. A gdy już noc była, prosił, aby z nim szedł na dół, na towarzyską biesiadę, zawiesiwszy na zamku królestwo na kołku. Król tem poruszony, z ruska mu tak odpowiedział: *Kniaże, wid, ja koły pietuch deń i noszcz pojet, wsiechda korol!* Wiedz, książę, czy kur dzień oznajmia, czy noc, jam zawsze król!”

Mniej gwaru a nierównie więcej znaczenia miały inne uroczystości dworskie, jak np. zapisane pod r. 1393 chrzciny „małej xiężniczki”, córeczki jakiegoś nieznanego bliżej książęcia. Cały dzień tego obrzędu spędziła królowa w towarzystwie wielu „książąt, gości, ziemian i mieszczan zaproszonych.” Wszyscy oni byliby o wiele weselsi i szczęśliwsi, gdyby to były chrzciny dziedzica i następcy korony polskiej, dotąd bezdzietnej i bezdziedzicznej. Już siedem lat małżeństwa królewskiego minęło, a żadnem jeszcze potomstwem nie ubezpieczył Pan Bóg przyszłych losów narodu. To jedno nieco posępny cieniem chmurzyło pogodę nad obojgiem królestwa i narodem. Niechby jednakże do tyła niebieskich darów pory obecnej przydał Bóg jeszcze błogosławieństwo potomka upragnionego, a nie byłoby fortunniejszego w owym wieku dworu i narodu nad polski.

W nadziei takiegoż prawdopodobnie rozjaśnienia się kiedyś obaw dzisiejszych, toczyło codzienne życie zamku królewskiego dalszą kolej swoich uroczystości i zabaw, dalszych nowin domowych i postron-

nych, spraw publicznych i obrzędów świątecznych. A gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia, królowa spraszała wielu „prałatów, kanoników, wikaryuszków, z niektórymi pany świeckimi”, i w poważnem kole duchownem obchodziła solennie „gody”, wilię dzisiejszą, wesolą porę kolend i noworocznych darów dworowi. Za nadejściem dni mięsopustnych towarzyskość u dworu ożywiała się dwójnasób tłumną i ochoczą uciechą. W Wielki Tydzień król i królowa w osobnym stroju pokutnym suszyli o chlebie i o wodzie, przyjmowali Ciało i Krew Pańską, rozdawali jałmużny. W Wielki Czwartek król w ustronnej świetlicy dwunastu żebrakom umywał nogi, i darzył ich postawem sukna, półsetkiem płótna i dwunastu groszami. Gdy zaś wielkanocna zajaśniała niedziela, czekało gości sute „święcone” u stołu królewskiego, mianowicie przeszło 1,200 święconych i malowanych jaj.

W takiej kolei różnokształtnych i różnobarwnych chwil życia zdarzyła się też niejedna chwila wcale bezbarwna, pospolita, kapryśna. Natenczas wspaniała wnuka Kazimierza W. miewała przelotnie pozór zwykłej, zmiennej kobiety, która np. tu wydawała rozkaz, aby siodłano konie, ponieważ chce udać się wierzchem za królem — tu kazała smarować kolebki do podróży, ponieważ chce do innego smarować kolebki do podróży, ponieważ chce do innego wyjechać zamku — tu zaś odstępowała obu zamiarów, pozostawała w domu. Owszem, przy właściwej czasom owym gminności, nie przepuszczającej najwytworniejszym umysłom i najwyższym stopniom społecznym, zdarzało się niekiedy, że krawcy dworcy łatali starą odzież królowi, a królowa nie zapominała polecić, aby panu kanclerzowi Zaklice wydano polec „dawnej słoniny.”

Nie odejmowało to przecie wdzięku Jadwidze, a zapewne przydawało jej wiele miłości ludzkiej. Jakoż wszystkiemi przywiedzionemi tu rysami chara-

kteru i życia posiadała ona tyle współczucia i przywiązania u ludzi, ile jeno dać może świat. Powszechna zaś przychylność, powszechna cześć dla jej cnót, ufność w jej rozum, uczyniły ją wszechstronną mistrzynią ludzi i zdarzeń. Wszyscy korzystali się jej wpływowi, poddawali się jej wyrokom, szukali jej opieki.

Większa część pobożnych zwyczajów króla Jagiełły była jedynie owocem nauk Jadwigi. Podobną przewagą moralną działała ona także na królewskiego brata, Skirgiełłę, chrześcijanina greckiego, znanego barbarzyńcę i rubasznika. Pozostałe ułamki rejestrów dworu Jadwigi, stanowiące niejako dyaryusz niektórych jej podróży, przedstawiają go nader często w poufnym towarzystwie z Jadwigą, w rozmowach z nią przy obiedzie, przy wieczerzy, w przejażdżce. Któż wie, o ile do przypisywanych mu później zamysłów przyjęcia obrządku łacińskiego, udania się do Rzymu i t. p., przyczyniły się te poufne pogadanki z bratową polską?

I nie tylko takim wpływem na pojedyncze osoby i charaktery dawała się uczuć krajowi zbawienność życia królowej. Owszem, błogie promienie jej serca i umysłu rozświecały dolę całych warstw społeczeństwa, budziły nowe, nieprzeczuwane dotąd natchnienia w całym narodzie. Szczęśliwym darem niebios było to serce dość silną wsparte wolą, aby w najtrudniejszych okolicznościach wymusić uznanie i posłuszeństwo swoim dobroczynnym wzruszeniom. Przy znanej nam mocy charakteru Jadwigi zechcemyż mniemać, iż owe jej nieśmiertelne słowa o „wróconej biednym ludziom grabieży, ale łzach niewróconych” przebrzmiały bezowocnie wśród pokolenia, aby jedynie na kartach dziejów wieńczyć pamięć Jadwigi? Święte poetom i dziejopisom czasów następnych, stały się one także dla plemienia społecznego źródłem nieprzebranej pociechy, i jakby w dowód ich wpływu

na złagodzenie obyczajów i stosunków ludzkich w tej porze, znalazły dziwnie piękny odgłos w jednym z aktów sprawiedliwości ówczesnej. Maluczki on wprawdzie i bez znaczenia napozór, ale godny zaiste wzbudzić mniemanie, iż nigdy zapewne tak mało w Polsce łez nie płynęło, jak za czasów Jadwigi.

Jest to akt sądownictwa tamtoczesnego w sprawie między szlachcicem a włościaninem. Ułożony z tak pobożną względnością dla strony uboższej, jakby sama Jadwiga zasiadała na sądach, daje on najzaszczytniejsze świadectwo o pomyślnej wówczas doli ludu naszego, bezprzykładną prawie na owe czasy otoczonego opieką. Właśnie w rok po owych słowach żalu Jadwigi nad pokrzywdzonym w pobliżu Gniezna ubóstwem, bawiło się dwoje chłopiat na łące między wsiami Suchą Rabą i Słomirogiem koło Staniątek. Jedno było dzieckiem szlacheckim, „urodzonym” w domu pana Bracicza, dziedzica wsi Suchej Raby, drugie synem kmiecia Klimunta z klasztornej wsi Słomiroga. Wśród zabawy pobili się towarzysze, przyczem syn chłopski wziął górę nad szlachcicem i poszturhał młodego dziedzica sąsiedniej wioski. W każdym innym kraju średnich stuleci byłby szlachetny ojciec panięcia pomścił się znanem prawem pięści na chłopie, i zabiwszy przy łada sposobności Klimunta, miałby chyba głów szczyzną zapłacić do skarbu pana. W Polsce dziedzicowi na Suchej Rabi nie pozostał inny środek odwetu, jak wydać pozew kmieciowi, czyniąc z nim, jako z odpowiedzialnym za małoletniego syna zastępcą.

Wszczęła się tedy sprawa u sądu. Jakby o głowę lub o fortunę chodziło, stawały obie strony raz i drugi na walnych wiecach krakowskich, parli się ojcowie o większą liczbę szlacheckich lub chłopskich sińców na ciele synów. „Nareszcie po wielu różnych rokach sądowych — opiewa umyślnie w tej

sprawie sporządzony dokument sędziów i asesorów z dnia 10 września 1887, stanął przed trybunałem sławetny prokurator klasztoru w Staniątkach z oświadczeniem, iż wszyscy kmiecie klasztoru sądzą się prawem niemieckiem, a ponieważ i rodzinna wieś Klimunta, Słomiróg, jest wsią klasztorną, przeto u sądów magdeburskich należy zapozwać winowającą, o czym z okazanego przekonawszy się przywileju, uznali sędziowie krakowscy niewłaściwość sądów ziemskich w tej sprawie i przed ławę magdeburską odesłali Bracicza z synem.

Nie znamy wprowadzić dalszych aktów tej sprawy, ale już i ten jedyny dokument wystarcza do okazania, jak troskliwa i potężna opieka praw czuwała za dni Jadwigi nad strzechami siół polskich. W tej mierze owe nieśmiertelne słowa Jadwigi o łzach ubóstwa pod Gnieznem w jesieni r. 1386 i ta sprawa sądowa o swawolę dwojga chłopiat pod Staniątkami w jesieni r. 1337, jakby dwa wtórzące sobie zdala głosy tej samej nuty, poświadczają chwałę czasów Jadwigi i błogi jej wpływ na pokolenie ówczesne. A przeniknąwszy je promieniem swojej dobroci i ludzkości, pragnęła Jadwiga przejąć też cały naród swoim światłem, swoim rozumem, swoją obyczajnością.

Nieprzepomnianym tego dowodem są jej starania o wznoszenie większych i liczniejszych, niż dotąd, zakładów naukowych, o rozwinięcie języka ojczystego przekładami ksiąg budujących, o fundację nowego kolegium dla Litwy w Pradze, a wznowienie podupadłej akademii w Krakowie. Twórczyni materialnej potęgi kraju, pojęła ona zupełną jej niedostateczność bez odpowiedniej miary potęgi umysłowej, i jak o tem następnie dokładniej nadmienimy, rozwarła narodowi drogę do skarbów wiedzy. Cała wielkość tej zasługi moralnej objawiła się dopiero po zejściu małżonki Jagiełłowej, lecz to nie przyniosło

uszczerbku jej czci i rozstawie za życia. Już poprzednie zasługi Jadwigi były dość wielkie i dość uznane, aby ją powszechnem otoczył uwielbieniem. Dawne i nowe ujęły jej na zawsze terazniejszość i przyszłość.

Mało też który z żyjących kiedykolwiek monarchów był w tej mierze szczęśliwszym od Jadwigi. Od najniższego ubóstwa do najwyższych szczytów społeczeństwa ludzkiego, od pogrążonej w nędzy rodziny kmieci, której ona osłodziła gorycz żywota, aż do głowy Kościoła katolickiego, któremu Jadwiga tak wielkimi zasłużyła się ofiarami, ubiegano się okazać jej cześć i miłość. Ubogi mularz przy budowie klasztoru karmelickiego na Piasku, wydzwigniony przez królową z niedoli, wykonał ślad jej stopy w kamieniu, i wmurowawszy go w ścianę kościoła, co dnia z wdzięcznością całował „stopkę Jadwigi” — a papież, Bonifacy IX, nadsyłał Jadwidze listy pochlebne, dające jej wcale niezwykajne dowody przychylności i poufnego porozumienia.

„Zdarza się nieraz, jak wiemy — opiewa list papieski z d. 29 grudnia r. p. 1392 — iż gwoli usilnym naleganiom pewnych osób, którym godność królewska nie pozwala dać odpowiedzi odmownej, wstawiasz się Wasza królewska miłość do nas o promocję przeciw swoim własnym życzeniom, ile że wolałabyś komu innemu przychylić łaskę naszą. O czym nie wiedząc, postępujemy sobie nieraz inaczej, niżbyś Wasza król. miłość pragnęła. Przeto chcemy mieć pewien szczegółaj od ciebie znak, do którego byśmy się w takim razie zastosowali. Ilekroć zechcesz naprawdę, abyśmy komuś wyrządzili łaskę specjalną, tedy oznajmy to poufnie pod onym znakiem, a spełnimy twoje żądanie, jak do tego skłonni jesteśmy z całego serca.”

W trzy lata później otrzymała królowa również pamiętny dowód życzliwości Jagiełły i narodu. Dnia

25 stycznia 1396 ogłoszony został dokument, zapewniający jej na wypadek śmierci króla Jagiełły dożywotne posiadanie Kujaw i Rusi Czerwonej, tytułem „wiana.” Drugie z tegoż samego dnia i roku nadanie królewskie przydawało temu roczny dochód 2,000 grzywien, zabezpieczonych darem królewskim na żupach bocheńskich i wielickich. Było to dla Jadwigi hołdem słusznej wdzięczności; dla narodu zaś nawet ta słuszna wdzięczność nie obeszła się bez wzajemnego pożytku. Zapisując bowiem królowej odzyskaną od Węgier Ruś Czerwoną i odebrane Opolczykowi Kujawy, głoszone przezeń darowizną węgierską, ubezpieczano tem samem obiedwie te prowincje od przyszłych nagabywań węgierskich, ile że stając się osobistą posiadłością Jadwigi, w każdym razie dziedziczy i spadkobierczyni węgierskiego króla Ludwika, pozostały one nadal w ręku węgiersko królewskiej rodziny andegaweńskiej, poniekąd w ręku węgierskiem.

A przecież mimo wszelkie oznaki czci, mimo coraz jaśniejszą nad krakowskim zamkiem pogodę, czuła się Jadwiga nieszczęśliwą. Przy wszelkich cnotach ciążył na niej wyrok potępienia i sromu w oczach świata. Małżonka Jagiełłowa była ciągle bezdzietną. Dwunastoletnie już stało małżeńskie żadnem potomstwem nie pobłogosławiło jeszcze pary królewskiej. Bezpłodność poczytywano w czasach powieści naszej za szczególny dowód gniewu Bożego, za karę pewnej tajnej przewiny. Ztąd, jak niegdyś w starym zakonie, tak i wobec wyobraźni średniowiecznej każda małżonka bezpotomna uchodziła za jawnie potępioną grzesznicę, bywała przedmiotem wzgardy, często krwawych prześladowań ze strony męża.

Takim też losem ujrzała się zagrożoną Jadwiga. Sama religia nie odrazu ulgę tu przynosiła. Ilekroć zwyczajem babki swojej, Elżbiety, usiadła mło-

da królowa wieczorem rozczytywać się w księgach starego lub nowego zakonu, nasuwały się jej raz po raz groźne słowa Pisma św.: „poniosą obie grzech swój, krom dziełek pomrą (Mojż. III. 20. 20)... zamknął Pan żywot jej, frasowała jej ta, która jej zarzała, i barzo ją nędziła, zamiatając jej tem oczy, że Pan zamknął żywot jej... a ona płakała a nie jadła... i była gorzkiej myśli, modliła się do Pana, płacząc obficie (Król. I. 1. 5)...” Przy każdym z takich ustępów przypominała sobie Jadwiga „hańbę swej własnej bezdzietności”, i była podobnie gorzkiej myśli, i podobnie modliła się do Pana, płacząc obficie.

Chyba to jedno mogło przynieść ulgę niejaką. Toż całą duszą zanurzyła się nieszczęśliwa w tym ostatnim źródle pociechy. Im więcej dni mijało jej niepłodności, tem gorętsza stawała się jej pobożność. Dopiero w tej porze najgłębszego upokorzenia, w tej porze zwątpienia o sobie samej, udręczania się gorzkim pytaniem: za jaką też winę zesłał Pan Bóg tę karę sromotną na nią?—osiągnęły duchowne ćwiczenia Jadwigi ów stopień ascetyzmu pokutniczego, który w końcu blaskiem świętości zaświecić miał oczom społecznym.

I jakby dla zerwania ostatnich węzłów między jej sercem a ziemią, zabrało jej niebo ostatnią duszę pokrewną, starszą siostrę, królową Maryę. Umarła ona w maju r. 1395, zaledwie 25 lat domierzywszy. Młodsza rokiem Jadwiga znalazła się w kwiecie wieku osieroconą ze wszystkich pociech świata. Po stracie ojca, matki, siostry, oblubieńca i towarzysza dzieciennych lat, nie pozostał jej nikt, z kimby ją łączył urok miłych wspomnień domowych. Wśród przyjaznego, tłumnego dworu, coraz zupełniejsza samotność ogarnęła serce zbolale, „za jedno wygnanie miała sobie nieszczęśliwa to życie.” Nie potrzebowała Jadwiga obyczajem tamtoczesnym pustelnic za-

murowywać się w celi samotnej; sam Bóg skazał ją na żałobę, na bezwinną pokutę, na samotność po wszystkie czasy.

Jakoż w pośród zgiełku życia dworskiego przybrała młoda królowa obyczaje skruszonej pokutnicy, zmieniające w znacznej mierze dawniejszy obraz jej osoby i charakteru. Dawna uczestniczka tanecznych uczt franciszkańskich — złożyła szaty godowe, przywdziała odzież ubogą. Najślawniejsza niegdyś piękność swojego czasu — chodziła teraz z twarzą zakrytą, osłonioną kwefem zakonnym. Często przedtem spółtowarzyszka biesiad gościennych — jadła teraz przez długie dnie i miesiące sama jedna w swojej komnacie, według obyczaju żałobnic tamtoczesnych na ziemi lub na ławeczce niskiej przy łożu...

Nawet dawna żywość wzruszeń zewnętrznych innym w tej mierze ustąpiła uczuciom. Ona — co przed laty nie wahała się porwać berdysz, aby rozbici furtę swego dziewiczego więzienia, teraz najświątobliwszej cierpliwości była przykładem. Ona, co dawniej z gniewu za złe przyjęcie we wsi biskupiej, zdołała odsadzić od infuły sędziwego elekta kapituły krakowskiej, teraz „nie umiała się gniewać.” Ona, co w r. 1387 tak nagłym pochodem wiodła wojska na Ruś, teraz wzdrygała się wszelkiej myśli o wojnie, o bezbożnym przelewie krwi. Temu to bogobojnemu wstrętowi winni byli Krzyżacy tem pewniejszy za jej życia pokój z Koroną. Ta świątobliwa potulność wzmogła się z czasem do tego stopnia, że nawet wojna z pogaństwem stała się wstrętną Jadwidze. Gdy waleczny Witold ogłosił wielką wyprawę przeciw Ordzie tatarskiej, a liczne rycerstwo polskie śpieszyło pod jego sztandar krzyżowy, łękliwa teraz Jadwiga w znacznej części odwiodła je od krucyaty.

Tylko owa anielska litość dla cierpień ludzkich,

u której każda łza ludzka ważyła więcej, niż całkowita naprawa szkody, która samą łą taką płakała, dla której cały naród od lat najpierwszych tak tkliwie rozmiłował się w swojej królowej — tylko ta litość nie zmieniła się w zmianie losów. Cierpiący, ubodzy, uciśnieni, pozostali jej ostatnimi przyjaciółmi. O nich jedynie myśląc, tylko w towarzystwie cnotliwych kapłanów spokojniejsza, żyła Jadwiga teraz samym bogobojnym ćwiczeniem, i pokorna, zakapturzona, obyczajem świętych milcząca, kłękiwała po całych dniach przed swoim krucyfiksem na zamku, w modlitwie lub rozmyślaniu pobożnem. Ten sam opat żegański, który przed kilkunastu laty zapisał o Jadwidze w swojej kronice, że jeszcze niezamężna włada zawichrzonym królestwem polskim, dopisuje obecnie: „Teraźniejsza królowa polska, pełna dobrych uczynków, Bogu, nie światu służy, pokorę czyni, nie wie zgoła co pycha, mistrzów i innych uczonych a pobożnych ludzi przywoływa z dalekich do siebie stron, pracując niepoślednio nad zbawieniem własnem i drugih.”

W bezpośrednim pobliżu Jadwigi panowało jeszcze wyższe wyobrażenie o zasługach jej pobożności. Zaczęto coraz powszechniej podziwiać w niej duszę wybraną, którą niebo po drodze cierpień i prób, wiedzie do łaski szczególniejszej, tylko przyszłym Świętym Pańskim dostępnej. Oznajmiały to różne znaki cudowne, po części już teraz, po części dopiero później dostrzeżone i zrozumiane. Gdy Krzyżacy na zjeździe w Inowrocławiu odślonili całą srogość swojej nienawiści ku Polsce, pobożna królowa zagroziła im ciężką wojną po swojej śmierci, a niedaleka przyszłość przekonała o prawdziwie wieszczym duchu tych słów. Gdy Witold uzbrajał się do owej wielkiej wyprawy przeciwko Ordzie, Jadwiga zapowiedziała mu klęskę, co podobnie okazało się wnet proroctwem. Gdy królowa jednego razu modliła się przed krucyfiksem

na zamku, usłyszano, jak wizerunek Chrystusów przemówił do niej.

I zdarzył się wreszcie wypadek, który pozwolił mniemać, że już tu na ziemi miała paść nagroda cnotom i pokutnictwu Jadwigi. Po czternastu latach związku z Jagiełłą, w roku 1398, nadszedł szczęśliwy dzień, w którym mogła napisać królowi nieobecnemu: „Zdjął Pan Bóg ze mnie hańbę bezpotomności”. Małżonka Jagiełłowa doczekała się nadziei macierzyństwa.

Niezmierna radość ogarnęła cały naród, całą rodzinę królewską. Nastąpiły wielkie przygotowania ku uczczeniu przyszłego dziedzica korony polskiej. Uszczęśliwiony Jagiełło rozesał po wielu królach i książętach zaprosiny na świetny chrzest w Krakowie. Do papieża udał się w tym celu scholastyk krakowski i elekt poznański, Wojciech Jastrzębiec, prosząc go w imieniu królewskiem o trzymanie do chrztu dziecięcia. Bonifacy IX odpowiedział listem łaskawym, przyjmującym zaprosiny królewskie i mianującym posła królewskiego Wojciecha swoim zastępcą przy ceremonii chrzestnej. Owszem, w dowód osobiwszych względów dla króla i królowej, polecił Ojciec św., aby nowonarodzone dziecko, oprócz właściwego miana chrzestnego, otrzymało jeszcze imię papieżkie Bonifacy lub Bonifacya.

Podobnie uprzejmie przyjęli także inni książęta zaprosiny krakowskie. Wielki książę litewski Witold i jego strojna małżonka Anna wybierali się osobiście na porę złogów królowej do Krakowa. Dla nowonarodzonego przybyła od nich w darze arcykosztowna kołyska, cała ze srebra ulana. Na wiele dni przed spodziewanem rozwiązaniem upominał nieobecny król Władysław Jadwigę, aby nie omieszkła przyozdobić wcześniej łożnicy, ustroić ją w bogate kobierce, zastony i opięcia, przetkane złotem, drogiemi kamieniami i perłami. Jadwiga odpowiedziała. „Okazałości światowej już dawno się odrzekłam. Pora macierzyństwa

bywa częstokroć porą śmierci. Nie złota więc i klejnotów blaskiem znikomym, lecz cichą a ubogą pokorą powinnam przyjąć łaskę, którą Bóg mnie nawiedza”.

Wzmianka Jadwigi o śmiertelnem niebezpieczeństwie tej pory była nowem proroctwem. Tak gorąco od wszystkich oczekiwany płód przyszedł przedwcześnie na świat. Dnia 22 czerwca w niedzielę powiła królowa córkę, którą biskup krakowski Piotr ochrzcił natychmiast w katedrze zamkowej, dając jej imię Elżbieta Bonifacya. Już atoli w kilka tygodni, w sam dzień św. Małgorzaty, czyli dnia 13 lipca, umarło niedonoszone niemowlę.

Mało co więcej dni pozostało i matce. Choroba Jadwigi, poprzedniami cierpieniami znacznie już wycieńczonej, wzięła zatrważający obrót. Radość narodu zamieniła się trwogę. Wszczęły się publiczne nabożeństwa na intencję wyzdrowienia królowej. „Modliliśmy się — mówi w kilka tygodni później jeden z najprzychylniejszych zakonowi krakowskiemu kapłanów — wylewaliśmy łzy, czyniliśmy procesye, składaliśmy wota — wszystko bez dzięki”.

Czwartego dnia po śmierci niemowlęcia, 17 lipca, r. 1399, w piątek z południa „o trzynastej godzinie”, przestała żyć Jadwiga. Samotna po koniec życia, jeszcze w ostatnich chwilach dotknięta stratą córki, nie miała konająca nawet króla Władysława przy swoim boku. Tylko panowie krakowscy, dla których szczęścia upłynął cały jej żywot, jak niegdyś zażdrośnie strzegli ukoronowanej dziewicy, tak i nad jej ostatniem czuwali technieniem.

Dla nich też, dla kraju, dla światła i niedoli, uderzyły ostatnie tętna jej serca. Gasnąc spokojnie w Bogu, uczyniła Jadwiga świątobliwy testament, jedyny w swoim rodzaju równie, jak cały żywot gasnącej. Polecało to ostatnie rozporządzenie, aby wszystkie klejnoty, szaty, wszystkie gotowe pieniądze

skarbu królowej, słowem cały ruchomy przybór jej dworu, użyty został na wsparcie biednych i odnowienie akademii krakowskiej. Egzekutorami testamentu mianowała Jadwiga swoich najwierniejszych przyjaciół: biskupa krakowskiego Piotra Wysza i owego Jaska z Tęczyna, który na sejmie sieradzkim i przed sądem wiślickim stawał tak żywo w jej obronie, najwyższego teraz dostojnika korony, bo „pana krakowskiego”.

Przywołany listem Jagiełło, przybył na gotowy już pogrzeb. Odprawiono go według ówczesnego zwyczaju po jakimś dopiero czasie, w blisko cztery tygodnie po śmierci, dnia 15 sierpnia. Nie było wtedy końca płaczom i narzekaniu. Duchowny piastunek Jadwigi, Stanisław ze Skarbimierza, jej kosztem niedawno promowany w Pradze, a obecnie mistrz sztuk wyzwolonych w Krakowie, pełen osobliwszej miłości i czci dla zgastej, miał kazanie żałobne. Proste, serdeczne, rozumne, zachowało się ono po dziś dzień pierwszym wymowy polskiej pomnikiem.

Złożono zwłoki w kościele katedralnym na zamku, po lewej stronie ołtarza wielkiego, ku zakrystyi. Po usłudze ostatniej wszyscy rozjechali się w smutku. Żałosny Jagiełło oddalił się na czas przydłuższy na Ruś. U grobowca Jadwigi, jak u grobu jej dziada Kazimierza, pozostali tylko nieszczęśliwi, ubodzy. Płynęło ich coraz więcej ku stopom zmarłej, błagając, jak i dawniej, o pomoc. A nieśmiertelna kościelka łez ludzkich i z za grobu niosła pociechę. Ktokolwiek we frasunku, czy w niemocy przyszedł szukać ulgi u trumny błogiej, wracał pokrzepiony na ciele i na duchu. Z każdym dniem wzmagala się zorza cudowności, otaczająca spoczynek wysłuchanej pokutnicy w koronie.

Jeszcze szerszym i trwalszym blaskiem zajaśniała narodowi jej puszczona testamentowa, — wskrzeszona przez nią akademii krakowska. Niezwłoczne atoli

urzeczywistnienie tegoż ostatniego z życzeń nieboszczki było nazbyt ważnym dla całego kraju wypadkiem, abyśmy je tu pobieżną minęli wzmianką. Zosobna więc, w połączeniu z innemi powinowatemi wypadkami pobliskiej pory, przypatrzmy się temu nad grobem Jadwigi wznoszącemu się światłu.

XXI. ŚWIATŁO.

Wiek XIV pod względem oświaty za granicą i w Polsce. — Podupadnięcie szkół po Tatarach. — Akademia Kazimierza W. — Potrzeba wspólnych kolegiów. — Podupadnięcie szkoły krakowskiej. — Rzadka uprawa nauk i literatury w kraju. — Częstsze przykłady uczonych Polaków za granicą. — Nowo wszędzie rozbudzony popęd do nauk. — Mnożenie zakładanych jednocześnie akademii. — Także zapal do nauk w Polsce. — Zwłaszcza w klasie możniejszej. — Nawet w płci żeńskiej. — Uczoność familli andegawenskiej. — Zasługi Jadwigi około oświaty narodowej. — Założenie klasztoru Benedyktynów słowiańskich. — Znaczenie tej fundacyi. — Kolegium teologiczne dla Litwy i Polski w Pradze. — Starania o nauki teologiczne w szkole Kazimierza W. — Zapis Jadwigi. — Odnowienie akademii krakowskiej. — Właściwie tylko fundacya kolegium Jagiellońskiego. — Inauguracya. — Kto wistocie założył akademię? — Zmiana czasów między Kazimierzem a Jagiełłą. — Szkoła Jagiellońska głównie szkołą techniczną teologiczną. — Samorodne krzewienie się nauki. — Błogi wpływ światła. — Przeszkoda coraz groźniejszych niebezpieczeństw od strony wschodniej. — Druga szkoła narodu. — Ukraina i Podole.

Mówiliśmy już o różnych życia tamtoczesnego zajęciach; widzieliśmy sceny obrad publicznych i uciesch dworskich, nabożeństwa i wojny, kupiectwa i gospodarstwa; staraliśmy się poznać zwyczaje mieszkańców

miast i siół, zamków, dworów i zagród — a nie było jeszcze wspomnienia o tem, co zwyczajnie poczytywane bywa za miarę światła w narodzie — o uczonych i uczoności. Pod tym względem gdyby oświata zamykać się miała w samej książce i szkole, godziłoby się ubolewać nad królestwem Jadwigi. Rzadziej bowiem niż mury i marmury w drewnianej Polsce Kazimierza W., świeciły w niej za Kazimierza i Jadwigi pomniki i przybytki nauki. Tem ci liczniej i jaśniej świecą oczom naszym przyczyny, które tłomaczą i uniewinniają tę próżnię.

Wiek XIV, wiek najmętniejszej zamieszki żywiołów średniowiecznych, wiek srogich wszędzie wojen, szymy kościelnej, rozruchów miejskich, okropnych pokilkakrotnie morów, powszechnej nakoniec swawoli i rozpusty, był wogółności czasem podupadnięcia oświaty naukowej, znacznie niższej wtedy, niż w wieku przeszłym. W Polsce do podobnych przyczyn ogólnych przybywały jeszcze szczególne, ściśle miejscowe. Kiedy inne narody zachodniej Europy, o tyle wieków wcześniej ochrzczone, miały o tyle wieków dłuższą do naukowego ukształcenia się porę, Polska liczyła dopiero trzy wieki chrześcijaństwa, trzy wieki powolnie rozkrzewiającej się z niem nauki, a jeszcze i z tych trzech wieków — jeden Tatarstwo całkowicie zmazało.

Na sto kilkadziesiąt lat przed Jadwigą, w latach 1241, 1260 i 1289, przeciągnęła przez Polskę straszna burza tatarska, przeciągnęła trzema ognistemi słupami, trzema płomiennemi szlakami spustoszenia, które sięgnęły aż po Kraków, wyludniły kraj cały, uprowadziły naraz, jak np. r. 1289, po 21.000 samych dziewcząt, obróciły wszystko, miasta, klasztory, siola, w perzynę. Jeśli w dwóch chrześcijańskich wiekach przed Tatarami zaczęły przy każdej katedrze biskupiej nastawać tak zwane szkoły katedralne, czyli wyższe, przy wielu parafiach parafialne, po klasztorach

szkoły klasztorne i biblioteki, tedy w wieku zagonów tatarskich upadły wszystkie szkoły kościelne, spłonęły księgozbiory, zabrakło wszelkich środków nauki, tak trudnych podówczas do zgromadzenia.

Po Tatarach potrzeba było pomyśleć pierwiej o zaludnieniu siół, odbudowaniu miast, a szkoły i biblioteki musiały czekać starań późniejszych. Tylko bezpieczniejsza od Tatarów część Wielkopolski zachowała nieco oświaty szkolnej, lecz znane nam polityczne podupadnięcie, a moralne zniechęcenie tej części kraju nie sprzyjało wzrostowi życia umysłowego. Omroczyło się zatem wszędzie grubą nocą to życie, a gdy wreszcie przyszła pora nowej o niem pamięci, gdy zwłaszcza za Kazimierza W. wraz z innemi porządkami także i szkoły przy odbudowanych dźwignęły się kościołach, nie było dostatecznej rękąmi bezpieczeństwa na przyszłość.

Pracowała przecież niezmordowanie ręka nieśmiertelnego króla dla dobra kraju, i wniosła mu nawet przybytek najwyższych nauk w stolicy. Sześć lat przed śmiercią, w dzień błogiej dla nauk wróżby, bo w uroczystość zstąpienia Ducha św. na apostołów, wydał Kazimierz roku 1364-go dokument założenia akademii w Krakowie, mającej swemi kiedyś gmachami, swoją kiedyś mnogością nauczycieli i uczniów, zaludnić puste podówczas miasto, dzisiejsze przedmieście Kazimierz. Tegoż samego dnia obowiązali się mieszczenie kazimierscy osobnym dokumentem do czuwania nad całością wszelkich swobód i praw, udzielonych akademii przez króla, a wprowadzających ją w styczność z mieszczaństwem i sądownictwem miejscowem.

W kilka miesięcy później, d. 1-go września r. 1364, potwierdził szkołę kazimierzowską papież Urban V, jako najwyższy zwierzchnik wszystkich zakładów duchownych, a tem samem konieczny upoważniiciel wszystkich akademij średniego wieku, instytutów całkowicie

duchownych pod owe czasy. Stosownie do zwyczajnej przy takich nowych fundacyach i konfirmacyach praktyki, powtarzającej się np. w rok później przy zatwierdzeniu głównej szkoły wiedeńskiej, w trzy lata później przy konfirmacyi akademii pięciukościelskiej w Węgrzech, wykluczył papież z akademii krakowskiej nauki teologiczne, któremi ona dopiero później uzupełnić się miała.

Przystając tedy na zwyczajnych początkach, otrzymał uniwersytet krakowski sześciu nauczycieli, t. j. 3 profesorów prawa, 2 filozofii, 1 sztuk wyzwolonych. Podobnie jak cała społeczność uczniów, szerokimi obdarzeni swobodami, mianowicie zwyczajnie wówczas sądownictwem własnem niższego rzędu, żyli księża-profesorowie z dochodów żup wielkich i zgodnie z trybem każdej nowej podówczas szkoły, wykładali nauki we własnych mieszkaniach, zapewnionych im przez króla i mieszczan po pewnych stałych, raz na zawsze wytkniętych cenach.

Mimo luki nauk teologicznych, miała szkoła kazimierzowa znaczenie istotnej akademii, tylko jeszcze młodej, nieukończzonej, której wraz z wydziałem teologicznym nie dostawało jeszcze niektórych innych umiejętności, mianowicie medycznych, wogóle tego wszystkiego, w co każda na świecie akademie dopiero z czasem wzbogaca się i wzrasta. Bardziej jednakże, niż teologii i medycyny potrzebował uniwersytet krakowski zrazu pewnego budynku, czyli kolegium, w którymby bądź to wszyscy nauczyciele z uczniami, bądź przynajmniej część onych, mieli wspólne mieszkanie, wspólne miejsce odczytów i popisów akademicznych.

Dopóki taki zakład nie istniał, podlegała cała egzystencya akademii tysiącznym niedogodnościom, narażającym ją nieraz na zupełną zagładę, podającym ją osobliwie w zgubne dla niej niebezpieczeństwo niemoralności, ile że odosobnione audytorya i mieszkania

profesorów i tłumnie nagromadzonej młodzieży wiodły wówczas do niesłychanych scen rozpusty i zgorzenia. Z tej przyczyny musiano gdzieś, jak np. w Wiedniu i w Pradze, zakazywać wyraźnie, aby panowie akademiści nie mieszkali nigdy z osobna, a zakładanie chroniących od podobnej niemoralności kolegiów uchodziło za rzecz tak ważną, że dopiero ufundowaniem takich zakładów poczytywano całe dzieło fundacyi dokonaniem, dopiero od ufundowania takich kolegiów liczono niekiedy datę istniejących od dawna akademij.

Którymi to względami powodowany, postanowił Kazimierz W. uzupełnić swoją akademię zbudowaniem podobnegoż zakładu i obrawszy ku temu przestrone przedmieście Kazimierskie, rozpoczął już budowę. Bliska atoli śmierć przerwała dzieło królewskie, a zamieszki nowych po Kazimierzu rządów, niedbałość króla Ludwika o wewnętrzny stan Polski, coraz gwałtowniejsze zaburzenia w czasie małoletności Jadwigi nietylko zawiesiły wykonanie projektu Kazimierzowego, lecz owszem, podały w wątpliwość cały byt jego szkoły.

Przy nader szczupłej liczbie nauczycieli i uczniów, przy tak opieszalych nadzorach akademii, jakim np. według dokumentu fundacyi był z urzędu swego płochy biskup krakowski, Zawisza, przy częstych wtedy po Małopolsce zagonach Litwy, Węgrów, Mazowszan, nie mogła akademie krakowska ani zakwitnąć, ani rozgłosić się licznemi świadectwami swego kwitnienia. Wlokła ona wprawdzie swój nędzny żywot o niewielu profesorach i uczniach; pozostały niewątpliwe świadectwa jej promocyj do r. 1373 i nieco później; wychodziły w r. 1397 rozporządzenia papieskie, uzupełniające jej skład, ale na oświatę kraju nie wywarła szkoła krakowska znakomitszego w tak krótkim czasie wpływu.

Trwał więc dawny mrok umysłowy, nie rozjaśniony żadnymi imionami sławnymi, żadnymi zabytkami literatury. Oprócz kilku luźnych zapisków kalendarzowych, kilku urywków rocznikarskich, nie sięgających ponad poziom elementarnej nauki czytania i pisanie z łacińska, nie znamy dziś w Małopolsce przez cały w. XIV ani jednego pisarza imiennego. Owszem, na całą Polskę tegoż stulecia tylko jeden Wielkopolańczyk z rodu Nałęczów, były podkanclerzy kazimierzowski, Janko z Czarnkowa, znany w literaturze historycznej pod nazwą Archidyakona gnieźnieńskiego, śmiertelny nieprzyjaciel „starszej królowej polskiej” Elżbiety, uczuł w sobie natchnienie do obszerniejszej pracy pisarskiej, uczuł je prawie tylko dlatego, aby w jaskrawym obrazie bezrządu po Kazimierzu W. zabezpieczyć przed światem swoich nieprzyjaciół: Elżbietę, Zawiszę, Mikołaja.

Zresztą razi wszędzie jaskrawa nieumiejętność i niepiśmienność, odbijająca smutno od jakiejś takiej uprawy nauk w krajach sąsiednich, zwłaszcza w szczególnie pod tym względem Czechach za Karola IV, a równa tylko podobnejże ciemnocie ówczesnych Węgier. Wszelka uczoneść zawierała się w stanie duchownym, a i w tym stanie zdarzało się tu i owdzie za dni Jadwigi, nawet w najoświecieńszych stronach Europy, nawet obok głośniejszej już sławy uczonej Danta, Petrarki i Boccaccia, trudne do uwierzenia nieuctwo. Jeśli jeszcze w r. 1429 sobór duchowieństwa francuskiego w Paryżu zalecać musiał, aby tylko takim duchownym poruczano obowiązki kościelne, „którzy epistoły i ewangelie płynnie czytać potrafią;” jeśli w r. 1335 kanonicy zurychscy w liście do swego biskupa w Konstancjum przeproszać muszą, że niektórzy znakiem krzyża św. podpisują, „ponieważ nie wszyscy pisać umiemy;” jeśli nawet ów przychylny Jadwidze papież Bonifacy IX, według pobłażliwej wzmianki owego czasu, „umiał zapewne czytać, ale pisać nie

umiał” — czegoż to nie można było obawiać się po uczonej i ubogiej Polsce?

Gdy zaś w której z lepszych głów polskich obudziła się żądza wiedzy, ambicja naukowa; gdy chęć wyższej oświaty szkolnej zaprowadziła takiego ochotnika uczoneści do postronnych Niemiec, Francji lub Włoch, wtedy w braku znakomitszych związków rodzinnych, któreby nadziejami świetnej promocji powoływały wędrowcę polskiego napowrót do kraju, pozostawał on nieraz na zawsze za granicą, przyjaźniejsze tam dla swoich naukowych zamiłowań znachodząc pole, niż w spustoszonej ojczyźnie. Ztąd wobec zupełnego braku uczonych w Polsce XIV stulecia, uderza nas widok kilku Polaków, kilku wychowanków stolicy nadwiślańskiej, znanych podówczas z nauki i płodów piśmiennych za granicą.

We Wrocławiu pozostał z tego czasu po nieznanym w stronach ojczyistych kanoniku krakowskim, Janie Widwinie, osobliwszy satyryczno-moralny poemat pod napisem *Antigameratus*. Ułożył go autor po łacinie w ten sposób, iż każde dwa następujące po sobie wiersze kilkuzgłoskowe kończą się dwoma temiż samymi słowami, różnego przecież znaczenia — co wprowadzi, według dopisku poety, przynosi trojaką czytelnikowi korzyść, bo najprzód buduje go moralnymi zbawieniami, potem wdraża mu w pamięć różnicę dwuznaczników, potrzebie uczy iloczemu zgłoszek, lecz, powtarzając się przez wiele tysięcy wierszy, nabawia w końcu istnego zawrotu głowy.

Nieco później chodził do szkół w Krakowie pewien młody góral ze Spiża, imieniem Marcin, który, wyszedłszy następnie po wyższe nauki za granicę, podróżował po różnych stronach Niemiec i Włoch, wstąpił z czasem do klasztoru Benedyktynów, został opatem w Wiedniu i napisał pamiętnik swojego życia i czasu, przystrojony w formę rozmowy między starcem a młodzieńcem, pełny wspomnień młodości

i Krakowa. W czasie między kanonikiem Widwimem a tym opatem wiedeńskim profesorował z chwałą po zagranicznych akademiach w Pradze, Paryżu i Hajdelbergu, Krakowianin Mateusz, liczony w Czechach do najwcześniejszych zwolenników reformy duchowieństwa, słynny niebawem równie świetną karierą, jak przed stukilkudziesięciu laty głośny za granicą areybiskup Marcin Polak, gdyż zaszczycony z kolei biskupstwem wormackiem, kanclerstwem państwa rzymskiego, w końcu nawet godnością kardynałską.

Ale chcąc dobić się fortuny za granicą, potrzeba było przezwyciężyć tysiączne trudności i przeszkody, którym nie każdy śmiało stawić czoło. Sama podróż do cudzych krajów, jak to już papież Urban V w potwierdzeniu akademii Kazimierzowskiej oznajmił, narażała na „różne niebezpieczeństwa żywota i zbawienia, dla których wielu ze szlachty polskiej, pielgrzymując gwoźni naukom po zagranicy, popadało w zasadzki nieprzyjaciół, długą ponosiło niewolę, nawet nędzną ginęło śmiercią.” A jeszcze i tych niebezpieczeństw należało dokupywać się wielkim kosztem pieniędzy, jakiego wymagał przydłuższy pobyt w szkołach postronnych, zamkniętych z tej przyczyny uboższym. Nie każdy bowiem doznał tak cudownej pomocy niebios, jak jeden z ówczesnych biskupów płockich, który, będąc plebanem ubożuchnej parochii, spragnionym nauki, a pozbawionym środków, znalazł pewnego razu na ołtarzu kościółka znaczną sumę zwykłej wtedy jałmużny ołtarzowej, udał się za nią w podróż, wyuczył się za granicą, został biskupem.

Bez tak cudownie ułatwionych studiów na obczyźnie, bez środków nauki w kraju, bez towarzystwa ludzi uczonych, bez wszelkich prawie ksiąg, marniały najniepośledniejsze zdolności. Mimo wszechstronnych starań Kazimierza W., mimo fundacyi akademii i za-

czętej budowy gmachów akademicznych, leżała oświata naukowa dawnym ugiem, a najznamienitsze stanu uczonego umysły stały chyba na tle uczoneści, iż jak ów biskup poznański Łódzia, składali pobożne lub wesołe piosenki łacińskie do muzyki. Czasem wynikały ztąd nierównie gorsze następstwa, i działo się niejednokrotnie, iż najzdolniejsze głowy, jak ów chwਾਲony z talentów następca Łodzi Mikołaj, nie widząc wokoło siebie pobudek do pracy umysłowej, a gorącą miotane krwią, chwytali się zajęć i rozrywek światowych, brnęły w najrubaszniejszą rozpustę. Gdy zaś takiemu duchownemu dostojnikowi przyszło okazać za granicą uszanowanie kraju swego dla nauk i dla ludzi uczonych, tedy dobywał on trzosa, spraszał całą akademię paryżką do swego stołu i „sprawiał jej ucztę solenną na cześć korony polskiej.”

Wszakże im większe trudności broniły ludziom zerwania owocu wiedzy, tem pożądliviej spoglądali wszyscy ku niemu. Po chwilowem przyćmieniu wschodzącej zorzy nauk obudził się u wszystkich narodów XIV stulecia nowy zapal szukania światła, szerzenia światła. Ogarnął on wszystkie kraje, ogarnął rządy i ludy, władzę duchowną i władzę świecką. Monarchowie współzawodniczyli z sobą zakładaniem uczonych szkół, zbieraniem rękopisów, budowaniem kolegiów; ludy dostarczały tysięcy uczniów szkołom, liczącym wówczas, jak np. akademie w Paryżu, Oxfordzie, Pradze, po 5,000, po 10,000, owszem, po 30,000 studentów i profesorów.

Nie zapomnieć przytem nieśmiertelnych zasług samegoż duchowieństwa, samejże władzy apostolskiej. Pochodnia wszelkiego światła w początkowej nocy średnich stuleci, nie trwożyła się stolica rzymska jego coraz szerszym rozświetem, lecz pod sterem mądrych papieży przodkowała, owszem, powszedniemu dążeniu do oświaty. Prześladowano usterki w wierze, ale nie znamy papieża, któryby, jako najwyższy

zwierzchnik wszelkiej podówczas uczoności, odmówił zatwierdzenia jakimkolwiek z przedłożonych sobie projektów szkoły głównej, a niektórzy z nich, jak np. Urban V, utrzymywali po tysiąc uczniów ubogich kosztem swoim w różnych krajach i szkołach, inni zaś sami wielu nowym umiejętnościom, jak np. Klemens V nauce języków orientalnych, pierwsze otwierali przybytki.

A wespół z entuzjazmem rzetelnym przyczyniały się do rozpowszechnienia świata także mniej szlachetne pobudki, pracowała nad tem próżność światowa, niekiedy nawet prosta chęć zysków. Stało się istną modą u książąt zakładać akademie, popisywać się w Rzymie prośbami o konfirmacye uniwersytetów, które, lubo natychmiast potwierdzone przez papieżów, często nigdy wcale nie weszły w życie. Takim sposobem chwalono w Rzymie królowi Ludwikowi założenie nieznanej w Węgrzech po koniec XIV wieku akademii w Pięciukościołach, królowi Zygmuntovi fundacyę równie późnej wszechnicy w Budzie, Krzyżakom erekcyę nieistniejącego nigdy uniwersytetu w Chełmie, zatwierdzonych przez stolicę papieską w latach 1367, 1388, 1387.

Inni zaś książęta, widząc jak wielkimi korzyściami przynależnej miastom ludności i intraty publicznej odpłacają się wszędzie nowowzniesione akademie, widząc, jak np. ubogie przedtem miasteczka Oxford, Piza i inne, od czasu nastania szkół w niezwykajne wzrosły bogactwa, musieli razem z założycielem uniwersytetu wiedeńskiego upewniać w dokumentach fundacyi, że nie z chciwością zysków, ani dla przynależenia sobie pieniędzy fundują szkołę, a o dochody z podatków i opłat od studentów, magistrów, doktorów, bakałarzów, tudzież ich sług i bedelów, wcale nie dbają, przez co też czynią chętnie ofiary z tych dochodów, mając niepiętne przekonanie, iż co tym sposobem ubędzie skarbowi książęce-

mu, to z drugiej strony wynagrodzi się książęciu i miastu pożytkiem duchowym, owszem, wynagrodzi się jeszcze wielokrotnie innemi pożytkami materialnemi."

Które to wszystkie pobudki napełniły wiek XIV nowemi akademiami, zapewniają mu w tej mierze pierwszeństwo przed każdą inną epoką w dziejach oświaty. Kiedy wszystkie kraje i stulecia średniej historii przestawały potąd na kilku, najwięcej 12 akademiach, mianowicie na trzech głównych w Bolonii, Paryżu i Oxfordzie—w wieku XIV podwaja się naraz ta liczba, wzrastają przeszło 24 uniwersytety, nastają tuż po sobie r. 1348 wszechnica w Pradze, r. 1354 w Huesca, 1357 w Syenie, 1361 w Pawii, 1364 w Angers, tegoż roku w Krakowie, 1365 w Wiedniu, 1387 w Heidelbergu, 1388 w Kolonii, 1391 w Ferrarze, 1392 w Erfurcie i t. d.

Pomiędzy innemi narodami Europy nie ustępowali żadnemu w łaknieniu wiedzy Słowianie. Osobliwie Czesi zadziwiali namiętną uprawą nauk. Literatura czeska XIV wieku prześcignęła naraz wszystkie słowiańskie, wiele europejskich. Niedawna akademja praska, przez długi czas jedyna akademja na całe Niemcy, wrzała mrówim rojem czeskich magistrów i studentów. Panował tak skrzętny ruch naukowy w całym narodzie, iż w poufnych listach owego czasu, nie chcąc otwarcie wymieniać nazwiska kraju, zamiast „Czechy,” mawiano „szkoła,” zamiast „Czesi” „studenci.” Ta gorąca żądza uczenia się rzuciła nawet pierwszą iskrę tego pożaru, który niebawem pochłonął akademję i naród.

Powszechną bowiem praktyką owej epoki została szkoła praska dokumentem fundacyi podzielona na cztery różne narody, a ponieważ jej założyciel, niemiecki i czeski król Karol IV, założył ją równie dla Niemców, jak i dla Czechów, przeto ze względu na niezmierną większość ludności całych Niemiec nad

czeską, pozwolono Niemcom stanowić w Pradze dwa, owszem, trzy osobne narody akademickie, t. j. bawarski, saski i szląski, Czechów zaś ograniczono u jednego. Tymczasem mniej ciekawi podówczas Niemcy przybyli w niespodziewanie szczuplejszej garście; ogół młodzieży wszystkich trzech narodów niemieckich, lubo razem do pięciu, a według przesadnych podań do trzydziestu tysięcy uczniów liczący, okazał się o wiele mniejszym od liczby uczniów jednego narodu czeskiego; a że według statutu każdy z narodów miał osobny w obradach akademickich głos, musieli kilkakrotnie liczniejsi Czesi o jednym głosie ulegać mniej licznyemu Niemcom o trzech. Wynikłe ztąd pod naczelnictwem Husa i Hieronima zatargi między Niemcami a Czechami doprowadziły niebawem do zupełnego rozbitcia akademii, do okropnych wojen husyckich, do ostatecznej zagłady kraju.

Nim te smutne wypadki nastąpiły, uczęszczało do głównej szkoły praskiej, w całym przeciągu między założeniem a odnowieniem akademii w Krakowie, bardzo wielu Polaków. Przeszło stu znamy z akademickich ksiąg po imieniu; razem z Polakami szląskimi mogło ich być do tysiąca. Nie wynika z tego bynajmniej, iżby w zmiankowanym przeciągu czasu między 1368 a 1400 nie miała istnieć akademii krakowska, lubo nie zupełna, bo bez nauk teologicznych, i mniej sławna od praskiej, gdyż gwoździ szkołom sławniejszym pomijano nie rzadko szkoły własnej ojczyzny, ztąd i sami owi najzarliwsi obrońcy narodowości czeskiej, Jan Hus i jego towarzysz Hieronim, mając sławną już akademię we własnej Pradze, pobierali nauki w sławniejszym jeszcze Oxfordzie, w dalekiej Anglii. Zresztą i po zasłynięciu odnowionej już akademii krakowskiej uczęszczali Polacy w znacznej liczbie do uniwersytetów zagranicznych, do Pragi, Wiednia i Lipska, stanowiąc tam osobne nawet narody lub oddziały w narodach. Zaczem nie o mnie-

manem nieistnieniu już podówczas akademii Kazimierzowskiej, lecz o równym jak w Czechach popędzie Polaków do nauki, wnosić ztąd można.

Skutkiem tego powszechnego popędu do nabywania wiedzy, który zarazem był popędem do zaszczytów światowych, garnęli się młodzi owego czasu Polacy, skoro tylko fortuna dopisała, do którejkolwiek akademii, czy szkoły, do Bolonii, Paryża, Pragi, Wiednia, Wrocławia, nawet do krzyżackiego Torunia. Garnęli się na wyścigi z mniej zdolnymi lub mniej możnymi, radzi byli osiąść wszystko światło dla siebie samych, posuwali się często do pozazdrośczenia go innym, co niejednym rysem sprzeczności nacechowało epokę teraźniejszą. I tak np. w królach, jako też w dzieciach królewskich nie ceniono bynajmniej uczoności, obawiając się, aby wyższość rozumu nie uczyniła króla przytupiałym do powodowania się życzeniem i zdaniem pospolitem, a dzieciom królewskim nie dała zbytnej przewagi nad mniej ukształconą dziaćwą szlachecką. Nawet w wychowaniu kobiet—jak o tem pewien starożytny magister krakowski, a przyjaciel edukacji niewieściej wyraża się poufnie, „ustawili i pilno tego strzegli mężowie, aby białe głowy pisma się nie uczyły i ksiąg żadnych, co się tyczy biegłości a wyćwiczenia rozumu nie czytały, a to jedynie dlatego, iż oni chociaż insze wymówki mają, wszakoż więcej to czynią z niejakej z zdrości.” Lecz dla siebie samej łaknęła szlachta z niewymownym zapałem wiedzy, i niezsuta jeszcze długiem piastowaniem przewagi w społeczeństwie, dopiero wysileniem wszechstronnej pracy dążąca do niej, starała się, jak na polu bitwy, jak w zgromadzeniu sejmowym, tak i na ławach szkolnych odzyskać prym w narodzie.

Wówczas lada ubogi chodaczek, mając wiele dzieci, a mało chleba, naśladował pana brata z Lubnicy, Dersława, herbu Jastrzębiec, i wybrawszy naj-

dowcipniejszego z synów, prowadził go piechotą do pierwszej lepszej szkółki przy farze wiejskiej, mówiąc doń z panem Derstawem: „Oddaję cię nie w żaki, ale w biskupy; pamiętaj, abyś pod infułą nie zapomniał ubóstwa twoich rodziców i zbudował na tem miejscu kościół z gliny palonej” — a syn ubogiego szlachcica na zagrodzie, młody Wojciech Jastrzębiec, ten sam, który niedawno jako elekt kapituły poznańskiej jeździł do Rzymu prosić papieża Bonifacego IX w kumy do nowonarodzonej córki Jadwigi, zasiadł później wistocie na stolicy biskupiej, owszem, na arcybiskupstwie gnieźnieńskim.

Dzięki szlacheckiemu podówczas uszanowaniu dla nauk, wydarzało się, że kiedy klasy uboższe w najrubaszniejszem pogrążone były nieuciwie, kiedy ustronniejsi plebani zaledwie czytać umieli, świeccy przeciwnie magnaci celowali nieraz nauką; a gdy król Kazimierz W. w roku 1368 kazał ułożyć statut żupniczy dla Wieliczki, dokonali tego wraz z późniejszym biskupem Zawiszą i arcybiskupem Bodzantą, najmłodniejsi panowie i „rycerze bronni”: Jaśko z Melsztyna kasztelan krakowski, Dymitr z Goraja skarbnik koronny, Świętosław podskarbi; spisał zaś statuta własną ręką „pan Dymitr, notaryusz i podskarbi ówczesny”.

Jak jeszcze długo później, tak mianowicie za dni Jadwigi, ceniono sobie fortunę głównie jako środek do nabycia niedostępnego ubóstwu nauki i wyższości moralnej. Nie inną też bronią, nie przemocą fizyczną, nie dumą i junactwem późniejszym, dobiła się szlachta XIV wieku swojej jedynowładzy w narodzie. Zuchwałością żołnierską, lekceważeniem książki i szkoły, utracono tę władzę — zyskano ją terazniejszym pojęciem wszechzbawienności świata, terazniejszym popędem naukowym...

Wzbudzała, owszem, ta chciwość wiedzy takie w ówczesnej Polsce zjawiska, jakich nie widzimy

gdzieindziej. Pragnienie nauki nietylko mężką zapalało ambicję, lecz niepokoiło nawet płęć białą. Mało co po odnowieniu głównej szkoły Kazimierzowskiej przysłuchiwał się w niej odczytom akademickim pewien młody kandydat bakałarstwa, który jednego razu okazał się — dziewczyną. Przywdzianie stroju męskiego przez niewiastę uchodziło za srogą zbrodnię, która temiż właśnie czasami zgubiła na stosie płomienną sławną Dziewicę Orleańską. Naszą dziewczynę krakowską zaprowadzono natychmiast przed trybunał duchowny, gdzie przedewszystkiem spotkało ją zapytanie: dlaczego mężki przywdziała strój? „Z miłości do nauk” — odpowiedziała winowajczyni, a przesłuchiwanu z kolei świadkowie, jej spółuczniowie, nie mogli nic zdrożnego powiedzieć o niej. Złagodnieli więc sędziowie duchowni i na jej własne żądanie oddali ją do klasztoru. Tam ona została nauczycielką mniszek, a nawet ksienią i — „zapewne żyje jeszcze dotychczas — kończy ów niegdyś w Krakowie wychowujący się góral ze Spiża, później wiedeński opat Marcin — gdyż miałem niedawno wiadomość o niej”.

A jak ta ciekawa nauki Krakowianka, tak i koronowana spółtowarzyszka jej płci, nasza królowa Jadwiga, podzielała w zupełności powszechną wówczas żądzę kształcenia się, cześć dla oświaty. Jedną z najdawniejszych książek o wychowaniu domowem, jaką znają języki nowoczesne, owa wzmiankowana dawniej nauka pewnego francuskiego ojca dla córek, praca czasów króla Ludwika, oznajmia czytelnikowi u wstępu, iż jest tylko naśladowaniem innej książki podobnej, którą niedawno jedna z żyjących monarchiń kazała napisać dla swoich córek. Owóż mniemają uczeni współrodacy króla Ludwika, iż dla nikogo innego, jak tylko dla naszej Jadwigi i jej siostry, Maryi, ułożony został wspomniany model książki edukacyjnej.

W takim razie ujrzelibyśmy Jadwigę przedmio-

tem nader starannego, naukowego wychowania, które mogło zaliczyć ją do najuczeńszych kobiet owego czasu. Wszakże i bez tego są dostateczne ślady jej wczesnego wdrożenia w nauki poważniejsze, wpojenia jej szacunku dla uczoności. Cała rodzina andegawieńska słynęła z poloru i oświaty. Pradziada Roberta neapolitańskiego mienią listy papieskie najmědrszym z monarchów tamtoczesnych, babka Elżbieta czytywała codziennie na brewiarzu, ojciec Ludwik zakładał akademię i był chwalony z mądrości. Rodzona siostra, Marya, ceniła sobie wysoce uczonych i poetów, sama Jadwiga nie pragnęła niczego tak gorąco, jak chwały Bożej, a ówczesna chwała Boża — to sama przez się chwała świata, uprawa nauk.

Nie było bowiem poważniejszej modlitwy nad modlitwę na książce, wyższego zbudowania umysłu nad rozczytywanie się w pismach duchownych, większych zasług względem religii nad powiększanie liczby sług Bożych — wynikię zaś ztąd rozkazy układania książek do nabożeństwa w zrozumiałej dla wszystkich mowie, przekłady ksiąg duchownych na język gminny, fundacye kollegiów teologicznych, głównych podówczas zakładów naukowych — to wszystko samo przez się uprawiało język ojczysty, wzbogacało literaturę narodową, rozprzestrzeniało oświatę szkolną, wszechstronne szerzyło światło.

Do czego zaś i powszechna dążność epoki, i wychowanie pierwotne, i głośno odzywające się potrzeby kraju usposabiały Jadwigę, temu ona czynami całego życia odpowiedziała według sił swoich. Do różnych pomniejszych ofiar i fundacyj duchownych, do niezrównanej w dziejach zasługi pozyskania całej Litwy oświacie chrześcijańskiej, do wspomnionych dawniej starań o przełożenie całej kolekcji pism duchownych na język polski, których pozostałe po dziś dzień szczątki należą do najpierwszych zabytków mowy i literatury ojczystej — przybyły fundacye trzech wiel-

kich zakładów naukowych, trzech wielkich ognisk światła, miłości i pojednania, dla trzech wielkich działów szerokiego teraz państwa polskiego, dla Rusi, Litwy i Polski.

Niebawem po przywróceniu ziem Czerwonoruskich Koronie, dnia 28 lipca 1390 roku, ułożony został dokument zaprowadzenia w Polsce zakonu Benedyktynów słowiańskich. Był to ostatni szczątek starodawnego obrządku słowiańsko-katolickiego, w którym wszystkie prawie narody zachodniej Słowiańszczyzny przyjęły były w dziewiątym wieku wiarę Chrystusa, a który w dwa wieki później musiał u tych wszystkich narodów ustąpić obrządkowi rzymskiemu. Jednoznaczny z obrządkiem rzymskim co do uznania władzy papieskiej i powszechności Kościoła łacińskiego, zlewał on na plemiona słowiańskie to rzadkie błogosławieństwo, „tylko trzem zresztą narodom i językom, t. j. greczyźnie, łacinie i hebrajszczyźnie udzielone, iż w swoim własnym narzeczu mogły odprawiać wszystkie sprawy kościelne, wszelkie nabożeństwo dzienne i nocne, nawet tajemnicę Mszy świętej.”

Po obaleniu obrządku słowiańskiego przechowały się tylko w niektórych ustronniejszych kończynach zachodniej Europy, mianowicie w Dalmacyi, Bośni i Serbii, nader szczupłe po nim okruchy, w szczególności resztki zakonu Benedyktynów słowiańskich, łączących w sobie regułę św. Bazylego z regułą św. Benedykta. Otóż, gdy w połowie XIV wieku ozwały się w chrześcijaństwie, zachodniem coraz głośniejsze nadzieje unii Kościoła orientального z okcydentalnym, gdy gwoli temu życzeniu zachodniemu zwolniła na zachodzie dawna surowość względem obrządku słowiańskiego, zdali się ci utajeni nad Sawą i Driną Benedyktyni słowiańscy nader pomyślnem narzędziem do szerzenia unii pomiędzy Słowianami chrześcijaństwa wschodniego.

Chwycił się tej myśli osobiwie ojciec terazniej-

szego króla Węgier, Zygmunta, król czeski i cesarz rzymski Karol IV, gorliwy popieracz spojenia obudwóch cerkwi. Zawiazawszy w tym celu wielce przyjazne stosunki z królem serbskim Duszaniem, bliskim opowania przed Turkami całego cesarstwa byzantyńskiego, przywołał cesarz, za pozwoleniem papieża Klemensa VI, licznych z Bośni, Dalmacyi i Kroacyi Benedyktynów słowiańskich i osadził ich od roku 1347 w bogato uposażonym klasztorze Emaus w Pradze. Ale zaena myśl Karola Luksemburczyka nie znalazła naśladowców ani w Ludwiku królu węgierskim, ani w księciu Władysławie Opolskim, władcach mnogiej ludności grecko-słowiańskiej pod koroną węgierską i w ziemiach czerwonoruskich, nawracanej przez nich w surowym duchu cywilizatorstwa europejskiego, bez względu na obyczaj i przywiązanie krajowców środkami przemocy i edyktów.

Za to przemówił pomysł Karolów tem silniej do wyrozumiałej a litościwej duszy Jadwigi, przemówił do również pobłażliwego Jagielly. Zwłaszcza że bo Jadwidze przypominali się Benedyktyni słowiańscy nie jednym zapewne wrażeniem lat dziecińczych! Matka Jadwigi, Elżbieta, urodzona Bośniaczka, przeciwna Ludwikowemu cywilizatorstwu i współczuci dla teutonizmu, miała w mowie, w zwyczaju i wyobrażeniach wiele wspólnego z tymi czerncami bośniackimi. Jakoby też macierzyńskiem powodowana wspomnieniem, przylgnęła Jadwiga gorąco do projektu misyi Benedyktynów słowiańskich w Rusi Czerwonej, a duchowne i nieduchowne głosy dzisiejsze uznają mądrość tego pomysłu.

Uprojektowawszy zaś fundacyę słowiańską w stolicy polskiej, postanowili oboje królestwo nadać jej, ile możliwości, wielkie rozmiary i znaczenie. Zamierzono zbudować na przedmieściu Klepariskiem, w pobliżu rzeki Rudawy, obszerny kościół i klasztor pod wezwaniem św. Krzyża, z trzydziestu zakonnikami

i odpowiednią liczbą służby kościelnej, z bogatym uposażeniem, ze środkami wysyłania z siebie dalszych osad klasztornych.

W rychłym wykonaniu projektu przywołano na początek kilku Benedyktynów z Pragi i zajęto się budową gmachów potrzebnych. Wzniósł się najprzód drewniany dom z ogrodem dla zakonników, zaopatrzonych tymczasowo intratą 20 grzywien z cła krakowskiego. Następnie cała przestrzeń fundacyi obwieńczona została murem i zaczęły wzrastać ściany kościoła. Przednia część świątyni, chór i zakrystya stanęły wkrótce pod dachem; reszcie kościoła kopano fundamenta. Nie czekając zupełnego ukończenia budowy, rozpoczęło się nabożeństwo w świeżym chórze kościelnym. Już „za dnia białego i zmroku, podczas jutrzni, mszy św i nieszpórów, brzmiała nowa świątynia — opowiada kronika — nieustanną chwałą Bożą w ubłogosławionej mowie słowiańskiej”.

Tymczasem pracowała Jadwiga nad drugim dziełem pobożności i światła, nad zakładem naukowym dla Litwy. „Wiele nocy bezsennych strawiłam, rozmyślając — mówi ona sama w wynikłym ztąd dokumencie — jakby rozsiać promienie wiadomości i cnoty w plemieniu nowo ochrzczone, jakby światłem uczynków katolickich oświecić wyżyny narodu litewskiego, użyźnić winnicę Pańską, a wypleć kłakol”. Chodziło głównie o przysposobienie Litwie gorliwych, a obeznanych z ludem i miejscowością, duchownych. Potrzebne było ku temu założenie kolegium duchownego, w któremby uboga młodzież litewska miała naukę i utrzymanie. Niemożność wykształcania jej w akademii krakowskiej, pozbawionej nauk teologicznych, zniewalała do szukania innego uniwersytetu. Nasuwała się wprawdzie myśl uzupełnienia szkoły krakowskiej uproszonym od papieża wydziałem teologicznym, lecz uzupełnienie takowe, wymagające starań w Rzymie, nowej dotacyi akademii, sprowadzenia

teologów ze szkół zagranicznych, kosztowało wiele czasu, a Litwa żądała spiesznej pomocy.

Umyśliła tedy Jadwiga założyć kolegium podobne przy sławnej już szkole praskiej. Przyjazny Polsce monarcha czeski, Wacław, bliskimi stosunkami przyjaźni związany wtedy z dworem krakowskim, wydał 20 lipca r. 1397 zupełne w tej mierze zezwolenie. Jego własny kanclerz nadworny, Jan Szczekna zakonu cysterskiego, później nadworny kapelan królowej Jadwigi, tudzież dwaj obywatele stolicy czeskiej, bogaty kupiec Krzyż i mieszczanin Niepro, podjęli się urzeczywistnienia fundacyi. Złeczone im przez Jadwigę pełnomocnictwo z dnia 10 grudnia r. 1397 dostarczało funduszu dwóchset szerokich groszy praskich, z którychby zakupiony został dom ua kolegium i utrzymywało się w niem dwunastu ubogich młodzieńców litewskich, tudzież innych, poświęcających się nauce teologii w uniwersytecie, nadzorowanych przez osobnego mistrza sztuk wyzwolonych, pod przełożnictwem proboszcza miejscowego.

Po kilku latach przyszła fundacya pod wymienionymi warunkami do skutku. Około roku 1411 kupili czescy pełnomocnicy Jadwigi w starej Pradze dom murowany, nazywający się niegdyś Jeruzalem, odtąd zaś „domem, czyli kolegium królowej”, a mieszczący niebawem 12 alumnów, czyli tak zwanych „wychowanków królowej”, pod zwierzchnictwem kapłana przy pobliskim kościele betleemskim. Stało się to jednakże dopiero po śmierci fundatorki, która nawet tyle pociechy nie miała w życiu, iżby patrzyła na owoce światłych prac swoich. Monasterowi słowiańskiemu brakowało za jej życia większej połowy murów, kosztów i trudów, a o kolegium praskie trwały jeszcze układy.

Ta powolność epoki, tylko w niektórych wypadkach ustępująca pośpiechowi niecierpliwemu, nakazywała zając się tem wcześniej trzeciem dziełem zasu-

gi około światła, zasługą podniesienia nauki w samej Polsce, odnowieniem akademii krakowskiej. Już równocześnie z zachodami około seminarium praskiego zgłosili się oboje królestwo w Rzymie z prośbą o uzupełnienie uniwersytetu wydziałem teologicznym. Opiewał list królewski (jak o tem z papieskiej dowiadujemy się odpowiedzi), iż w Krakowie zdawien dawna „była i jest akademія”, a lubo może brakowało jej wszelkich warunków bytu, nie mamy prawa zadawać fałszu słowom Jadwigi i Jagiełły.

Uwierzył im też papież, Bonifacy IX, i pod dniem 11 stycznia roku 1398 odpowiedział królestwu bullą, przychylającą się do ich życzeń. „Gdy według doniesienia przyrzeczonych króla i królowej, Władysława i Jadwigi — czytamy w piśmie papieskiem—była i jest w Krakowie z zarządzenia stolicy apostolskiej szkoła główna do nauk prawnych, tudzież do wszelkich innych dozwolonych umiejętności, z wyjątkiem teologii, przeto zgodnie z przedłożoną nam prośbą stanowimy i zarządzamy, aby odtąd na wieczne czasy była tam i być mogła również do nauk teologicznych takąż szkoła powszechna.”

Wszakże uzyskane tak pozwolenie Ojca św. nie kładło końca sprawie. Nastąpiła teraz potrzeba wyposażenia uzupełnionej akademii funduszem na utrzymanie profesorów teologicznych, t. j. dwakroć tylu profesorów, co dawniej — potrzeba sprowadzenia ich z za granicy. Pozostawało osobliwie postarać się o ów gmach wspólnego mieszkania nauczycieli, wspólnych odczytów i obrzędów akademicznych, bez którego nie mogła obejść się i zakwitnąć żadna wszechnica, któremu Kazimierz W. rzucił już fundamenta, o którym jednakże zapomniano po jego śmierci.

Potrójna chwała wyjednania konsensu papieskiego, nowej dotacji akademii i obmyślenia gmachu kolegiального dorównywała zapewne chwale pierwszego założenia uniwersytetu, lecz nie gasiła jej całkowicie. Jeśli wielkość rozpoczętego dzieła, długoletnich wymagająca trudów, nie dozwoliła Kazimierzowi W. dokonać ostatecznej fundacji, to i główna promotorka zamierzonego teraz wznowienia akademii, Jadwiga, nie doczekała się podobnie końca dzieła swojemu. Mimo konfirmację papieską, nie wchodziła akademia w życie z braku pieniędzy i profesorów, szukanych nie bez trudności po szkołach zagranicznych.

Dopiero zdarzona tymczasem śmierć królowej Jadwigi przyspieszyła spełnienie rzeczy. Ostatnie bowiem rozporządzenie jej woli przeznaczyło większą część pozostałych po niej klejnotów na koszty odnowienia szkoły krakowskiej. Ze sprzedaży jej bogactw „szat, ubiorów, pereł, sreber i wszystkich, jakie tylko miała, aparatów królewskich”, wpłynęła znaczna suma, która w trzech różnych porach przyniosła najwালنیsze wsparcie nowemu zakładowi. Miał on zawierać odtąd dwa główne wydziały nauk, t. j. wydział teologiczny i prawny, do których doliczały się dwa podrzędniejsze: dawny wydział filozoficzny i nieorganizowany jeszcze medyczny.

Owoż obadwa fakultety węgielne, i teologia i prawo, dźwignęły się prawie wyłącznie pośmiertnem dobrodziejstwem Jadwigi. Z najpierwszej jego raty pieniężnej kupiono w mieście Krakowie, przy ulicy św. Anny, czyli wówczas „żydowskiej”, od mieszczanina Gersdorfa kamienicę obszerną, należącą niegdyś Stefanowi Pęcherzowi, a teraz na kolegium dla wydziału teologicznego i kilku artystów przeznaczoną. Druga rata przysporzyła temuż kolegium roczną intratę z nowego szybu solnego w Bochni, którą w r. 1405 egzekutor testamentu królowej, „pan

krakowski”, Jaśko z Tęczyna, zakupił od Mikołaja Bochnera, żupnika, za 700 grzywien groszy szero-kich. Za trzecią ratę nabyto w tymże samym czasie od kanonika krakowskiego, Jana z Rzeszowa, drugą „wielką” kamienicę w ulicy grodzkiej, należącą niegdyś wojewodzie kaliskiemu, Sędziwojowi z Szubina, a teraz w drugie zamienioną kolegium, w kolegium wydziału prawniczego.

W chwili opowiadanego tu odnowienia szkoły krakowskiej zwracała się wszelka uwaga ku nowym, uzupełniającym ją naukom teologicznym. Mając już papieski dla nich konsens, mając przeznaczoną na kolegium kamienicę Pęcherza, chodziło jeszcze o fundusz na utrzymanie profesorów w temże mieszkaniu kolegiackiem, tudzież o sprowadzenie samych nauczycieli. Pierwszemu zaradził jako tako król Władysław Jagiełło, przeznaczając profesorom teologicznym pensję stu grzywien z dochodów cła krakowskiego. Drudzy, nauczyciele, przybyli najliczniej z wszechkierów praskiej, która np. między innymi dostarczyła szkole krakowskiej uczonego Hieronima z Pragi, i Jana przydomkiem Szczekna, niegdyś kancelarza cesarskiego, później kapelana Jadwigi, w końcu profesora teologii w Krakowie. Liczbę przybyszów nauczycielskich powiększyło kilku profesorów dawniejszych, pomiędzy którymi świecił osobliwie były profesor prawa w szkole Kazimierzowskiej, a terazniejszy biskup krakowski, Piotr Wysz, nawet i nadal nie gardzący wyjątkowo obowiązkiem nauczycielskim.

Skoro zaś stało się zadość wszystkim potrzebom, wypadło jedynie uroczystym obrzędem uświęcić nową fundację. Nastąpiło to w drugiej połowie lipca roku 1400-go, w samą rocznicę żałobnych obrzędów po Jadwidze. Dnia 22 lipca, we czwartek, w dzień św. Magdaleny, odbyła się pobożna uroczystość otwarcia nowoufundowanej akademii, czyli, według wyraże-

nia się najstarszej wiadomości w samychże aktach akademycznych, „ustanowione zostało przez Najjaśniejszego króla polskiego, Władysława, kollegium społeczeństwa profesorów szkoły krakowskiej.” W sobotę, dnia 24-go, za rektoratu ulubieńca zmarłej królowej, Stanisława ze Skarbimierza, doktora dekretów, najpierwszego rektora akademii krakowskiej, otwarto pergaminową księgę wpisów, czyli matrykulę akademicką, przez długie odtąd pokolenia utrzymywaną.

Na pierwszej karcie pod napisem: „Oto są intytułowani” — po wymienieniu dnia, roku i rektora, stanęły imiona następujące: „Najjaśniejszy książę i pan, pan Władysław z b. ł. król polski, fundator tej zacnej akademii i jej uposażyciel najłaskawszy. Najprzewielebniejszy w Chrystusie ojciec i pan, pan Piotr z b. ł. biskup krakowski, doktor ob. praw, jenerálny kanclerz szkoły krakowskiej. Przewielebny w Chrystusie ojciec i pan, pan Mikołaj z b. ł. biskup władysławski, magister sztuk wyzwolonych. Wielmożny pan Jan z Tęczyna, kasztelan krakowski, exekutor testamentu ostatniej woli św. p. pani Jadwigi, królowej polskiej, węgierskiej, dalmackiej i kroatyckiej, która pierwotnie zarządziła kupno domu dla społeczeństwa nauczycieli szkoły krakowskiej, Wielki dobra powszechnego zelator i uniwersytetu dobrodziej, waleczny i szlachetny mąż, pan Klemens, podkanclerzy korony polskiej, promotor uniwersytetu.”

Po tych pięciu imionach wpisało się tegoż samego dnia na dalszych kartach księgi 12-tu prałatów i kanoników, 28 różnych proboszczów, wreszcie 205 uczniów, będących zapewne raczej spuścizną po dawnej akademii Kazimierzowskiej, niż wcale świeżą kolonią nowej, jeszcze nieznanej. Trzeciego dnia, w poniedziałek 26 lipca, zakończyła się cała uroczy-

stość inauguracji trzema pamiętnymi aktami, z których każdy wymagałby specjalnego opisu.

Naprzód ułożony został dokument nowej fundacji, zamykający w sobie całą prawie osnovę dokumentu pierwszej fundacji za Kazimierza, ze wszystkimi zlanymi wówczas na szkołę prawami i swobodami. Wystawiony teraz jednakże wyłącznie w imieniu Władysława, bez najmniejszej wzmianki o Kazimierzu, a nawet o Jadwidze, zajął on się głównie nowoufundowanem kolegium teologicznem, z odpowiedniami temu moralowi treści duchownej. Przyłożyli rękę do tego dokumentu, jako świadkowie, trzech biskupów: krakowski, władysławski i poznański, Piotr, Mikołaj i Wojciech; kasztelan krakowski Jaśko, sześciu wojewodów jako to: sędomierski Jaśko z Tarnowa, łączycy Jan Ligeza, sieradzki Jakób z Koniecpola, kaliski Sędziwoj, gniewkowski Maciej i brzeski Krzesław; wreszcie kasztelanowie: Krystyn sędomierski, Krystyn sandecki, Piotr Kmita lubelski i Imran zawichojski. Wystawili zaś dokument ręką swoją biskup Mikołaj i podkanclerzy Klemens, a pisał go notaryusz królewski, Mikołaj z Sędomierza, kanonik krakowski i sędomierski.

Następnie w obecności króla i tychże panów koronnych, w nowoutworzonym kolegium, nazwanem odtąd Władysławskim, a później Jagiellońskim, wygłosił rektor, Stanisław Skarbimierz, mowę akademicką, rozwodzącą się nad pożytkiem wszech nauk razem i każdej poosobnie, pełną oryentalnego przepychu słów i obrazów, godną odczytania w oryginale łacińskim i nowoczesnym przekładzie polskim. Nakoniec biskup krakowski Piotr, dawny nauczyciel prawa w Krakowie, zajął znowuż katedrę profesorską i otworzył kurs nauk prelekcyjną z prawa kanonicznego.

Takim sposobem, dzięki zamierzonym wówczas staraniom nieśmiertelnej Jadwigi, doszło zacne dzieło

Kazimierza W. po 36 latach niedojrzałości do pożądanego wreszcie uzupełnienia. Pozostało mu wprawdzie i teraz nader wiele niedostatków i życzeń, brakowało mu np. całego jeszcze wydziału medycznego; sam Władysław Jagiełło w późniejszych dopiero latach położył swoją hojnością główne około niego zasługi. Teraz w roku 1400 cały nowoufundowany uniwersytet krakowski, cała ta „perła umiejętności, ta przyszła wydawczyni mężów dojrzałością rady słynących, ozdobą cnót uwiecznionych, a w przeróżnej nauce biegłych, to wylewne źródło wiedzy, z którego pełni mogliby czerpać wszyscy, chcący się wyzwolonomi napoić naukami”—miało zaledwie taką objętość moralną i materialną, jaką za naszych czasów miełwa łada ustronne seminaryum duchowne. Wszakże najwłaściwszą każdemu wypadkowi historycznemu miarą jest miara jego własnego czasu, a za czasów Jadwigi i Jagiełły weszła z akademią krakowską wszystkim stronom „Polski, Litwy, Rusi i Wołoszczyzny” gwiazda nieznanego tu nigdy światła, nieznanego tu od stworzenia mądrości szkolnej.

Ze wszystkich zaś oznak przyszłego zasłynięcia szkoły krakowskiej uderza teraz najbardziej ta, którą ona podzielała z wielą przyszłych wielkości, t. j. niezupełnie jasna oczom ludzkim pewność początków. Jak o sławę urodzenia Homera kilka walczyło miast, tak i zaszczyt założenia akademii krakowskiej bywa kilku różnym przyznawany książętom. Zdawien dawna słynął u uczonych twórcą akademii w Krakowie Kazimierz W. Niektórzy z dzisiejszych uczonych minią jej założycielem Władysława Jagiełłę. Inni jeszcze są zdania, iż powszechna szkoła krakowska powinna nazywać się właściwie „akademią pięknej Jadwigi.”

Co do ścisłości historycznej, ta bez wahania oświadcza się za Kazimierzem. Wobec historii ma wszechnica krakowska wielu łaskodawców, uposaży-

cieli, restauratorów, lecz tylko jednego głównego założyciela, Kazimierza W. Wydane i uzyskane przez niego od papieża dokumenty fundacyi, kilkoletnie promocyje akademiczne przed Jagiełłą, słowa bulli papieskiej z r. 1397, powtarzające poprzednią wiadomość w dokumentach Jadwigi i Jagiełły, „że w Krakowie była i jest szkoła powszechna” — nareszcie wzgląd na stopniowe dopiero rozwijanie się i wzrastanie wszystkich akademij ówczesnych, podobnie jak Kazimierzowska niezupełnych z początku, z czasem dopiero uzupełnianych, a zawsze od pierwszego założenia wiek swój liczących — to wszystko chroni Kazimierza w historii od utraty palmy założycielstwa.

Wspiera ją owszem jeszcze jedna ważna, prawie rozstrzygająca okoliczność. Żaden z tamtoczesnych uniwersytetów nie mógł istnieć bez konfirmacyi papieskiej, a tej akademii Jagiełły nigdy nie otrzymała. Uproszony dla niej konsens papieża, Bonifacego IX, wspomniany w dokumencie odnowienia przez Władysława Jagiełłę, pozwalał tylko na otwarcie wzbronionych dotąd nauk teologicznych przy istniejącej już akademii. Jeśli zatem słynęła w Krakowie prawna, upoważniona przez władzę, potwierdzona przez papieża szkoła powszechna, tedy była to tylko akademii Kazimierza W. i Urbana V z roku 1364. Niepotwierdzony przez papieżów w powszechności swojej uniwersytet Jagiełłów byłby nie mógł istnieć w wieku XIV i XV.

A przecież nie wadzi to przyjacielom Jagiełły przyznawać mu sławę fundacyi. Ponieważ założone przezeń kolegium teologiczne otrzymało nazwę Władysławskiego, później Jagiellońskiego, a nazwa ta przeszła z czasem na całą akademię, przeto zamiast zwyczajnym sposobem dbać o wykazanie jaknajdawniejszego istnienia głównej szkoły swojego kraju, ujmują jej ci stronnicy Jagiełłowi kilkadziesiąt naj-

dawniejszych lat bytu, ciągną wbrew dowodom za szczęśliwym Jagiełłą. Ciągną oni jedynie za ową gwiazdą fortuny Jagiełłowej, która z tylu cudzych zasług i nadziei uplotła wieniec błogosławieństwa ulubieńcowi swojemu. Kto inny po śmierci ojca był godnym tronu Litwy, a on go zajął; kto inny dobijał się korony polskiej, a on ją przywdział; kto inny kochał i poślubił Jadwigę, a on ją posiadał — kto inny też założył akademię krakowską, a w jego imieniu najwięcej ona sobie upodobała.

Lubo więc Jagiełło tylko teologicznym powiększył ją wydziałem; lubo owszem zdarzają się poszlaki, że już przed utworzeniem tegoż wydziału w r. 1400, t. j. zaraz po owem wezwaniu papieskiem z r. 1397, wykładaną bywała teologia w akademii krakowskiej, lubo sam Jagiełło później wyznawał, że Kazimierz W. położył pierwsze podwaliny szkole krakowskiej — uwiedziony przecież swoją znaną nam żądzą chluby przed światem, zamilcza małżonek Jadwigi w głównym dokumencie nowej fundacji wszystkie cudze prace poprzednie, nie wspomina ani słowem o Kazimierzu, zataja nawet walną zasługę starań i funduszków Jadwigi, sobie samemu przywłaszczając chwałę całego dzieła.

I jeśli nie było w tem słuszności, był przecież pewien ważny powód do tego. Między dawną bowiem szkołą Kazimierza W. a odnowioną później akademią Jagiełły, pominawszy nawet wzgląd niezupełności w roku 1364, a uzupełnioną w r. 1400, zaszła z postępem czasu niezmiernie wielka różnica. Szkoła Kazimierza W., założona w tym samym celu, do którego dążył sławny statut Kazimierzów w Wiślicy, t. j. do wyklarowania w narodzie pojęć sprawiedliwości i prawa, do uporządkowania zawichrzonych stosunków właścicielstwa i sądownictwa, do ujęcia małemu a ubogiemu narodowi plagi trybunałów

drapieżnych, miała przedewszystkiem naukę prawa na oku.

Za Władysława Jagiełły przeciwnie, powiodło się temu małemu narodowi przyswoić sobie rozległe kraje Litwy, Rusi i Wołoszczyzny; Kazimierzowska szkoła dla Polski stała się zarazem szkołą dla „ziem ruskich, litewskich i wołoskich”, przeznaczoną nieść co komu najpierw było potrzeba, a w oczach katolickiej Polski brakowało tym ziemiom, potrzebowały te ziemie najpierwszych zasad religii. Tej to potrzebie poświęca Jagiełło główną uwagę, poświęca wszystkie przedwstępne rozumowania swojego dokumentu z roku 1400, i teżże potrzebie miała przed wszystkim innem czynić zadość szkoła Jagiełły.

Ztąd, chociaż prawoznawcze intencje Kazimierza W. nie stały się już zbyt czynnymi, chociaż zamierzona przezeń reforma stosunków społecznych nie przyszła wcale do skutku, musiały te partykularne teraz cele ustąpić wyższemu, dawne ustawodawcze przekształcenie narodu musiało ustąpić odrodzeniu religijnemu, świecka oświata małej Polski duchownej oświacie szerokich krain wschodnich. Wraz z założeniem w Pradze seminarium litewskiego, wraz z krakowską fundacją Benedyktynów słowiańskich, przyjęła nowa wszechnica Jagiellońska za główne zadanie swoje: rozszerzać łacińską wiarę po wschodzie, dostarczać najzdolniejszych pracowników temu szerzeniu.

Takie zaś poniewolne, zbiegiem wypadków spowodowane zakierowanie szkoły, odpowiadając wistocie głównym wymaganiom historii, prowadziło za sobą koniecznym rezultatem niektóre mniej pożądane, owszem, nader szkodliwe, lecz na wszelki przypadek podrzędne niedogodności już to w wewnętrznym składzie uniwersytetu, już to (co więcej) w jego wpływie na oświatę krajową. Pod pierwszym względem

stanowcza przewaga nauk i profesorów teologicznych zagarnęła dla siebie wszystkie siły, zaszczyty i korzyści akademickie, z niemalym uszczerbkiem reszty wydziałów.

Tylko teologowie mieli dostateczne uposażenie, tylko w wydziale teologicznym panował żywszy ruch naukowy. Przeciwnie, górujący niegdyś wydział prawny podupadł; tak prawnicy, jakoteż dalsze wydziały filozofii i medycyny dostąpiły dopiero nieco później swoich własnych kolegiów; wszystkie te podrzędne teraz wydziały świeckie odniosły bardzo szczupłe i to po większej części z jałmużny swoich własnych profesorów złożone uposażenie; nad wszystkimi wydziałami i profesorami świeckimi zaciężyła niska strzecha ubóstwa.

Co do wpływu na oświatę krajową, ten z powodu skupienia się wszelkich środków i zdolności w jednym wydziale teologicznym, stał się niezmiernie jednostronnym. Akademia krakowska — skarżą się dziś uczeni — dbała raczej o królestwo niebieskie niż dobro kraju. — Założona przez Kazimierza W. dla narodu, dla kształcenia sędziów, stała się szkołą hierarchii i księży tylko wychowywała.

Jakkolwiek słuszne w pewnym stopniu są te zarzuty, zwłaszcza wobec potrzeb dzisiejszych; jakkolwiek ogólna oświata kraju nie małego rzeczywście doznała ztąd uszczerbku, jest przecież wiele niewyrozumiałości w skargach podobnych. Uczeni mają słuszną żądać od akademii wzoru doskonałości wszechstronnej, lecz naród, lecz ten albo ów okres dziejowy, tworzą sobie takie przedewszystkiem szkoły, jakie odpowiadają najlepiej ich koniecznym potrzebom, a narodowi i okresowi, który sobie przyswoił owe szerokie obszary wschodnie, nie znające (jakeśmy to widzieli w przykładzie Lirwy pogańskiej) najpierwszych zasad życia społeczeńskiego, potrzebniejsi byli ze wszech miar nauczyciele katechizmu, niż filozofii.

Katechetów więc, kaznodziejów, słynnych na cały XV i XVI wiek teologów, tworzył sobie do woli nowy uniwersytet Jagielloń, i w wieku, kiedy wszystkie uniwersytety były mniejwięcej szkołami duchownemi, kiedy sama władza kościelna naprzód sankcjonowała byt akademii, a następnie kierowała ich wzrostem, kiedy żadna zwierzchność świecka nie czuwała nad stanem szkół, rozwinął się w zakład całkowicie duchowny, duchownem najjaśniej przyświecał światłem.

Wszelako boska natura prawdy ma to do siebie, iż przy któremkolwiek świetle szczerze a pracowicie szukana, uwidomia się szukającym coraz różnokształtniej, szerzej, wszechstronniej. Chociaż okoliczności czasowe zamieniły krakowskie siedlisko nauk w szkołę duchowną, chociaż wszystkie łaski światowe płynęły głównie dla teologii, sama przecież nauka rozprzestrzeniała swój gmach, sama własnymi siłami, pszczolą pracowitością, przybudowywała coraz liczniejsze i rozmaitsze komórki swemu ulowi. Sami profesorowie krakowscy przysporzyli później funduszków akademii, pozakładali nowe katedry nauczycielskie, pozaprowadzali nowe kolegia dla profesorów i bursy dla studentów, uzupełnili według możności początkową jednostronność swego przybytku.

Dzięki tej wewnętrznej żywotności drzewa naukowego, które samo przez się tyle różnych konarów i odrośli wydać z siebie umiało, a którego rozpostarcie się w ten sposób stanowi jedną z najpiękniejszych zalet akademii krakowskiej, stała się szkoła Kazimierza W. i Władysława Jagielly w istocie na jakiś czas „perłą wszystkich umiejętności,” głośnym za granicą klejnotem kraju swojego. Jej to zapewne wpływowi przypisać mamy, iż najuczeńsi z cudzoziemców XV stulecia, iż uczeni Włosi jak np. sławny Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, porównywując Niemców i Polaków

onej epoki, widzieli w Polakach nierównie większą uczoność i ogładę.

Uczeni zaś Niemcy ówczesni, w znacznej liczbie uczniowie uniwersytetu krakowskiego, mówiąc o stolicy polskiej za Jagiellonów, wyrażali się: „Niedaleko wiślniej bramy jest w Krakowie ogromny kościół św. Anny, a przy tym kościele wielka i sławna akademja, której chlubą są mężowie uczeni i głośniego imienia, w której wykłada się wiele wyzwolonych nauk, retoryka, poetyka, filozofia i fizyka. Najlepiej tam atoli zakwitła astronomia. W całych Niemczech nie masz sławniejszej nauki astronomii.” Też nauki astronomiczne wydały Kopernika, praojca całej przemożnej dziś nauk przyrodzonych dziedziny, nieśmiertelnego objawiciela cudownej harmonii niebios.

Ale w tych samych latach, kiedy Kopernik na ławkach szkoły krakowskiej płonął pierwszym natchnieniem swoich „Obrotów ciał niebieskich,” spłonęła na drugim końcu Polski pierwsza łuna wcale innego światła—zaiskrzyło się niebo pierwszymi ogniami kilkowiekowych odtąd pożog tureckich. W tym samym czasie kiedy u zachodnich bram Polski, z pod sklepień tyłu wówczas uczniami i mistrzami słynnej akademii Kazimierzowskiej nad górną Wisłą, z nad gwiazdarni Kopernikowej u brzegów dolnej Wisły, rozwijać się poczęła nieskończenie świetnej wróżby oświata naukowa—spiętrzyło się u wschodnich kresów Polski, u dwóch przeciwnych zakątów Czarnego morza, dwójnasób groźniejsze niż dotąd brzemię pogańskie.

Usadowiła się wtedy na gruzach chrześcijańskiego Konstantynopola straszna potęga ottomańska i ustaliło się w Krymie z rozbicia ogromnej niegdyś rzeszy kapczackiej osobne państwo tatarskie. Lata młodości Kopernikowej widziały połączenie się tych obu dwóch potęg barbarzyńskich w jedno olbrzymie przy mierze—jedną śmiertelną burzę ku zniszczeniu wszel-

kiej swobody i oświaty w krajach ościennych—a gdy akademja krakowska pod koniec XV wieku nęciła właśnie najpiękniejszymi odczytami o astronomii i sztukach wyzwolonych—rozgrasowało się tatarstwo srożej niż kiedykolwiek na Rusi i po raz pierwszy sioła halickie zadrżały na widok Turków.

Wówczas zamiast na zachód do Krakowa, przyszło młodzi polskiej spieszyć ku wschodowi nad Dniestr, nad Dniepr, w dzikie pola. Odtąd częściej niż w salach akademii krakowskiej odbywały się tam mordercze popisy z tatarskim i tureckim pogaństwem, podobne owym teraz za szkolnych lat Kopernika pod Kopystrzyniem, Wiśniowcem lub w lasach Olbrachtowych na Bukowinie. Z uszczerbkiem powagi mistrzów krakowskich zakorzeniło się w narodzie wyobrażenie o nierównie większej zasłudze dotrzymywania czoła murzom i baszom bisurmańskim—nad powagę uczoności akademicznej wzięła górę chwała zawodu rycerskiego. W krwawej służbie bronięcia granic własnej ojczyzny i sąsiednich narodów zabrakło możności i zapału do rozniecania dalej tego światła wiedzy uczonej, które niedawno tak wróżebnie zajaśniało nad Polską od Krakowa, a do którego rycerzom i chodaczkom XIV i XV stulecia tak szlachetnie rosła ambicja. Opróżniały się więc coraz bardziej ławy szkoły kazimierzowskiej—a tymczasem rycerska praca na wschodzie nie wznagała się przez to w większą chwałę i dzielność.

Bo jak we wszystkim, tak i w rozdzieleniu pracy ludzkiej między szablę a książkę tylko słuszną miarą wieńczy na koniec wawrzynem jedną i drugą. Im więcej możnych imion koronnych świeciło w księdze akademicznych promocyj najwyższej szkoły krajowej, tem więcej mądrych hetmanów wiodło następnie do zwycięstwa u granic kraju, tem bezpieczniejsze były progi ojczyście. Ostygnięcie zapału do walki z ciemnotą orężem ducha ostudziło także powsze-

chny zapał do walki z dziecą wschodnią żelazem. Nieszczęsne pod każdym względem sąsiedztwo z barbarzyństwem mahometańskim w Krymie i za Dunajem, ciężkie ztąd postannictwo ustawicznych zapasów z wrogiem przemocnym, zagroziło nakoniec upadnięciem na siłach w obudwóch zawodach pracy. w pracy nad oświatą ojczyzny w stronie zachodniej i nad obroną jej granic u szlaków wschodnich.

Zrządzenie Opatrzności postawiło naród nad przepaścią tych wschodnich wybrzeży barbarzyństwa i kazało mu z ofiarą swego spokoju, swojego światła, swojej rządności, pasować się ustawicznie z bijącą wien z tej strony burzą bałwanów, a zasłonięty jego orężem świat zechce może zdziwić się później, że mu ramię omdlało w tych zapasach, że tak mało uczynił dla oświaty, że w ciągłej wrzawie tatarskiej u proków i w samych wnętrzach ojczyzny nie zdołał utrzymać w niej ładu i porządku należytego... Zamiast jego wschodnich wybrzeży barbarzyństwa, które zwłaszcza od owej za czasów Kopernika zawiazanej nad Czarnem morzem spółki Ordy z Osmaństwem były mu skałą ponawiającego się ciągle rozbicia—niechby mu dane było owo zachodnioeuropejskie wybrzeże bezpieczeństwa, odgradzenia od wszelkich najść barbarzyńskich, zachęty do handlu i przemysłu, zkad mianowicie w latach młodości Kopernikowej otworzyła się ludom zachodnim droga zamożności i wiedzy najrozleglejszej—a przygotowana teraz przez Jadwigę i Jagiełłę zorza oświaty polskiej byłaby zaprawdę nierównie szerszem błysnęła kołem.

Nim też wzięły górę niebezpieczeństwa późniejsze, wiodło się najpomyślniej sprawie oświaty. Najsroższa następność późniejszego nieprzyjaciół wschodnich nacisku, późniejsza zubożniałość narodu dla postępów w oświacie nie istniała jeszcze obecnie.

W miejscu późniejszej przewagi zamięłowań i środków rycerskich nad zamięłowaniem i środkami umysłowymi, panowała jeszcze mądra równowaga jednych i drugich, dążono zarówno do oświecenia, jak i umęznienia narodu, kochano się zarówno w książce, jak w szabli.

Owszem jedną i drugą poczytywano tylko za dwie wzajemnie uzupełniające się połowy wychowania narodowego, które dopiero wtedy mniemano całkowitem, gdy naukę na ławkach szkolnych uzupełniła nauka w namiocie obozowym. Porównyując wychowanie szkolne z rycerskiem, upatrywano w obudwóch jedną i tę samą naturę, a pewien mistrz edukacji publicznej za Jagiellonów prawi wyraźnie: „Szkoły wielce są podobne żołnierstwu, około którego się na Podolu albo na Ukrainie parają zawołani ludzie, aby tam nie inaczej by na jakim żołnierstwie albo Podolu młodzież pierwszego ćwiczenia nabywała.”

Miał więc naród i nawiedzał równocześnie dwie główne szkoły. Jedną była wtedy akademія przy kościele św. Anny w Krakowie, drugą Ukraina z Podolem. W tamtej na księgach uczoności łacińskiej oświecał się umysł; w tej ustawiczną walką z barbarzyństwem sąsiednim hartował się i uświęcał charakter. W tamtej poznanie prawdy miało prowadzić do rozbudzenia w końcu ducha miłości; w tej duch miłości objawiał się żywym czynem pomocy, niesionej ciągłą ofiarą życia krajowi i ludzkości.

I jakoby też dla tem wyraźniejszego uwydatnienia istotnej pokrewności tych obudwóch źródeł oświaty narodowej, rozślawiają się obadwa w jednym i tymże samym czasie. Ten sam rok śmierci Jadwigi, któremu akademія krakowska winna jest zarządzenie swojej nowej fundacyi, przedstawia Ukrainę i Podole widownią jednej z największych i najwcześniejszych walk, jakie stoczone były ku odparciu grozy i niewoli tatarskiej od tych wschodnich stron Polski.

Stacza ją nasz Wielki Witold, na czele ogromnej krucyaty litewsko-polskiej, poza wschodnią granicą Polski i Litwy, na nieszczęśliwym wybrzeżu Worskli. Opisawszy tedy wzejście światła z ksiąg uczoności szkolnej, mówić nam o świetle z ofiernej krwi, przelanej w pełnieniu obowiązku wielkiego.



KONIEC CZĘŚCI SZÓSTEJ.



